

Erich SEGAL

Bez sentymentów

Z angielskiego przełożył WITOLD NOWAKOWSKI

WARSZAWA 2001

Tytuł oryginału: NO LOVE LOST

Copyright © Ploys, Inc. 2001

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2001

Copyright © for the Polish translation by Witold Nowakowski 2001

Redakcja: Barbara Nowak Zdjęcie na okładce: Jerome Leplat/SDP/Agencja

Fotogr. BE & W Opracowanie graficzne okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 83-88087-75-4

Zamówienia hurtowe: Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Kolejowa 15/17, 01-217
Warszawa tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-9155 e-mail: hurt@olesiejuk.pl
www.olesiejuk.pl Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk tel.
(58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Zamówienia wysyłkowe: Księgarnia Wysyłkowa Faktor skr. poczt. 60, 02-792
Warszawa 78 tel. (22)-649-5599

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ adres dla korespondencji:
skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Warszawa 2001. Wydanie II Skład: Laguna Druk: Łódzkie Zakłady Graficzne

Rozdział 1

Zżerają się nawzajem. Co roku około tuzina płotek wpływa na płytkie wody World Management Agency, ale tylko jedna lub dwie wypływają po drugiej stronie jako dorosłe barakudy. Prawie wszystkie (nie wyłączając samic) mają samcze cechy. Najczęściej są to sfrustrowani aktorzy, scenarzyści albo reżyserzy, ogarnięci żądzą sławy i fortuny. Nie dołączyli do grona gwiazd, więc chcą kreować nowe gwiazdy. Chodzi im tylko o pieniądze. To oni trzęsą światem filmu i rozrywki, kręcą trybikami i potrafią sprzedać zero w efektownym opakowaniu. W myśl utartej tradycji nawet najwięksi z nich zaczynali jako podrzędni urzędnicy do sortowania poczty napływającej do agencji. Cel był dwojaki: oni mogli poznać zasady działania firmy, a firma mogła płacić najniższe uposażenie doświadczonym skądinąd pracownikom. Po tak marnym początku jedni wspinali się po szczeblach władzy, a inni spadali w otchłań anonimowości, aby

więcej nie wrócić. Lub kończyli na posadzie ajenta ubezpieczeniowego. Agencji aktorskich jest dosłownie bez liku. Ale to samo można powiedzieć o samochodach. Z drugiej strony, rolls-royce zdarza się tylko jeden. Takie porównanie - przynajmniej w opinii samych zainteresowanych - znakomicie pasuje do szacownej World Management Agency. Przed laty musiała walczyć z poważną konkurencją, choćby w postaci MCA, ale potem, kiedy podobne

jej placówki uległy likwidacji, pozycja WMA pozostała praktycznie niezagrożona. I tak to trwało od wczesnych czasów wodewilu. Nina pracowała tutaj bez mała trzy lata, obecnie była "korsarzem" w głównym sekretariacie. Zaczęła jako dzie-więtnastolatka, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, dwa tygodnie po ukończeniu kursu dla sekretarek w AI-bany. Teraz już była weteranem. Każdej jesieni obserwowwała nowych kandydatów. Słuchała bolesnych jęków i okrzyków radości. Ludzka fala to podnosiła się, to opadała. Ci, którzy potrafili być naprawdę bezwzględni, ulatowali aż pod sufit - reszta spływała na bok. Należała do tych dziewcząt, o których powiadają: "Byłby z niej naprawdę całkiem morowy kociak, gdyby tylko straciła z pięć, sześć kilogramów". Ale Nina nigdy nie znalazła powodu, żeby poważnie wziąć się za odchudzanie. Inne sekretarki mówiły o niej "magnesik", lecz to nie miało pokrycia w rzeczywistości, bo nigdy nie przyciągnęła żadnego agenta. Nie urzekaly ich ani brązowe oczy, ani jasna cera, ani zwycięski uśmiech. Jej powiernica i koleżanka z celi, siedząca przy sąsiedniej maszynie do pisania, Maria Cartucci, twierdziła zawsze, że Nina powinna nosić trochę głębszy dekolt. Sama miała

dwadzieścia pięć lat, więc była tylko trochę starsza od Niny, ale od pięciu lat tkwiła w tym zawodzie. Nina systematycznie odrzucała pomysły Marii. - Co z tego, że jakiś facet uzna, iż mam lepsze cycki niż Rita Hayworth? Wolę takiego, któremu reszta też przypadnie do gustu. Sama spróbuj. - Próbowałam - przyznała się Maria. - Ale w moim wypadku to jakoś się nie sprawdza.

Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o urodę, to Nina górowała nad swoją przyjaciółką.

Maria ceniła Ninę za poczucie humoru. Razem chodziły do teatru, korzystając z darmowych biletów przydzielanych im przez agencję. Raz nawet zaprosiła ją na nie dzielny obiad do rodziców mieszkających na Queensie. Tam Nina zrozumiała, dlaczego Maria jest tak pulchna. Mamma przygotowała tyle makaronu, że dałoby się nim wypełnić cały jeden sektor stadionu Jankesów. A to było tylko na przekąskę. Po pasta lasagna e fettuccini przyszła pora na prawdziwe danie: cielęcinę z parmezanem i penne all'arrabiata. Ojciec nakładał wszystkim kąpiaste porcje i jeszcze namawiał na dokładkę. Kiedy zapytał: "Naprawdę masz już dosyć, Nino?" - ledwie mogła mu skinąć głową.

Przy kawie (czyli jakieś dwie godziny później) pan Cartucci, Amerykanin w pierwszym pokoleniu, z zawodu maszynista metra, wygodniej rozparł się na krześle i popatrzył na obie dziewczyny.

- Wyłumatcz mi, Angelino - zwrócił się do żony, bo wiedział, że u niej znajdzie posłuchanie - dlaczego takie dwie ślicznotki jeszcze nie mają mężów? Są piękne, zdrowe i płynnie mówią po angielsku. Gdzie tu kłopot? - zapytał dziewcząt.

- Chcemy zrobić karierę zawodową, papo - odpowiedziała Maria. - Rozumiesz, co to znaczy? - Nigdy w życiu nie słyszałem podobnego słowa. - To dziewczyny, które mają... zawód - pospieszyła z wyjaśnieniem matka. Spojrzał na córkę i jej przyjaciółkę. - Możecie nam dokładniej powiedzieć, o co chodzi? - Szybko to pojmiesz, papo. Obserwuj Ninę przez najbliższe lata. Będzie wiceprezesem. - Nie - ze zdumieniem odparł Angelo Cartucci. - Kobiety nie są prezesami. Ich rola to być mamą. Mada z wyraźnym niepokojem odwróciła się w stronę Niny. - Nie słuchaj papy. On wciąż żyje w dziewiętnastym wieku. - Wtedy było o wiele lepiej - oznajmił Angelo i w ten prosty sposób uciął dalszą dyskusję.

* * *

W agencji panowała brutalna rywalizacja. Rok po roku część zespołu wymagała wymiany - a to z powodu ambicji, a to za sprawą kłótni, a to ze względu na nagły kryzys nerwowy. Rokrocznie więc ich pan i władca Cyrus R. Temko organizował turniej dla złotoustych samurajów, chętnych do obrony tronu. Z tej okazji przez kilka koszmarnych tygodni Nina musiała znosić wybujałe ambicje grupki kandydatów, przechodzących obowiązkowe szkolenie w sekretariacie. Dla nich była to tylko zbędna inicjacja, po której mogli wkroczyć do świętego kręgu dojrzałych pracowników. Dla Niny i innych dziewcząt - czyściec, w którym każda z nich tkwiła, dopóki jakiś agent - lub klient - nie zwrócił na nią uwagi, nie uwiódł i wyjątkowym trafem nie poślubił. W tym sezonie w wyścigu szczurów brało udział z pół tuzina typowych, zmiennych, wyszczerkanych, zadowolonych z siebie sępów w granatowych piórkach, tak głodnych, że zdolni byli przełknąć świat w jednym kawałku... a przynajmniej na dziesięć procent. Tylko jeden z nich nie pasował do tej kategorii. Niski, powściągliwy, drobnej postury, ale z wielkim sercem. Ów terier miniaturka zwał się Elliott Snyder. Mimo nikczemnej postury w pewnym sensie był atrakcyjny. Gdy mówił, grzywa ciemnych włosów zawsze spadała mu na oczy. - Jak on tu się wśliznął? - szepnęła Maria Cartucci do Niny. Młodzi aspiranci robili właśnie pierwszy obchód lochów organizacji. - Jest całkiem fajny - z uśmiechem powiedziała Nina. - Fajny - przytaknęła Maria. - Ale czy nie za bardzo... powiedzmy... skurczony? Zaslugujesz na trochę lepszego. - To znaczy wyższego? Maria skinęła głową. - W pewnym sensie... - Podoba mi się, jaki jest - oświadczyła Nina. - Chciałabym, żeby czuł to samo. Jej towarzyszka z kopalni soli wzruszyła ramionami. - Jedyna rzecz, która się tu liczy, to rozmiar kłów. - Sprawia wrażenie nieśmiałego. Odpadnie na pierwszej zmianie. Ale to miło choć raz zobaczyć coś innego. Nawet po trzech latach Nina patrzyła z ciętym za-

chwytem na gwiazdorów, choćby takich jak Rock Hudson ("Uwielbiam pana w filmach z Doris Day...". "Dzięki, ale to ona gra, a ja tylko całuję".) i Steve McQueen ("Uwielbiam pana rolę w Cincinnati Kid, panie McQueen". "Po prostu mów mi Steve".), czasem ocierających się o nią po drodze w głąb świątyni. Matka Niny ciągle nie mogła wyjść z podziwu na myśl o wszystkich sławnych i bogatych ludziach, z którymi stykała się jej córka (stanowili żelazny temat cotygodniowych rozmów telefonicznych). Pytała jednak: Kiedy znajdziesz kogoś wyłącznie dla siebie? Na razie Nina wędrowała od jednej maszyny do drugiej. Pozostawała - jak to określiła jedna z jej koleżanek - "w ciągłym ruchu". Nigdy nie spotykała tych samych osób, a to miało wpływ na jej gwiazdkowe premie. Gdyby chciała, na pewno zaczęłaby się gdzieś na stałe. Sęk w tym, że wcale jej to nie interesowało. Miała wrażenie, że wciąż się czegoś uczy. Żartowała czasami, że kiedyś na pewno awansuje - pod warunkiem że wcześniej nie odejdzie na emeryturę. Chyba nie trzeba dodawać, że jej koleżankom powodziło się znacznie lepiej. Mężczyźni, których poznawała w biurze, na ogół chcieli jednego - dostępu do skarbczyka, który chowała dla męża. Inne sekretarki oferowały swoim potencjalnym chłopcom coś więcej - informacje. Nina też знаła kilka cennych sekretów, lecz gdyby chciała ją opisać jednym jedynym słowem, wybór padłby na "wierność". Szefowi, pracy i - chociaż jeszcze nie miała okazji udowodnić tego - człowiekowi, który uczyniłby ją swoją

żoną. Niezależnie więc, gdzie bywała, bez pozwolenia nie zaglądała do żadnych dokumentów. Z drugiej strony, lubiła zerkać w porzrzućane scenariusze. Niektóre

10

^ nich - za zgodą szefa - zabierała nawet do domu, żeby zobaczyć, co obecnie najlepiej się sprzedaje. W ten sposób zdobywała wiedzę o psychopatologii show-biz-nesu. Przy okazji robiła przysługę swoim pracodawcom. Zdarzało się, że jakiś agent, widząc jej pasję do czytania (a sami tego nigdy nie kochali), prosił ją, żeby spokojnie przejrzała to i owo, zrobiła notkę lub streszczenie i podsunęła jakiś pomysł, co też z tym fantem dalej zrobić. Z chęcią wykonywała to zadanie. Zdarzało się, że zaraz potem szef dyktował jej notatki już jako swoje spostrzeżenia, składał na końcu podpis i scenariusz zwykle wędrował do archiwum. Początkowo starała się jak najrzetelniej kierować sprawę na właściwe tory. Z biegiem czasu zagłębiała się w świat fantazji. Wyobrażała sobie, że jest równie mądra - albo nawet mądrzejsza - jak tak zwani eksperci. A tymczasem w luksusowym apartamencie w Miami Beach matka Niny, Ellen, z wolna popadała w obłąd, martwiąc się staropanieństwem córki. Na co ona czeka? Na Ciarka Gable'a? Błagała Henry'ego, żeby coś z tym zrobił. - Niby co, na litość boską? Ellen, dziewczyna ma dwadzieścia jeden lat i prawo do głosowania. Sama wybrała, że zostanie w Nowym Jorku. - Ale dlaczego? - ze łzami w oczach pytała jego żona. - Co takiego tam znajdzie, czego nie ma tutaj? - Choćby kina - odparł Henry. Matka pokręciła głową. - Nie wiem, skąd w niej ta zwariowana pasja do filmu. Słyszałam, że w tym fachu roi się od wariatów. - Może im właśnie potrzeba odrobiny rozsądku? Sama przyznasz, że Nina to wzór cnót i rozwagi.

11

- Jedyne jej zajęcie to stukanie na maszynie. Dlaczego nie wróci tutaj, gdzie jest cieplej? - Być może lubi kiepską pogodę. - Zawsze postawisz na swoim - z (chwilową) rezygnacją westchnęła Ellen. - To nie ja. To Nina. Tak czy owak, ich ukochana córka z maniackim uporem odrzucała zaloty młodzieńców, którzy podczas jej wizyt tłumnie kręcili się przy basenie. - Tylko popatrz, kochanie - mówiła jej matka. - Czyż nie podoba ci się żaden muskularny, przystojny Charles Atlas? Przecież to mili młodzi ludzie. Bóg mi świadkiem, że całutki dzionek na pewno ćwiczą na siłowni. - Nigdy nie przyszło ci do głowy, że przychodzą tutaj, bo nie mają pracy? Ellen nie na darmo przez dwadzieścia lat kierowała szkołą dla dziewcząt. Dobrze wiedziała, że dalsze namowy przyniosą odwrotny skutek. Bała się, że Nina przestanie ją odwiedzać. Szybko zmieniła temat i spytała, dokąd dziś pójda na kolację. Nina uwielbiała życie na Manhattanie. To było ekscytujące miejsce. Tylko tutaj, i w tym momencie dziejów, za kilka dolców - lub za darmo, jeśli ktoś miał szczęście pracować w WMA - można było obejrzeć słynne przedstawienia. Choćby takie jak Południowy Pacyfik Rodgersa i Hammersteina, Facetów i laleczki Franka Loessera czy Rekord Annie Irvinga Berlina. Wielu twórców widziała też na własne oczy. A rok w rok pojawiały się nowe arcydzieła amerykańskiego musicalu, na przykład My Fair Lady Lemera i Loewe'a czy West Side Story Leonarda Bemsteina.

12

Początkowo mieszkała w przypominającym klasztor hotelu Barbizon, przeznaczonym wyłącznie dla kobiet. Potem przeprowadziła się jak najdalej na zachód, do własnego atelier

przy Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej. Apartament był skromny, ale w miarę tani i położony w pobliżu biura i wszystkich cudów miasta. Prowadziła zwyczajne, lecz szczęśliwe życie. Co wieczór szła "do miasta" - sama lub z jakąś koleżanką. Wciąż nie miała chłopaka. Trwało to do chwili, gdy na horyzoncie pojawił się Elliott Snyder.

Rozdział 2

Przypadli sobie do gustu. Przez pięć kolejnych dni spotykali się w windzie. Rano jechali w górę, a po południu - na dół. Lekko speszeni własną nieśmiałością, tylko wymieniali uśmiechy. Wreszcie w piątek Nina zebrała się na odwagę. - Musisz być bardzo pewny siebie - wypaliła. Elliott popatrzył na nią z osłupieniem. Właśnie najbardziej brakowało mu ufności w swoje siły. - Wcześniej wychodzisz - wyjaśniła. - Wszyscy twoi koledzy przesiadują co najmniej do ósmej lub dziewiątej. Dzwonią do Kalifornii i szukają chociażby strzępków informacji, która by pozwoliła im już od jutra przeskoczyć na wyższy szczebel. - Też tak robię - uśmiechnął się. - Za chwilę wracam do biura. Jeżdżę windą jedynie po to, by podziwiać piękne widoki. Nina spiekła raka. Słowo "piękne" było szczególnym komplementem w biznesie, w którym uroda stała się regułą. Elliott doszedł do wniosku, że zabmą już za daleko, aby się teraz wycofać.

14

- Spieszysz się, czy mogę postawić ci drinka? - zapytał. - Chyba znajdę czas na jednego - powiedziała. Miała cichą nadzieję, że zabrzmiało to tak, jakby rzeczywiście wiodła bujne życie towarzyskie. Zaproponował, żeby poszli kilka przecznic dalej, do Longchamps. Zdaniem Niny był to szczyt luksusu. Po drodze rozmawiali o ostatnich wydarzeniach w pracy. O zwykłych codziennych sprawach, takich jak plany braci Wamer, przymierzających się do sfilmowania Kupca weneckiego w formie musicalu, z Eddiem Cantorem w roli Szajloka. ("Nie zdecydował pan Temko. - Byłby zbyt żydowski. A poza tym nie należy do naszych klientów"). Ninie schlebiało - chociaż jednocześnie czuła się lekko skołowana - że ktoś, kto zamierza zrobić karierę w zawodzie, w którym cynizm i brutalność dawały niepoślednią władzę, potrafi mówić tak niewinnie. Zanim dopili do połowy zamówione drinki, już byli lekko wstawieni i gotowi do zwierzeń. Żadne z nich wcześniej nie miało związków z show--biznesem. Nina przyszła na świat i dorastała w Albany, w stanie Nowy Jork, a Elliott - w Dayton, w Ohio. Za młodu często zmieniał szkoły. Jej szczenięce lata były ściśle związane z edukacją, bo rodzice parali się nauczycielstwem. Mama pracowała w szkole dla dziewcząt, a tata trenował młodych futbolistów. - Nie miał zbyt wielkich osiągnięć - dodała ze śmiechem. - Trzy wygrane mecze na pięćdziesiąt cztery porażki... albo coś koło tego. Nie pytaj mnie, jak zwyciężał. Być może druga drużyna wystawiła dziewięciu graczy. Elliott odparł coś krótko i lekceważącym tonem, więc

15

wyczuła, że raczej nie lubił rozmawiać o swoich rodzicach. Nie pytała go o szczegóły. Po przełamaniu pierwszych lodów przyznał, że wpadła mu w oko, jak tylko przybył do agencji. Próbowała się nie czerwienić. - Podoba ci się praca w rzeźni? - zapytała. - Uwielbiam to... tylko nie wiem, czy rzeczywiście się nadaję. - Skąd ten pomysł? - Jak ktoś taki jak ja może być dobrym agentem?!

Jestem nieśmiały i nie potrafię rozpychać się łokciami. A przede wszystkim... - przerwał w pół zdania. - Przepraszam. Nie mogę ci więcej powiedzieć. Nie chciałbym, żeby to się rozniosło. Nina popatrzyła na niego z wyraźnym zaciekawieniem. Co ukrywał? - Możesz mi ufać - szepnęła cicho. - Nie bąknę ani słowa. Zobaczył szczerłość w jej wielkich piwnych oczach i ujawnił swoją tajemnicę. - Nie potrafię kłamać. Przynajmniej nie na poziomie, na którym kłamstwo szybuje aż do stratosfery. Całkiem niedawno widziałem, jak sam Howard Spiro piał z za chwytu nad scenariuszem, którego nie przeczytał, i wy krzykiwał, że jest świetny dla pewnego aktora, z którym w ogóle nie miał nic wspólnego. Łgał jak z nut, a mimo to i wygrał na obu frontach. - Stwardniejesz po pewnym czasie. Tak samo twarde nieje żołnierz, gdy zakłuje bagnietem kilku przeciwników. Dla wielu z nas kłamstwo staje się drugą naturą. Wiedziałaś, jak przebiega system rekrutacji, zanim trafiłeś do agencji? - Skąd miałem wiedzieć, Nino? Jestem prowincjonalnym kmiotkiem z Pensylwanii. Chodziłem do najlepszej

16

trzeciorzędnej szkoły w kraju. Tam zrozumiałem, że ciągnie mnie do show-biznesu i że nie mam ni krzty talentu. Pewnego dnia mój wychowawca z pełną powagą stwierdził, że z takim charakterem nadaję się na agenta. Teraz widzę, że wszyscy inni mają więcej ikry i że umieją być bezwzględni, a to bardzo ważne. Nina się uśmiechnęła. - Chyba pomniejszasz swoje możliwości. - Co znowu - zażartował kwaśno. - Jestem na to zbyt mały. To mój zasadniczy problem. Zatem miałam rację, pomyślała. Ma jednak kompleks na punkcie niskiego wzrostu! Nagle Elliott przejął inicjatywę. - A ty, Nino? Nie brak ci rozumu. Nigdy nie chciałaś się oderwać od maszyny do pisania? Pomyślała chwilę i pochyliła się nad stolikiem. - Szczerłość za szczerłość? Elliott się rozpromienił. - Proszę bardzo. Zdradź mi swoją tajemnicę. - Tak między nami... Co roku przyciskam nos do szyby i patrzę, jak nawzajem podrzynacie sobie gardła w bezdusznej rywalizacji. Lecz z drugiej strony, naprawdę chciałabym być agentką. Nie taką jak Howard Spiro, ale kimś kreatywnym - kimś, kto pilnuje kontraktu i ma też wpływ na produkcję. Aż kłębi mi się w głowie, gdy myślę o nowych filmach. - Co ciekawego jest w tej dżungli dla młodej i miłej dziewczyny? - Może to zabrzmie głupio, lecz zawsze wydawało mi się, że praca nad spektaklem lub filmem niczym się nie różni od przygotowań do szkolnego przedstawienia. W dodatku ci za to płacą.

17

- O czym ty mówisz? - zapytał z rozbawieniem. - Pozwól, że ujmę to w ten sposób. Wyobraź sobie, że jesteś w piątej klasie i chcesz wraz z kolegami wystawić Hamleta. | - Jasne. | - Nie ma jednak nikogo w najbliższej okolicy, kto] rzeczywiście mógłby zagrać rolę księcia Danii. Nadażasz za mną? Skinął głową, lecz zaraz dodał z nutą wątpliwości w głosie: - Chyba tak, ale do czego zmierza ta dziwna metafora? - Chcesz wystawić Hamleta, tylko że w piątej klasie nie ma dobrych Hamletów. Twój brat chodzi do ósmej, a jego kolega to świetny aktor. Dobrze byłoby mieć go w obsadzie, prawda? Nareszcie zadała jakieś proste pytanie, na które mógł

odpowiedzieć. - No tak... Lecz jak go namówić? Uśmiechnęła się. - I tu, mój drogi, wkraczasz w wiek męski. Elliott myślał przez chwilę nad kwiecistym sformułowaniem Niny i doszedł do zaskakujących wniosków. - Więc dlaczego, psia krew, sama nie spróbujesz? - Ja? - zająknęła się, nagle się rumieniając. - Ty. Przecież to twój pomysł. Czego masz się obawiać? - Mogłabym stracić pracę. - I co z tego? Od razu znajdziesz inną. Wiesz co myślę sobie, że to czcza gadanina. W gruncie rzeczy bra ci odwagi. Małeńki płomyk, który od dawna się tlił w zakamarkach jej duszy, strzelił jaśniejszym ogniem. 18

- Mam to traktować jak wyzwanie? - Szczerze? Być może w niezbyt zręczny sposób próbuję dodać ci odwagi. Znalazła się w ciasnym rogu. - Powiedz prawdę. Przecież stykasz się z nimi na co dzień. Miałabym jakąś szansę? - No pewnie! Dlatego mi się podobasz. Jesteś zupełnie nie inna niż ci gangsterzy w ciemnych garniturach. Sam też od nich odstaję, ale ty w porównaniu z nimi wyglądasz niczym przybysz z odległej planety. Mogłabyś stanowić świetną "kontrapropozycję", jak to powiadają w radiu. Przyznaj się, naprawdę nie chcesz tego zrobić? Odpowiedziała mu uśmiechem. - Hola... Wpychasz mi do głowy różne dziwne pomysły. - Zrealizuj je, Nino. Elliott wstał i wziął ją za rękę. - Chodź - rozkazał. - Dokąd? - Porozmawiamy z Howardem Spiro. Teraz. Przez weekend możesz się rozmyślić. - Zwariowałaś? Nigdy nie miałam dość odwagi, żeby powiedzieć mu "dzień dobry"! - Spróbuj więc "dobry wieczór". O tej porze to bardziej stosowne. - A jeśli go nie ma? - Howard Spiro znany jest każdemu przynajmniej z jednej rzeczy. NIGDY nie opuszcza biura.

19

Rozdział 3

Serce Niny waliło jak oszalałe. Elliott włókł ją niczym zbłąkaną jałówkę w głąb Siódmej Alei. Co to za szaleństwo? Godzinę temu była małym trybikiem w ogromnej maszynie i od dziewiątej do piątej pracownicę stukwała w klawisze, pisząc zazwyczaj nieprzyjemne listy w stylu: "Szanowny Panie NN, czytałam Pańską sztukę i z całym szacunkiem radzę, by zajął się Pan czymś innym. Z poważaniem i tak dalej". Teraz ten chłopiec - ten mężczyzna - wpychał ją w jaskrawy krąg światła ogólnego zainteresowania. Była zarazem przerażona i podekscytowana. W głębi serca zdawała sobie sprawę, że na to właśnie czekała. Wiatr wiejący już na dole na wyższych piętrach nabierał siły huraganu. Pod gabinetem Howarda Spiro ciągle trwały wytężone działania. Asystentka wiceprezesa Hilda Mamę, chudy babsztyl o wyglądzie papugi, znana po cichu przez wszystkich jako "Mnich Attyla", wydawała rozkazy tak samo energicznie jak o wpół do ósmej rano. Chociaż była zajęta, jej oczy rozbłysły, gdy spostrzegły dwoje kosmitów w kory-

20

tarzu. Innymi słowy, zobaczyła dwie znajome postacie, które w najbardziej niewłaściwej chwili znalazły się w niewłaściwym miejscu. - Nina i... jak ty się nazywasz? - Snyder. - Właśnie, Snyder. Co was tu przygnało? Nie byliście umówieni.

Elliott heroicznie wziął na siebie ciężar dalszej rozmowy. - Nina chciała na chwilę widzieć się z panem Spiro - oznajmił grzecznie i ze spokojem, a Nina była pod wrażeniem jego zachowania.

- Tak samo jak miliony innych. Jest zajęty. - Nie znajdzie nawet pięciu minut? Attyla nie nawykła do nawet tak słabego oporu wobec jej wyroków. Skrzyżowała ręce na piersiach i warknęła: - Nawet dwóch. Chyba że mu o tym powiem. - A jedną? - odważnie targował się Elliott. - Daj spokój, Snyder. Już wiem, dlaczego masz kiepskie notowania. Zabierz swoją dziewczynę i idź do domu. Tu się pracuje.

Nina wpadła w panikę. - Chodźmy, Elliott - błagała. - Nie dam sobie rady. - Nie, Nino. Nie zatrzymamy się na metr przed metą. - Popatrzył na cerbera w żeńskiej postaci i powiedział: - Panno Mamo, mogę pani zadać tylko dwa pytania?

- Owszem - burknęła, jakby chciała odpędzić zbyt natrętną muchę.
- A gdyby w tym momencie prezydent Stanów Zjednoczonych zechciał zamienić kilka słów z Howardem... to znaczy z panem Spiro? Znalazłoby się pięć minutek dla generała Eisenhowera?

Dźwięk wielkiego nazwiska oszołomił nawet Attylę.

21

- Oczywiście - odparła w odruchu patryotyzmu. - A zatem, Hildo, wiem z najlepszego źródła, że teraz nie przyjedzie. Mamy pięć minut dla Niny. Hilda westchnęła, uznając się za pokonaną. - Po co chcecie się widzieć z panem Spiro? Nina i Elliott wymienili spojrzenia. - Chodzi o przyszłość agencji - zaryzykował Elliott - Czyli gramy w tej samej drużynie. Mogę powie-

Bdziecie wam prawdę. Już wyszedł. - Cudownie - z ulgą westchnęła Nina. - Nie. - Elliott naciskał dalej. - Muszę pomówić z nim już teraz. Nie złapiemy go przez telefon? Hilda, niczym hałaśliwy świder parowy, powtórzył

z uporem: - Wyjechał na cały weekend. - Zadzwońmy do niego do domu. - Nie ma go... - umilkła w samą porę. Elliott wykorzystał okazję. - Na pewno go tam nie ma. Zadzwoń sama, czy mam zajrzeć do spisu klientów i odszukać numer dla pewnej blondynki, która ostatnio grała w...? Attyla, zbита z tropu, częściowo odzyskała normain; spokój ducha i wróciła na posterunek. - Dobrze, dobrze. Zaczekaj chwilę. Zniknęła za drzwiami, ale słyhać ją było tak wyraźni jak megafony na dworcu Grand Central. - Nie pytaj mnie, Howardzie - broniła się z zapamiętaniem. - Co, do diabła, mam zrobić, żeby się ich pozbyć

Zapadła cisza. Nina z niepokojem spojrzała na Elliotta. - A nie mówiłam? Po co mnie w to wciągnęłaś. Jeszcze chwila i stanę przed plutonem egzekucyjnym.

22

- Nie upadaj na duchu - powiedział na pocieszenie. Wróciła Attyla, pokonana, przeżywając gorzkie porażki. - Chce z tobą mówić, Nino - powiedziała i popa trzymała na Elliotta. - Tylko z tobą - dodała z naciskiem. Nina podniosła słuchawkę telefonu stojącego na biurku w gabinecie.

- Dzień dobry, panie Spiro - zaszczębiotała słodko. - Przepraszam za ten nagły alarm. Chcę jednak spytać, czy mogłabym dołączyć do obecnej grupy kandydatów... Chwilę później przerwała połączenie i ze źle skrywanym uśmiechem wyszła z gabinetu szefa. Dopóki byli w pobliżu Hildy, nie zamieniła z Elliottem ani słowa. - Co powiedział? Co powiedział? - nie wytrzymał Elliott, kiedy weszli do windy.

Nina ruchem dłoni nakazała mu milczenie i wskazała na przycisk w pobliżu drzwi.

- Krążą plotki, że Cy Temko kazał wmontować tam mikrofon. Wolę się o tym nie przekonać. Zanim wyszli do holu, Elliott już ledwo dyszał. - Co mówił?... Co? Co? Co?... - perkotał jak oszałała motorówka. Niemal klęknął przed Niną niczym zdeperowany petent.
- Powiedział, że da mi szansę. Mam się u niego stawić w poniedziałek o dziewiątej. - To cudownie! Co go przekonało? - Był niezwykle uprzejmy. Wspomniał, że... pod ten numer dzwonią jedynie producenci i dyrektorzy wielkich wytwórni filmowych. Taktownie dodał: "Podobasz mi się". Elliott się uśmiechnął.
- Mnie także, chociaż z całkiem innego powodu. Jesteś wolna dziś wieczór? Zapraszam cię na kolację. - Zupełnie wolna, panie Snyder. Wolna... jak ptaszek.

Rozdział 4

Howard Spiro był rozbawiony. Setki razy mijał Ninę w korytarzu i nigdy na nią nie spojrzął, aż do czasu kiedy otrzymał jej "nieszczęsne" podanie. : Zapomniał nawet, że dwa lata temu przez dwa tygodnie zastępowała jedną z jego sekretarek. Jawiła mu się jakoj myszka przypisana do konkretnej pracy. Nie widział nic co sprawiłoby, żeby nagle miał zmienić zdanie. Nina ze swoim spokojnym usposobieniem nie nadawała się m przebojową agentkę. - Co się stało, że po tylu latach zapragnęłaś znaleźć się po drugiej stronie biurka? - Wcześniej nie byłam gotowa. - Skąd wiesz, że teraz jesteś? - W piątek rozmawiałam z Elliottem Snyderem... - Z Elliottem? - parsknął król agentów. Przywykł do tego, żeby bez ogródek wyrażać swą opinię, nawet nie próbował ukryć pogardy w głosie. - Trudno go nazwać Ryszardem Lwie Serce - zauważył. Przemknęło mu przez głowę, że jakimś dziwnym

24

trafem lub na skrzydłach kismetu wpadło na siebie dwoje najbardziej naiwnych i niezdarnych pracowników agencji. Ledwie powstrzymał się od uwagi, że oboje powinni jak najszybciej poszukać posady w jakimś innym miejscu, lepiej pasującym do ich charakterów - na przykład w kwaciarni. Elliotta w myślach już wyrzucił za drzwi. Nina wciąż jednak była członkiem wspaniałej i wielkiej ro dziny Świata Show-biznesu i coś jej się należało za lata wiernej służby. Poza tym Howard był po prostu ciekaw, co też ta dziewczyna mogła naprawdę zdziałać... przed nieuchronnym powrotem do sekretariatu i maszyny do pisania. Czasami jednak dobrze jest za czuć tydzień jakimś wysoce hojnym gestem. Zwłaszcza że pod tym względem Howard Spiro miał spore zaleg łości. - No, dobrze, Nino. Zawrzyjmy pewien układ. Szkolenie potrwa jeszcze co najmniej miesiąc. Możesz zacząć od dzisiaj. Jeżeli weźmiesz urlop, pozwolę ci w połowie kursu dołączyć do zespołu. - Zgadzam się - odparła bez namysłu. - Wyśmienicie. Zaraz powiadomię kadry, żeby wpi sano cię na listę. A przy okazji, czym najbardziej byłabyś zainteresowana? - Chyba teatrem. - Dobrze. Pogadam z Martinem. Weźmie cię pod swoje skrzydła. Na pewno dopilnuje, byś odbyła rundę po dziale teatralnym. W ciągu najbliższej godziny czekaj na telefon od mojej sekretarki. - Dziękuję panu, panie Spiro. Nie będzie pan żałował. Minęła pora wzniosłej łąskawości. Howard miał o wiele poważniejsze sprawy, więc bez dalszych czułości mruknął

25

"do widzenia" i przez interkom wezwał smoczykę, by wprowadziła pierwszą gwiazdę. Elliott czekał pod drzwiami. Z podnieceniem krążył po pokoju, czym doprowadzał do obłądu

wszystkie trzy sekretarki Howarda. Rzucił się w stronę Niny. - I co? - Przyjął mnie. Przynajmniej do świąt Bożego Narodzenia. Tak się ucieszył, że odruchowo przytulił ją do siebie. - Przepraszam - mruknął i odskoczył. - Chyba się zapomniałem. - Nic nie szkodzi. To bardzo miłe - odparła. - Dziękuję, że mnie namówiłeś. Szybko pocałowała go w policzek. Jeżeli wziąć pod uwagę przydatność Niny i Elliotta do zawodu, to trzeba przyznać, że Howard Spiro miał całkowitą rację: oboje byli zbyt porządni. Ale i on po dwóch tygodniach spostrzegł dzielącą ich różnicę. Dla Elliotta brudne tajniki pracy stanowiły zupełną nowość. Co rusz doznawał gwałtownego paraliżu moralnego, który uniemożliwiał mu działanie. Nina odwrotnie, bardzo długo przypatrywała się odwiecznej wojnie z bezpiecznego schronienia za maszyną. W przeciwieństwie do Elliotta na całe cztery tygodnie zapomniała o wrodzonej łagodności i jak równy z równym walczyła z szakalami. Nikt jednak nie wiedział, czy w razie potrzeby zmusi się do tego, aby sięgnąć kłami do gardła przeciwnika. Była jedyną kobietą w zażartym zespole. Żadna z jej poprzedniczek nie wytrzymała ciągłej presji. Kilka z nich awansowało do rangi asystentek, lecz na tym koniec. Jak na ironię, od początku pełniła funkcję sekretarki, więc pierwszy i obowiązkowy etap miała praktycznie już za sobą.

26

Teraz jednak podczas narady siadała między szefem i klientem. Czasami, chociaż bardzo rzadko, proszono ją o opinię. Zaczęła od współpracy z Christopherem Bachrachem, starszym agentem średniego stopnia. Bachrach był całkowitym zaprzeczeniem stereotypu hałaśliwego i wygadane kupca. W cichy i spokojny sposób pokierował dalszą kańerą takich tuzów, jak Tennessee Williams i młody energiczny Neil Simon. Szczodrze dzielił się z Niną swym wieloletnim doświadczeniem. W czasie praktyki u jego boku poznała wielu początkujących - i kilku starszych wiekiem - dramaturgów, którym Christopher poświęcał równie wiele uwagi jak słynnym gwiazdorom. Bywało, że z jego polecenia Nina zapraszała trzech albo czterech z nich na jakiś wspólny obiad. - A nie będą się kłócić? - pytała. - Słuszne pytanie, Nino. Sęk w tym, że jest coś, co cenią więcej niż dumę. Najzwyczajniej w świecie są głodni i nigdy nie odmówią dobrego poczęstunku. W takich wypadkach Nina uśmiechała się w duchu. Jej zdaniem Christopher był człowiekiem o szczerolotym sercu. Być może to sprawiało, że nie wspiął się wyżej po szczeblach kariery. Sama z kolei żyła i działała w myśl całkowicie indywidualnych reguł. W odróżnieniu od wszystkich rywali nie czuła nienawiści, podejrzeń i wzgardy wobec swoich klientów. Nie obmawiała ich za plecami. Jej emocje oscylowały pomiędzy entuzjazmem a szczerym uwielbieniem. Podziwiała aktorów - choć byli infantylni - i szanowała reżyserów, choć byli wszechwiedzący. Specjalne miejsce w sercu rezerwowała dla pisarzy, autorów i scenarzystów, bo dawno już wyczuła, że to właśnie oni

27

są najbardziej bezbronni i że im potrzeba wsparcia i pomocy. Pierwsza i najgorsza runda skończyła się przed Bożym Narodzeniem. Wszyscy kandydaci, nie wyłączając Niny której darowano praktykę w głównej kancelarii, z niepo kojem czekali na wyrok. "Promocja" przychodziła w dużej (szarej kopercie w postaci kartki ze słowami "Wesołyci Świąt!". Niektórzy więc obchodzili weselsze święta o innych. Bezapelacyjnym prymusem grupy okazał się Lenny Miller. Nie tylko otrzymał czek na równe tysiąc dolarów, ale też zapewnienie, że po

Nowym Roku rozpoczął pracę asystenta pod okiem Howarda Spiro. Powiodło mu się? - pomyślała Nina, stojąc w długiej kolejce po odbiór kopert. Lenny Miller z triumfem pomachał czekiem w powietrzu i zatrąbił: - Popatrzcie! Moje pierwsze tysiąc zielonych! We sołych Świąt, kochany Lenny! Nie czekał, co dostaną inni, lecz natychmiast pognał do telefonu, żeby zadzwonić do rodziców. Powiedział im, że za trzy lata wszyscy razem spędzą Boże Narodzenie na Florydzie, a za pięć - najwyżej pięć - również tam, tyle że w jego własnym domu. Władcy Świata Show-biznesu na swój sposób lubili Ninę, chociaż nie mieli złudzeń co do jej przyszłości. Dostała trzysta pięćdziesiąt dolarów i angaż na młodszego agenta. Była tym rozczarowana, lecz nic nie mówiła, bo i tak miała dużo więcej szczęścia niż Elliott Snyder. Na jego twarzy malowała się gorycz porażki. W kopercie znalazł zaledwie pięćdziesiąt dolarów i ponurą wiadomość, że po wesołych świątach może co najwyżej z powrotem się zgłosić na praktykę do kancelarii.

28

Taki cios zdołałby powalić silniejszych od niego, a Elliott nie nadawał się na bohatera. Wszyscy jego rywale przed otwarciem koperty starannie się zamykali w męskiej toalecie. Elliott zaś, z charakterystyczną dla siebie naiwnością, od razu zajrzał do środka, jak tylko ją otrzymał. Kiedy biegł korytarzem w kierunku wucetu, łzy ciekły mu strumieniem po policzkach. Nina ledwie zdążyła złapać go za ramię. - Puść mnie. Porter - zaszlochał. - Pozwól mi spokojnie wyskoczyć przez okno. - Nie rób tego. Jest zima, a ty nie masz palta. Daj mi najwyżej dziesięć minut, a wymienię ci dziesięć powodów, dla których warto żyć dalej. Elliott zatrzymał się na chwilę. W głębi sali widział swoich dawnych kolegów - a wkrótce przełożonych - palących fajkę przyjaźni i dzielących się marzeniami. On już zaznał losu gorszego od śmierci. Nie nadawał się na agenta i przy wszystkich zwyczajnie się rozbeczał. A jednak jej słowa przywróciły mu chęć do życia. Masz rację, Nino. Jeszcze im kiedyś dokopię. Zmusił się do uśmiechu. "Potrafisz czynić cuda, mała", szepnął. - To śmieszne - wyznał po pewnym czasie, wciąż z wilgotnymi oczami, popijając koktajl Manhattan, który mu postawiła Nina. - Byłem zupełnie pewien, że skreślą właśnie ciebie. - Bo jestem kobietą? - zapytała. - Niezupełnie. Bo jesteś zbyt porządna. Znasz jakąś posadę dla błazna za pięćdziesiąt dolarów, wywalonego z kancelarii? - Takich stanowisk są miliony - odparła tonem pocieszenia. - Wymień choć jedno.

29

- Dyrektor Centralnego Urzędu Pocztowego - wypaliła bez zastanowienia. - Przyznaję, Nino, że masz wyobraźnię. Przynajmniej wiem, co chcę zrobić z tak zwaną świąteczną premią.

Wziął głębszy oddech i popatrzył na nią oczami skrzywdzonego psiaka. - Jak pytają w piosence: "Co robisz w sylwestra?". - Co robię? - powiedziała wolno. - Ponad dwadzieścia lat spędzałam to wzniosłe święto razem z ro dzicami. - Och, przepraszam. Za wiele wymagam od życia. - Ależ nie! W ten sposób dałam ci do zrozumienia, że tym razem nie jadę do Miami. Chyba trochę dorosłam, bo wolę zostać z tobą. Uśmiechnęła się. Potem on się uśmiechnął. Co można robić w sylwestra za pięćdziesiąt dolarów? Wykpili go w Copacabanie. Dosłownie wyrzucili ze Star-light Roof w Waldorfie. Może lepiej udawać kogoś bardzo sławnego? Albo przynajmniej bogacza. A przecież miał coś jeszcze w zanadru. Do

tej pory nie musiał płacić za wstęp do kina lub teatru (praktykantom także dawali zupełnie darmowe bilety). Skrupulatnie odkładał część stałych dochodów, więc zaoszczędził w banku sto dwadzieścia dwa dolary. Podjął je z lekkim sercem. Myślał: Tam, do licha! Drugą pracę na pewno znajdę, ale nie znajdę drugiej Niny. Powołał się na jednego z gigantów WMA i jako sam Cy Temko zarezerwował stolik w uprzednio "wyprzedanym" Starlight Roof. Posady nie mógł stracić, bo go i tak wylano, a zatem ryzykował jedynie gniew magnata. Nie wiedział tylko, jak wytłumaczy, że pan Temko to jednak pan Snyder. Modlił się w duchu, żeby prawdziwy

Temko

30

tej nocy bawił się gdzieś indziej. Po długich poszukiwaniach znalazł w wypożyczalni smoking na swoją miarę i wydał całe pięć dolarów na fryzjera u Paula Molego. Był tak zdenerwowany, że bez celu chodził Piątą Aleją aż do spotkania z Niną. Nacisnął guzik domofonu. Nina zjawiała się natychmiast. Prawie jej nie rozpoznał. Miała na sobie wydekoltowaną błyszczącą suknię (kupioną) i wyraźnie nie poskapiła grosza na szalową fryzurę a la Pierre Bonchance. Prezentowała się cudownie, w ruben-sowskim stylu. Na powitanie pocałowała go w policzek. Dzięki Bogu, pomyślał Elliott, bo w przeciwnym razie bałbym się jej dotknąć do końca wieczora. Poszli do Starlight Roof. W windzie Elliott szepnął: - Dobry Boże... Nino, wyglądasz wspaniale. Jako dziecko słyszała często, że jest "słodka", "ujmująca", "zdrowa". Same eufemizmy. Nikt nie nazwał ją "piękną". Czy ten chłopak zwariował? A może to jednak efekt godzin spędzonych przed lustrem? W drzwiach restauracji serdecznie ich powitał elegancki kierownik sali. Skrywał rozczarowanie, że pan Temko jednak nie przyjdzie. Mimo to grał dobrze swoją rolę. Elliott w podziękowaniu dał mu do zrozumienia, że może później liczyć na sowity napiwek. Nina nie kryła zaskoczenia, kiedy zajęli miejsca przy stoliku. - Jak ci się to udało w najgorętszą noc w roku? Wokół nas są sami milionerzy lub gwiazdy. - A mnie zaliczasz do której kategorii? - zażartował Elliott. Orkiestra zaczęła grać, więc poprosił Ninę do tańca. Ledwie dorównywał jej wzrostem, ale okazał się zna-

31

komitym tancerzem. Prowadził ją lekko, pewnie i z nielichwą sły chana gracją. - Świetnie tańczysz. Uśmiechnął się. - Chociaż to robię dobrze. - Przestań... W taką noc nie warto mówić o niepowodzeniach. Pomyślimy o tym kiedy indziej. Spróbowali niezwykłych potraw ze słynnej kuchni Waldorfa, lecz żadne z nich nie pamiętało później, ci jedli. Wiedzieli za to, że wypili całe morze szampana rodem z Kalifornii, rano bowiem na kaca potrzebna ir była fiołka aspiryny. Elliott toczył wewnętrzną walkę: zaprosić ją do siebie czy odwieźć do domu? Ostrożność wzięła jednak górę i tuż po czwartej rano odprowadził Ninę do jej skromnego klasztoru. Pół godziny później zadzwonił. - Chcę ci tylko powiedzieć, że świetnie się bawiłem| - Nie chciałabym być nudna, ale powtórzę raz jeszcze-| cze, że ja także. Następnego dnia wybrali się dla odświeżenia na prze*

chadzkę po Central Parku. Żadne z nich nie przywykło do takiej pijatyki, w jakiej brali udział w sylwestrowy wieczór. Kiepsko z nimi, pomyślała Nina. A może to najwłaściwsza chwila, żeby go zapytać o bolesne wspomnienia?

- Elliott... Powiedz mi, dlaczego nie chcesz porozmawiać ze mną o swoim dzieciństwie? Spotkało cię coś złego?

- Nie warto do tego wracać.

- Takie to nudne? - Ani trochę. Raczej przygnębiające.

32

- Rodzice cię odumarli? - delikatnie zapytała Nina. - Gorzej. Żyli... i przez nich żałowałem, że się urodziłem. - A czym ich skrzywdziłeś? Elliott wziął głęboki oddech. Na swój sposób dał jej

znak, że się poddaje. - Przestałem rosnąć - wyznał. - Chyba kpisz?! - zawołała. -

Chciałbym, żeby tak było. - Znowu westchnął i dodał: - Widzisz, mój tato miał metr dziewięćdziesiąt.

- No to co? - Grał nawet w koszykówkę, w amatorskiej lidze.

- I?

- Może nie zauważyłaś, że ja jestem trochę niższy?

Prawie trzydzieści centymetrów. - Wystarczy - oświadczyła Nina. Zrobiło jej się bardzo smutno. Wiedziała już, co go gnębi. Wstydził się

swojego wzrostu. - Byłem zbyt mały, żeby grać w kosza choćby na podwórku - dokończył

żałosnym tonem. - To takie ważne? - ze zdumieniem zapytała Nina. - Tak. Przynajmniej

dla niego. Tym bardziej że moje siostry wyraźnie wdały się w tatę. - Wybacz, lecz wciąż

uważam, że to żadna tragedia. - Zaczekaj, nic jeszcze nie wiesz o sobotnich wieczorach...

Mój kochany ojciec zalewał się w trupa i krzyczał na całe gardło: "Bóg pokarał mnie tym

chłopakiem!" albo "Co też uczyniłem, że za karę dostałem gamonia tchórza?! Na dodatek

karła!". - To mi podpada pod paragraf o maltretowaniu dzieci.

logłeś wezwać policję. - Nie - odparł i potrząsnął głową, jakby znów roz-

33

pamiętywał dawne ciosy i kuksańce. Spojrzał na Ninę po chwili dobrnął do puenty. - Tato był policjantem!

- A mama? - Nie uwierzysz - odpowiedział niemal ze smikiem,

chem, rozbawiony ironią losu. - Też służyła w policji i to w stopniu sierżanta. - Widział smutną

twarz Niny. Szczerze żałowała swojej ciekawości. Było jej naprawdę przykro, że skłoniła go do

zwierzeń. - Lepiej zmienn

temat - mruknął. - Zgoda - powiedziała. - Pogadajmy o czym

weselszym. Może o wojnie w Indochinach? Zanim minął styczeń, chodzili ze sobą na stałe.

Rozdział 5

Tuż po Nowym Roku Nina otrzymała przydział do najwyższej rangą agentki WMA, czyli do Inny Kalish. To była prawdziwa kula ognia, podstępna i twarda, zdolna pewnie, by wspiąć się

na najwyższe szczyty, gdyby nie mały kłopot... Sęk w tym, że urodziła się kobietą. Czternaście

lat działała na rzecz agencji i sprzedała dwanaście przedstawień na Broadwayu - trzy z nich

następnie sfilmowano - a jednak zarząd nie dał jej awansu. Nie miała biurka pod oknem. -

Ciekawe, dlaczego wcale jej to nie przeszkadza? - szepnęła Nina do Mani podczas któregoś lunchu. - Przecież robią jej na złość. - Robią - przytaknęła Maria. - Ale to najwyżej rfatna nędzna fucha w całej agencji. Każą jej siedzieć w kącie i załatwiać klientów, bo wydaje im się, że przez o są lepsi. Inna jest na tyle cwana, żeby grać według ich 'eguł. Myślę jednak, że ty, Nino, kiedyś będziesz miała •woj własny gabinet. Nie jedno, lecz dwa okna, na dwu-ziestym pierwszym piętrze!

35

- Własne biuro? Spodobały ci się powieści, Mari Przyjaciółka puściła mimo uszu tę kpinę i przeszła i ważniejszych rzeczy. - Musisz mi coś obiecać. Jak już wejdiesz na gór to weź mnie ze sobą. - Oczywiście - z roztargnieniem odpowiedzi Nina. Studiowała cholernie ciężko na "akademii Irmy W tym wypadku najistotniejszą sprawą było "kalej(skopowe postrzeganie prawdy", czyli, mówiąc norma nym językiem, kwestia, co przemilczeć i jak umiejętni skłamać dla zarobku i zabawy. Ot, choćby taki prz;! kład: panna Irma chciała wcisnąć młodego aktora opoi nemu producentowi. Podkreślała, że ów młodzieniec grał już główne role w sztukach Szekspira i Bemarc Shawa. - Pamiętasz recenzje, jakie wówczas dostał? - z, pytała. - Eee... nie. - Tu producent kaszłał i udzielał w} krętnych odpowiedzi. - Och, Earl... Gdybyś trochę lepiej odrobił zadani wiedziałbyś, że zebrał wyłącznie pochwały. To urodzol talent i jak go nie weźmiesz, pewnego dnia się obudzi z ręką w pełnym nocniku. Nieważne, że wspomniane pochwały pochodził

^ ^ -- -, "^^ ,, m yLW^UOŁ^IH..

Szczerze oddany, przychodził pierwszy na odprawę i brał z uczelnianej gazetki i lokalnego tygodnika. Młody człcadodatkową zmianę, jeśli nikt więcej się nie zgłaszał (w wiek nie stworzył całkiem nowej wizji postaci HamleMtej profesji nie można było polegać na załodze). Po

im <-i7m horrl-710; TWyfoowi U; rrmv.c.r, T,^,^ -;"I" ;^^~"«-

36

zrozumienia, że w jego sprawie wspięła się na szczyt Everestu.

- O mój Boże! - nie wytrzymała Nina, kiedy jej szefowa odłożyła słuchawkę. Aż pokraśniała z radości ze

zwycięstwa. - Pokocha cię na całe życie za to, co zrobiłaś!

Inna uśmiechnęła się drwiąco. - Moja droga... W tym zawodzie możesz być pewna, że nie ma nic pewnego. Zaręczam ci, że jeśli tylko sztuka się spodoba, pan Dean przestanie odbierać moje telefony. - Niemożliwe - jęknęła przygaszona Nina. - Nic się nie martw - pocieszyła ją Inna. - Jak zrobi klapę, to ja nie podniosę słuchawki.

Wkrótce potem wspomniany aktor - niejaki James Dean - trafił do Hollywood i natychmiast zmienił agenta.

Mimo to Inna wciąż powtarzała, że był jej "wyłącznym dziełem".

Elliott z kolei, zniechęcony do kontaktów z gwiazdami, postanowił zrobić karierę w całkiem innym zawodzie. Za jął się samochodami. Skoro nie powiodło mu się na wyżych, skoczył

na samo dno. Też dobrze. Jego zwierzchnikiem był Ivan "Król" Kohl, niekwestionowany władca śródmiejskich parkingów. Swoim majestatem oczarował Elliotta. Ten z kolei stał się prawdziwym pracusiem.

Jeśli nie można było polegać na załodze). Po

bardziej profesora Higginsa. Inna miała jedną pewnym czasie Kohl codziennie zabierał Elliotta na lunch

dar przekonywania i skołowany producent musiał wreszć swoim ulubionym dęli i dzielił się z nim marzeniami. cię ulec. Z ciężkim sercem wspominał o drugorzędni Miał syna, lecz jak wspominał czule: "To zwykły kawał roli licealnego trenera koszykówki. Łatwy kawałek. Irm tapserdaka. Wdał się w rodzinę matki". Sam był ponurym za to, już w rozmowie z aktorem, wyraźnie dała mu d mrukiem o szczerzłym sercu. Urodzony do walki _

37

wyrwał się na spokojniejsze wody z Red Hook na Br< lynie, gdzie wszystkie samochody pochodziły z kradzie: Jeździli nimi jego rówieśnicy. Najpierw obsługiwał pom na stacji benzynowej. Potem właściciel wziął go na wsp< nika. Kohl tak porósł w piórka, że nawet zdobył kredyt budowę pierwszego garażu. Po pięćdziesiątce był du grubszy, niż powinien, lecz nie przejmował się cho sterolem. Pierwszy niewielki parking otworzył w pobli: Brooklyn Borough Hali, a niecałe dwa lata później prz niósł się do El Dorado - czyli na Manhattan - i nigdy nie spojrzął za siebie. Często to wyjaśniał Elliottowi pr

gorących pastrami. i - Ludzie myślą - głosił, mając pełne usta - I parking to kawałek placu i tablica. Mylą się, mój droż Jest w tym wiele nauki i prawdziwa sztuka. Wykonał prawą ręką swój własny gest kreacji. Elliott wiedział już, że szef jest łasy na pochwai Odczekał więc, aż Król upił łyk toniku. - Bez wątpienia. Zgadza się z tobą. Królu - odp zręcznie. - Można także wspomnieć o architektu; Gospodarce przestrzeni... Spójrzmy tylko na różni między volkswagenem i choćby cadiiakiem... - Już spojrzalem, mój mały. Limuzyna na je miejsce i dwa VW na drugie.

- Kurka wodna! - W starym mózgu tli się życie - odparł K(i trzasnął dłonią w blat stołu. - Tu nie Rosja, gd wszyscy razem jeżdżą tym samym gruchotem. - O ile go w ogóle mają - uściślił Elliott. Ta uwaga spotkała się z kolejnym walnięciem w s i pochwałą płynącą z ust zapchanych pastrami. - Właśnie! Celnieś to ujął, mały.

38

- Dzięki... - (Elliott powstrzymał się w porę, by nie dodać: "Wasza Wysokość"). - Sprytny z ciebie chłopaczk i ciężko pracujesz. Trzymaj się mnie, synu, bo parkingi to wierzchołek wiel kiej góry lodowej. Podbijemy ten cholerny kraj. Stąd każda droga prowadzi tylko w górę. Nowy parking był wkrótce gotów. Od pierwszego wie czora zapchano go samochodami i wszystko wskazywało na to, że tak już zostanie. Ale parkingi Króla, jak teatry, same się napędzały. Pierwszy sukces pozwolił mu na realizację kolejnej apokaliptycznej wizji zbudowania dru giego, trzeciego i czwartego betonowego piętra nad obec nym parkatorium. Na wierzchołku, dla uspokojenia Ojców Miasta, miała być część mieszkalna. W razie kłopotów i Król miał dobrych przyjaciół w otoczeniu burmistrza. Elliott w pełni popierał

zapędy monarchy, więc Kohl był dumny, że zyskał duchowego syna. Przynależał mu, iż go zwolni z najcięższych obowiązków, jak tylko znajdzie dobrego pracownika. W ogóle całym zachowaniem zdradzał szacunek dla następcy. | Nina cieszyła się sukcesem swojego chłopca. Elliott nagle odzyskał całe amourpropre, ufność we własne siły i chęć do życia. Potrafił nawet znaleźć w pracy istne perełki humoru. Zdradził Ninie, że na co dzień spotyka dawnych znajomych. Howard Spiro parkował u nich Lincolna kontinenta. - Muszę się mocno powstrzymać, żeby nie zdrapać lakieru - mówił Elliott, na pół żartem. - W myśl 'mowy żaden z parkingowych nie ponosi odpowiedzialności za zniszczenia. Z przyjemnością odprawił swojego rywala, Lenny'ego Millera, kiedy ten chciał wykupić stały abonament.

39

Mał

- Przykro mi, panie Miller. Trzeba było przyjść wcześniej, | Słodka zemsta. Lenny poszedł jak zmyty i obiecał sobie, że już nigdy nie będzie kpił z niższych od siebie Kandydatów na stanowisko Elliotta było równie wie) jak na przesłuchaniach przed jakąś nową sztuką. W długiej kolejce stanęła bez mała połowa Związku Aktorów. Elliot zaś całkiem rozsądnie wybrał młodego dramaturga Małshalla Newmana, który ostatnie dwa lata (a długi stał w tym zawodzie był znakiem solidności) przepracował w garażu Kohia przy Central Park South. Marshall tak się ucieszył, że uściskał swego dobroczyńcę. Aby zmiało odbyła się bez bólu, postanowiono, że Elliott jeszcze przez miesiąc pozostanie na dawnej posadzie i pomoże następcy pociągać za odpowiednie sznurki. | Przy odsłoniętej kurtynie, między ósmą i jedenastą, w parkingu nie było zbyt wiele roboty. Siadali wówczas w którejś budce ("wjazd" lub "wyjazd"), skąpo oświetlonej czterdziestowatową żarówką ("Prąd kosztuje" A mawiał wielki filozof). Marshall pisał, a Elliott czytał Lubili to, więc nic dziwnego, że po pewnym czasie Marshall przekonał Elliotta do lektury jego dzieł zebranych. Elliott zgodził się, bo najzwyczajniej w świecie nie miał zielonego pojęcia, co go naprawdę czeka. Stos sztuk Marshalla był ogromny. Najwcześniejsze zaliczały się do podgatunku "miecza i sandałów", czyli dramatów kostiumowych, o epickim rozmachu, mówiących o miłości i pożądaniu, w miejscach, które aż zwiedzał tylko we śnie. Zreformowany Elliott uznał go za twórcę poszukującego dobrego tematu. Marshall miał talent - pod warunkiem że nie pisał o władcy Wschodu.

40

- A cóż w tym złego? - pytał ambitny dramaturg. - Nic. Kogo jednak obchodzi jakieś rozgrywki gangów w starożytnym Rzymie? - Znasz Juliusza Cezara? - Owszem. Zbiera kurz na mojej półce, zaraz obok Antoniusza i Kleopatry. Powiem ci szczerze, Marshall. Weź się do czegoś, co znasz z własnego doświadczenia. - Może mam pisać o swoim dzieciństwie na Brooklynie? - skrzywił się ironicznie. - Czemu nie? - Kto, do diabła, zechce to oglądać? - Na początek, że dwa miliony ludzi, którzy wciąż tam mieszkają. Znasz świetne anegdoty z codziennego życia. Sam mi je opowiadałeś. Dlaczego nie przelejesz kilku z nich na papier i nie sprawdzisz, co się wtedy stanie?

- Od razu widać, że nie nadajesz się na agenta - burknął Marshall i wrócił do pisania opowieści grozy z czasów hiszpańskiej konkwisty w Peru. - To coś naprawdę dobrego -

oznajmił tydzień później i wcisnął plik arkuszy w rękę Elliotta. Elliott otworzył manuskrypt, zerknął na pierwszą stronę, potem na drugą, a następnie przekartkował resztę. - To zwykła chała. Wyświadczę ci pewną przysługę. - Jaka?

- Nie przeczytam już ani jednej twojej sztuki, dopóki nie napiszesz czegoś o sobie. O swoich bliskich, o latach spędzonych na Brooklynie... O tym, jak byłeś chłopcem pa posyłki u tego faceta z mafii. Ogłosili zawieszenie broni przynajmniej do końca pmiiany. Później poszli do baru Hannigana i zamówili yiwo, w nadziei na rozsądną dyskusję. Elliott zadzwonił

41

do Niny i uprzedził ją, że się spóźni. Była zadowolona kiedy zdradził jej powód. Zabrało mu to jeden dzień. Marshall nawet nie wiedział że tak dużo może napisać w tak krótkim czasie. N zdawał sobie sprawy, że bez snu przesiedział ponad dób Tryskał słowami jak Niagara. Następnego ranka, tuż prz< pracą, miał już gotowy zrab sztuki, której domagał s]

EUiott. 1 Tym razem nie musiał czekać. Główny parkingo^ usiadł i zabrał się do czytania. Dwadzieścia minut późni przez megafon wezwał Marshalla pędem do swoje0

biura. Marshall przybiegł i warknął ze złością:

- Co z tobą? Zwaliło się nam z pół ulicy spóźni skich. Czego chcesz? - Pomyślałem sobie, że się ucieszysz, jak posłuchał najnowszych wiadomości. B - Nic nie mów... Spodobało ci się? - To stara wiadomość - wesoło odpowiedział liott. - Wiedziałem, że mi się spodoba. Najważniejszy mój miły, że cały świat będzie za tym szalał. A teraz id

do samochodów. - Ani myślę! Skoro ta sztuka jest tak dobra, natyc] miast rzucam tę przeklętą pracę! EUiott starał się go uspokoić, przekrzykując jęk kła sonów. - Marshall, stary... Jeszcze daleko do premiery. N2

pierw musisz to sprzedać jakimś producentom. Co z mierzasz? - Przecież twoja dziewczyna pracuje w wielkiej agę; cji. Tam właśnie mnie odrzucili. - Szanuj Ninę, ale jest tylko zwykłą asystentką.

42

- Sam mówiłeś, że ma niezłego kręcka na punkcie teatru. Coś mi podpowiada, że jak chociaż w połowie poprze twoją opinię, to w przyszłym roku będę miał stolik numer jeden u Sardiego. Wycie nabrało groźnych dźwięków. Słysząc było także gniewne okrzyki ludzi, którzy dosyć słono zapłacili za bilet na dzisiejsze przedstawienie, a teraz utknęli w korku. - Posłuchaj mnie... - zaczął Elliott ugodowym tonem. - Wróć tam i załatw klientów. Nina jutro przeczyta twoją sztukę. - Nie - sprzeciwił się Marshall. - Musi to zrobić dzisiaj. Wyślemy ją do niej taksówką. - Zgoda, zgoda... - skapitulował Elliott. - A teraz idź już i rozplącz ten supeł, bo wszystkich nas zaraz przymkną za zakłócanie spokoju.

Rozdział 6

lepszym młodym komediopisarzem od czasów Neila Simona.

- Kawał dobrej roboty! - zawołała. - Co za dureń przegonił cię z agencji? Z samego rana dam to Irmie. - I postarasz się, żeby to sprzedała?

- Nie muszę - zapewniła go Nina. - Ta sztuka sama się sprzeda.

* * *

Przez cały czas ich "narzeczeństwa" Elliott trzymał się z daleka od zawodowego życia Niny. Czasami ty i Ł wymienili parę luźnych uwag o jakimś przedstawieniu, lecz poza tym nie wchodził na jej teren. Tak czy ów; ona przeszła najgorszą próbę ognia, a on - nie. To dawne, pewne pojęcie o jego zdolnościach do rzetelnej oceny materiału. Teraz jednak zrobił wyjątek. Wieczorem zateli fonował do niej. - Na litość boską, Eli, mam stertę utworów, sięgając połowy Empire State Building. Nie możesz poczekać do piątku? - Nie, Nino. Uwierz mi, to coś szczególniego. Bo się, że jak dziś mu nie odpowiesz, odda to komuś innemu. Proszę cię... Czyta się bardzo lekko. Jak już ochłoniesz śmiechu, to zadzwoń. - No, dobrze - westchnęła Nina. - Czekam przesyłkę. Spotkali się we trójkę tuż przed pierwszą w nocy. Nina oznajmiła kategorycznym tonem, że Marshall jest naj

44

Kłopot w tym, że Inna nie paliła się do czytania. - Hola, hola, kochanie... - powiedziała wyniośle. - Wiesz zapewne, że przyjąłem żelazną zasadę nie prze glądać niczego, co mi podsuwają z boku. - Ale to dobra sztuka, Irmo. Ręczę za to. - Przykro mi, kotku. Lubię cię, lecz przecież muszę trzymać się jakichś reguł. W przeciwnym razie przegapiła bym najważniejsze sprawy. - Ta też jest ważna!

- Więc ktoś na pewno ją odkryje. Chyba w to wierysz, skoro mówisz z tak dużym zapalem. - Ktoś inny też zgarnie opcję? - Mam się tym martwić? - Mogę spróbować? Na przykład w czasie południowej przerwy? - To wykluczone. Nawet wtedy gdy pałaszujesz kanapki, twój umysł należy do mnie. A teraz bierz notatnik i pisz list do Davida Merricka.

Inna jak zwykle dyktowała z szybkością cekaemu. Mogłoby się wydawać, że chciała udowodnić swoim asystentkom, iż żadne pióro nie jest w stanie nadążyć za jej myślą. Strzeliła krótkim, ale krwistym panegi-

45

rykiem o muzycznej wersji Moby Dicka, napisanej przez dwóch jej najlepszych klientów. Zgodnie z ustalonym < dawną zwyczajem, dała do zrozumienia, że produce powinien być do zgonnie wdzięczny za tych kilka niżej zwykle celnych uwag. "Po prostu wróć do książki, Davidzie. Wyobraź sobie jak jej słowa zabrzmiały na tle muzyki. Zadzwoń jutro i pogadamy przy obiedzie. Jesteś moim dłużnikiem, za to co dla Ciebie robię. Buziaki, Inna". Królowa agentów (bez biurka przy oknie) miała swój stały stolik u Sardiego. Zanim wyszła na zwyczajny QW trzy martini z Kimś Bardzo Ważnym, sprawdziła wszystkie telefony. Nie wierzyła dziewczętom pracującym w centrali i podejrzewała, że Howard je przekupił, ale część informacji sphywała do niego. Żeby temu zapobiec jedna z jej sekretarek pełniła ciągłą służbę przy słuchawce. Dzisiaj wypadła kolej na Ninę. Po wyjściu Inna zateli tonowała natychmiast do Elliotta i powiedziała mu, (się stało. - Stara wiedźma cierpi na obstrukcję - mruknął. - Wiem, ale, co najgorsze, wcale nie wierzy moi: zapewnieniom. Przeczytałaby całość najwyżej w półtora godziny. W zamian za to posyła kiepski musical Merrickowi. Na pewno mu się nie spodoba. Nie sądzę, że1» choć pobieżnie zapoznała się z tekstem. Sprzedaje płyt^ a nie sztukę. Chciałam już do przesyłki dołączyć utwór Marshalla, ale to przecież czyste

samobójstwo, I - Skądże! Wspaniały pomysł. W gruncie rzeczy, ci masz do stracenia? -
No... choćby pracę - odparła. - Ależ Nino... Mniej ode mnie wierzysz w praw rynku?
46

.. To najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu czytałam. _ Merrick przegląda scenariusze?
- Pod warunkiem że pochodzą od Inny. - Więc bierz się do roboty. Uzbrój torpedę! W naj
gorszym razie dam ci pracę u siebie, na parkingu. Mówią, że tajemnica sukcesów w show-
biznesie tkwi przede wszystkim w zamiłowaniu do ryzyka.
! - Dzięki, że ryzykujesz teraz moją głowę - uszczyp liwie powiedziała Nina.
- Posłuchaj, kotku. Zrobisz, jak uważasz. Dzisiaj dzień popołudniówek. Mam klientów.
Zadzwoń, kiedy się przejaśni.

Nina odłożyła słuchawkę i popatrzyła na wciąż otwartą kopertę z Moby Dickiem. Podjęła już
decyzję. Pytanie brzmiało, czy zmienić list Inny, czy dołożyć własny? Zastanawiała się przez
mgnienie oka. Fałszywy list za krawał na przestępstwo, a parę słów od siebie... to naj wyżej
bezczelność, tutaj uznawana za powód do dumy.

Na wszelki wypadek użyła liczby mnogiej i napisała pod podpisem Inny: "PS

A przy okazji, przejrzyj załączoną sztukę, pod tytułem Minstrel z Brooklynu.

Naszym zdaniem to prawdziwy przebój. Zobacz sam i pogadamy, jak już ochłoniesz ze
śmiechu". Nagryzmoła jakiś kulfon, przypięła list do manuskryptu, zakleiła kopertę taśmą i
wezwała gońca.

Rozdział 7

był przekonany, że miejscowi plotkarze wezmą go na
języki. Postanowił zatem nie wychodzić z bunkra i czytać
scenariusze. Lokaj postawił przed nim samotny kieliszek
szampana. Merrick spojrzał na świeżą pocztę leżącą na
biurku. Na samym wierzchu spoczywała wypchana koper
przesłana mu w imię starej przyjaciółni przez Imię Kalish.
Zwykle dostawał od niej teksty przed innymi. Miał na
że tym razem wyszperała coś naprawdę dobrego.
czym mógłby poprawić swój ponury nastrój. Choćby
kawalek uśmiechu. Rozciął kopertę i w jej wnętrzu znalazł
nie jeden, ale dwa rękopisy.

ta,

dzieję,
Coś.

A to ciekawe... - pomyślał. Inna nic nie wspominała
mi o tym przez telefon. Wziął Minstrela z Brooklynu,
Marshall Newman mieszkał w Nowym Jorku od trzech przeczytał list i krótki dopisek Niny.
lat, czterech miesięcy i dwudziestu dziewięciu dni. W tył Mimo pochwał ze strony Inny czuł
chwilową odrazę do czasie jego nadzieje jeździły w dół i w górę o wiel wszystkich morskich
stworzeń i nie miał ochoty na Moby częściej niż windy w Empire State Building. I tak sam
Dicka. Zajął się więc drugą sztuką. Nie byłby największym jak windy, wciąż tkwiły w czterech
ścianach. Marsha producentem w dziejach Broadwayu, gdyby oprócz rozu- uważał jednak, że
los się odmieni. To tylko kwestia czasu mu czasem się nie kierował zwykłym, pierwotnym
instyn- Ze stoickim spokojem oczekiwał cudu. ktem. A brązowa okładka Minstrela
wydzielala magne- Wszystko zdarzyło się w ciągu zaledwie dwudziest tyczne fluidy. Merrick

otworzył scenopis na pierwszej czterech godzin. Na początek, z wieczora, zmysłowa gwiazdka na stronie i zaczął czytać. Zanim przewrócił kartkę, uśmiech-da najnowszej rewii Ziegfielda, Bossie Worthington, zatnął się szeroko. Po chwili zachichotał. Parsknał śmiechem. Łączyła się ostrygami w Delmonaco' s. Sęk w tym, że następnego Przy trzeciej stronie rechotał na całe gardło. Przy dziesiątej dnia była umówiona na lunch z Merrickiem. Obudziła się śmiała tak długo, że mało nie dostał kolki. potwornie chora i przed kolejną wyprawą do łazienki z W zwykłych okolicznościach nie bardzo przepadał za wstydem odwołała randkę. Oniemiały producent ani przez komedię. Ta sztuka jednak - zgodnie z dopiskiem do listy - chwilę nie wierzył, że w tak drogiem lokalu podają truciznę tu - była czymś wyjątkowym. Łączyła w sobie realizm Powstrzymał jednak ryk zazdrości i niechętnie uznał, że i zdrowy humor. Była prawdziwa, wzruszająca, ale w grun - został pokonany przez lepszego szermierza, ^e rzeczy zdolna rozbawić do łez każdego ponuraka. W dziewięćdziesiąt sekund mógł znaleźć godną za Merrick oczami wyobraźni widział już żyłą złotą. stępczynię niedysponowanej gwiazdy. Z drugiej strony W świecie indyków trzymał w ręku kurę znoszącą brylan-

A O

48

49

towejaja. Wiedział, że przyjdzie mu za to słono zapłacić ale zamierzał przyjąć dosłownie każdą cenę, jakiej zażąta ta bezlitosna suka. Nawet nie próbował udawać głupiego. Od razu przystąpił do akcji. Po powrocie z lunchu Inna bywała zawsze... wyraziła zrelaksowana. Nie skąpiła pieniędzy na najlepsze wódkę Solidna dawka alkoholu łagodziła napięte nerwy, lecz i przytępiła natury drapieżnika. Jej niezwykle zdolno; przyswajania trunków stały się wręcz legendarne. Krążyła plotki, że na cyku zawiera lepsze kontrakty niż połowa agentów na trzeźwo. Przerwy "na lunch" miewała długie i znana była z tego, że wracała do biura późnym popołudniem, i Dzisiaj był dla niej prawdziwy dzień róż i wina. Najpóźniej wraz z gośćmi wysuszyła aż trzy butelki chateaux latol a potem - po powrocie - zastała w swoim biurze istny potop kwiatów. - Jezu... - mruknęła. - Umarł ktoś? Co się stało? Nina jeszcze nie zdążyła otrząsnąć się z szoku i wynręlić stosownego alibi. Wydarzenia pędziły zbyt szybko. Tępy ruchem pokazała Irmie leżącą na biurku koper - To do ciebie. Wzięła do rąk liściki. "Najdroższa Irmie Teraz wiem, że NAPRAWDĘ mnie kochasz. Dziękuj Ci za Minstrela. Nie będę się twardo targował. Przyjmij każdą rozsądną cenę, tylko nic nie mów nikomu. Ma nadzieję, że dobijemy targu, zanim opadną róże stojące na Twoim biurku. Twój uniżony sługa

David'

50

Inna od razu się domyśliła, co się stało. Jadowniczo spojrzała na Ninę.

- Ty mała suko... Ty nieposłuszna, arogancka, złośnica i niewdzięczna suko! Usmażę cię na wolnym ogniu. Nina z początku trochę żalowała swojego zachowania, lecz przypuszczała, że smak zwycięstwa zatuszuje jej winę. Że jej podstęp wzbudzi najwyżej uśmiech, że po lekkim klapsie dostanie całusa w policzek. Inna jednakże była nieubłagana.

- Wiem, że źle zrobiłam - że łzami w oczach zapewne niała ją Nina. - Ale ty też się myliłaś! Przynajmniej co do tej sztuki. Teraz już ją sprzedałaś! Pomyśl tylko, jakie to ma znaczenie

dla twojej reputacji. Wybrałaś z tłumu nikomu nieznanego pisarza i w ciągu jednej nocy zrobiłaś \ go milionerem!

- Naprawdę jest aż tak dobry? - z niedowierzaniem zapytała Inna.
- Zobaczysz, że Merrick ci wypłaci niewąską zaliczkę. Jeśli da mniej niż pięćdziesiąt tysięcy - z czego dziesięć procent idzie do agencji - możesz sięść mi na pensję przez całą resztę życia. Inna zastanawiała się krótko, a potem zapytała drwiąco: - Skąd wiesz, że nadal będziesz tu pracować? W tym momencie zadzwonił telefon. - Dalej, odbierz - rozkazała Inna. - Myślałam, że już nie pracuję - bąknęła wystraszona Nina.
- Jeeezu... Chyba nie sądzisz, że będę odbierała własne telefony! - ofuknęła ją szefowa. Nina dopełniła przyjętego zwyczaju i podniosła słuchawkę.
- Biuro panny Kalish - powiedziała.

51

Milczała przez chwilę. Później z lekkim uśmiechem popatrzyła na Imię. - Boże, to sam pan Merrick! - szepnęła. - Straszł się gorączkuje. Jesteś, czy cię nie ma? Inna ze złością wyrwała jej słuchawkę. - Halo? David? Mój kochany! - zagruchata. - Sp dobało ci się moje najnowsze odkrycie? Zaręczam, że r tylko tobie. Ależ nie, Davidzie. Po prostu ktoś puś plotkę. Obiecuję, że nikt prócz ciebie tego nie zobaczy chyba że mnie obrazisz zbyt skąpą ofertą. Na to jesi zbyt sprytny. Zjemy razem kolację? Znakomicie. MajH szczęście, Davidzie. Przynajmniej wiesz, że w całym tvJ biznesie jest ktoś, kto cię zawsze kocha. Dobra wróżka odłożyła słuchawkę i znów się przemy niła w Złą Czarownicę z Zachodu. - Możesz już iść, Nino. Zadzwonię do księgowośi do Sida. Powiem mu, żeby wypłacił ci pobory do koni tygodnia. I nie wystawię opinii, bo jeśli nawet znajdzie gdzieś nową posadę, moje referencje nie będą ci p potrzebne. Potraktuj to jako dodatkową przysługę. A ter; spływaj! Nina była tak oszołomiona, że na chwiejnych nogai szła korytarzem, jak pijak trzymając się ściany. Pofl świadomie wiedziała, jak wiele ryzykuje, ale wydarzef pędziły tak szybko, że na dobrą sprawę nie zdążył spokojnie pomyśleć o skutkach swojego działania. N zdołała się przygotować na dotkliwie lanie. Złościło ją, 2 swoją "zdradą" pomogła zwyciężyć Irmie. To mog! przecież wyraźnie złagodzić karę. Człowiek w taki) wypadku - człowiek, a nie potwór - pomyślałby racz o jakiejś nagrodzie. W kasie leżał już czek z jej nazwi kiem, opatrzony uwagą "ostatnia wypłata".

52

Nina zeszła do holu, podbiegła do długiego rzędu telefonów wiszących na ścianie i zadzwoniła do Elliotta. Na szczęście go zastała. Przygwożdżony podwójnym ciosem o triumfie Marshalla i niewdzięczności Inny, zdołał tylko wydukać:

- Złap taksówkę i zaraz przyjeżdżaj do mnie. Padli sobie w ramiona. Nina załala się łzami. Elliott próbował ją pocieszyć, mówiąc, że równie mocno prze żywa jej tragedię. Tak się nią zajął, że minęło kilka minut, zanim sobie przypomniał, że w tym konflikcie brała udział trzecia osoba dramatu.
- Ktoś o tym mówił Marshallowi? - spytał. - Może ! trzeba...
- Nie trudź się - z rezygnacją powiedziała Nina. - Jestem pewna, że dostanie nagłej amnezji, kiedy tylko usłyszy Irmę w telefonie. Kto by mu miał powiedzieć? - Na przykład

my. - Elliott pochylał się nad rolodexem, znalazł numer Marshalla i złapał za słuchawkę. - Cholera - warknął. - Zajęte. Stara wiedźma go już złapała. A o ile znam Davida Merricka, to na jutro rano zwołał konferencję prasową.

Oddał garaż w ręce zastępcy i zabrał Ninę na colę i konsolację.

- Sam nie wiem, co robić - jęknął. - Kochanie, to moja wina. Postąpiłem okropnie głupio. To nie w porządku wobec ciebie.

- Nie obwiniaj się. Jestem dorosła. Zawiodłam zaufanie Inny, więc teraz płacę. Kupmy lepiej "Timesa" i "Tri-bunę". Poszukam jakiejś pracy z dala od show-biznesu.

- Może w warsztacie samochodowym? - roześmiał się niewesoło.

Wstali od stolika. Zanim podeszli do drzwi, przez okno

53

kawiarni zobaczyli jakiegoś człowieka gwałtownie chającego w ich stronę. Był to Marshall. - Dzięki Bogu, że znam twoje upodobania, Snyder. W przeciwnym razie musiałbym biegać po wszystkie restauracje w całym Nowym Jorku. Słyszeliście a nowsze wieści? - Odwrócił się do Niny. - Ty, malen' jesteś moim zbawieniem. Jakże ci się odwdzięczę za co dla mnie zrobiłaś? Nina wzruszyła ramionami. - Daj mi ze dwa bilety na premierę. - Dostaniesz cztery. I w dodatku awans. - Co takiego? Jeszcze nic nie wiesz? Awansował właśnie na ulicę. - Wyczułem to już w pierwszej rozmowie z Irmfl. Potem jednak powiedziano jej, że mój kontrakt z agentką wygasł i że do tej pory nie został odnowiony. Nie zawraca sobie mną głowy. Stałem się zatem wolnym strzelcem i f. dobrą sprawę mógłbym sam podpisać umowę z Melfkiem, nie płacąc im ani centa. Zdziwiłabyś się, jak zmieniło jej poglądy. - Nina i Elliott z niemą radością popatrzyli na siebie. - Powiedziałem jej wprost: bez Nil nie ma żadnej umowy - ciągnął Marshall. - Pewnie teraz szuka cię po całym mieście, więc przetrzymaj ją jeszcze godzinę, a później zgłoś się po nagrodę, przeprosił i w pełni zasłużony awans. Boże, co to za cholerna jęda! Ale na osłodę dała mi trzydzieści pięć patoli. Jako zalicz - Naprawdę?! - Elliott aż zachłysnął się ze zdumienia. - Wierzcie lub nie, walę naprzód. A jeśli macie mój chwilę wolnego czasu, zapraszam was na najbardziej ekstrawagancki obiad w waszym życiu. - Wiwat Marshall! I tak kariera Niny była uratowana.

Rozdział 8

Aby przeżyć w show-biznesie, trzeba cechować się odwagą, mieć jaja, wytrzymałość i przede wszystkim zdolność do amnezji wywoływanej na życzenie. Następnego ranka Inna Kalish powitała Ninę niespodzianie miło, wręcz na granicy wylewności. Nina miała dochować ścisłej tajemnicy i nie mówić nikomu, w jakich okolicznościach rękopis pewnej sztuki trafił w ręce Davida Merricka, a Inna w zamian obiecała nie robić jej trudności przy obejmowaniu funkcji młodszego agenta, z biurem na niższym piętrze. Niezbyt chętnie, ale bez sprzeciwu, rozstała się także z nowym królem komedii Marshalllem Newmanem, który nietknięty przeszedł pod opiekę Niny. Od tego dnia już żadna z nich nie powracała do przeszłości.

Po entuzjastycznie przyjętych spektaklach próbnych w New Haven i Bostonie Minstrel z Brooklynu trafił do Nowego Jorku. Wszystkie gazety pisały o nim w samych superlatywach, od szacownego Brooksa Atkinsona z "New York Timesa" ("Newman ma rzadki dar łączenia

55

wzruszeń z pobudzaniem widzów do szczerego śmiechu' po Waltera Winchella, który, nota bene, pozował i Damona Runyona ("Newman śmiechem rąbie kasę' Zresztą obie opinie były wyjątkowo trafne. Kolejki pi teatrem Belasco najdobitniej świadczyły o rosnącym m jątku Marshalla. Minstrel w niedoścignionym jeży] "Variety" stał się "przepyszny przebojem sezonu". Marshall, choć obrastał w pióra, nie zdradzał dawny przyjaciół. Półtora roku później David Merrick wystay jego drugą komedię pod tytułem Żeń się!, która pobi rekord poprzedniej sztuki - i grano ją w większy! teatrze. Co więcej, inny klient Niny zbierał pochwał w Filadelfii, a trzech kolejni (libretto, muzyka, piosenlf wyszli na wiosnę z nowym musicalem. Po trzech latach, na gwiazdkę, Nina otrzymała prerriU w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Już to wystap czyło, by miała co świętować, ale okazja była jescz3M lepsza. Dano jej gabinet - z oknem. _ Półtora miesiąca później Inna przeszła do innej agenci Doniesienia prasy branżowej, mówiące ojej przeprowadź ce, wspominały, że to właśnie ona odkryła Marshall Newmana. Nina nie protestowała. Ci, co mieli wiedzy wiedzieli. Nikt nie podważał jej talentu. Podejrzewano nawet, ma w sobie jakieś magiczne siły. Każdy młody pisafł i dramaturg wprost marzył o przyjeździe do Noweg| Jorku i wstąpieniu do szczęśliwej grupy znanej jak "Chłopcy (i dziewczęta) Niny". Była z Elliottem niemal ciągle. Wspólnie poszukiwa dobrych dzieł tworzonych przez nieodkrytych dramaturgów, aktorów i reżyserów. Kochali swoją pracę i cieszy się, że to robią razem. Już po kilku miesiącach wydaw

56

im się, że są ze sobą od zawsze. Na zewnątrz stanowili | parę, ale wobec siebie zachowywali pewną powściągniwość, nie zdradzając najgłębszych uczuć. Wystarczyła im świadomość, że są blisko siebie. Ktoś taki jak Marshall Newman zdarza się raz w życiu. Nina miała łut szczęścia. Jej późniejsze wieczory okazały się mniej przyjemne. Spektakle były najzwyczajniej nud ne, niesmaczne i liche. Ale ona i Elliott bawili się nie najgorzej. Pewnej parnej i upalnej letniej nocy wybrali się na przedpremierę do miasta o całkiem odpowiedniej nazwie New Hope, w stanie Pensylwania. Kiedy wracali, Elliott wreszcie odważył się ponarzekać. - Święty Boże... Oglądałem już straszliwe chały, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Po co nas tu ściąg nęłaś? Przecież nie dla treści ani dla aktorów. - A pamiętasz chłopca, który w drugim akcie grał sprawozdawcę radiowego?

- Pewnie, że pamiętam. Tylko dzięki niemu od razu nie zasnąłem.

- O to chodzi. Tak się składa, że sam napisał swoją kwestię. Dlatego ci się spodobał. Ma talent. - Przepraszam, Nino - powiedział Elliott. - Za co?

- Że pytałem. W takich chwilach przypominam sobie, że w gruncie rzeczy jestem parkingowym. Ty masz niezłą smykałkę do szukania złota. Znajdujesz je praktycznie wszędzie, nawet dobrze ukryte pod zwykłym stosem śmieci.

Aktorem, który zwrócił na siebie uwagę Niny, był niejaki Robert Margolin. Następnego dnia, kompletnie załamany, wrócił do swego mieszkanka przy Czterdziestej Dziewiątej Zachodniej. Otworzył liczne zamki i kopnął

57

spod progu stertę rachunków i upomnień. Nie płacił światła i za ogrzewanie. Jak żywy trup powoli powłóci się do telefonu i sprawdził na centrali, czy są wiadomość Dowiedział się, że dzwoniła jego matka z Chicago i 2 właściciel domagał się zaległego czynszu. Najdziwniejsz

była ostatnia informacja. O dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć telefonował panna Nina Porter z Worid Management Agency. Jeszcz spróbuje później. Robertowi opadła szczęka.

- Nie. To jakiś głupi dowcip, prawda? - Słucham pana? - zapytała telefonistka. - Powiedz mi szczerze, siostró, kto tak ze mną pd grywa? Moja sztuka zrobiła gigantyczną klapę. Niesmac^ny kawał. Nina Porter nie dzwoni do pechowców. - Panie Margolin, ja tylko notuję treść wiadomości. Niczego sama nie wymyślam. To, co mówiła ta pan mam przed sobą na kartce. - O mój Boże... - mruknął i nagle obudził się < życia. - Powiedziała coś jeszcze? - Gdyby powiedziała, tobym przeczytała - z nare tającą irytacją odparła dziewczyna. - Wiesz chociaż, co to znaczy? - zawołał z speracją, próbując przeciągnąć rozmowę. - Nie mam pojęcia, proszę pana. A teraz, z pańskil pozwoleniem...

|

- To znak, że nie umarłem, kotku. Że jest iskiertó nadziei. Sam fakt, że zadzwoniła, stawia mnie w jasny) blasku reflektorów. Możesz mi pogratulować. Telefonistka się poddała. - Gratuluję - burknęła niechętnie i przerwała pół, czenie.

58

Bob wytrzymał do następnego dnia tylko dzięki pomo cy Douga Macaulaya. Doug też był bezrobotnym aktorem, ale miał trochę więcej szczęścia (pracował jako kelner). We dwóch przesiedzieli do nocy w barze McGinty'ego, pijąc piwo i racząc się opowieściami o spodziewanych skutkach rozmowy z Niną Porter. W drodze do domu Margolin wstąpił do nocnego sklepu i kupił świeże mleko i bochenek chleba. Zamierzał wstać bladym świtem i do prowadzić się do ładu jeszcze przed telefonem Niny. - Na pewno ma mnóstwo pracy - tłumaczył mu Doug. - Skąd wiesz, że zadzwoni rano? Skąd wiesz, że w ogóle zadzwoni właśnie jutro?

- Poczekał na nią cały tydzień, jeśli będzie trzeba. - A jeżeli się nie doczekasz?

- Wtedy uszczęśliwię tatę. Wrócę do Chicago i zajmę się sprzedażą damskich fatalaszków.

Niestety przemysł bielizniarski poniósł znaczną stratę na rzecz teatru. O niezwyklej porze, czyli o wpół do dziesiątej, rozległ się dzwonek telefonu. Bob ziewał właś nie nad drugą filiżanką kawy. Wziął głębszy oddech i powiedział zmysłowym barytonem:

- Słucham, tu Bob Margolin. - Bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że pana nie obudziłam? - w słuchawce rozległ się zaniepokojony głos Niny. Doprowadziła ten styl do perfekcji. Im więcej

miała władzy, tym grzeczniej rozmawiała ze swymi klientami.

- Nie, nie, panno Porter. Nie wiedziałem tylko, że agenci tak wcześnie wstają.

- Zdaję sobie sprawę, że w życiu aktora najgorsze są pierwsze godziny po zdjęciu sztuki z afisza. Zadzwoniłam w sobotę, aby pan zrozumiał, że jeszcze nie wszystko

59

stracone. Widziałam spektakl i spodobała mi się pańs rola. - Gdzie mnie pani widziała? W New Hope? - Owszem. Byłam tam w piątek i chciałam pa powiedzieć, żeby się pan nie poddawał. Panie Margol ma pan talent. Zechce się pan ze mną spotkać, abyś] pomówili o pańskiej przyszłości? - A mam jakąś? - Bez wątpienia. Umówmy się w Lindy's. Ch; wiem, jak dobrze wykorzystać pańskie aktorskie zdolności. Może o czwartej? - O czwartej

rano, o czwartej po południu... C) kowicie jestem do pani dyspozycji, panno Porter. ME
przecucie, że wkroczyłem właśnie na nową drogę życia

Rozdział 9

Nie trzeba chyba mówić, że Robert Margolin zjawił się pół godziny wcześniej. Rozejrzał się po sali, poszukując kogoś, kto mógłby być "najgorętszym" agentem w show--biznesie. Nikt mu z wyglądu nie pasował. Wreszcie zdobył się na odwagę i zagadnął pulchną kobietę siedzącą nad scenariuszem (to był jedyny trop). - Przepraszam bardzo, czy... - Tak, Robercie. Siadaj. Miło mi cię poznać. Robert posłuchał jej, lecz przycupnął na krawędzi krzesła. Nie jestem jeszcze dość dobry, żeby rozpierać się jak basza w obecności Niny Porter, pomyślał. Potem niespodziewanie przemknęło mu przez głowę: A może nie jestem sam? Może przy innych stołach agenci WMA też popijają herbatkę z aktorami? - Dziękuję ci, że zechciałeś się ze mną spotkać - powiedziała Nina bardzo grzecznie, jak przystało na pierwszą rozmowę z potencjalnym klientem. Zauważyła, że Robert nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. - Może to zabrzmie śmiesznie, panno Porter - zaczął

61

nieśmiało - ale wygląda pani bardzo młodo jak człowieka w tym zawodzie. Z pani rozgłosem, wyol rażałem sobie kogoś... jak by to powiedzieć? Kog< w średnim wieku. A może pani jest tylko sekretarką pan Porter? Nina poczuła się mile polechtana jego komplemente: ale nie dała nic po sobie poznać. - W naszym biznesie dość szybko dojrzewamy wyjaśniła spokojnie. - Zaczęłam we właściwym czasie A teraz ty powiedz mi coś o sobie. - W mniej niż dwudziestu pięciu słowach? - Wręcz przeciwnie. Chcę wiedzieć o tobie wszystk Robert wciąż nie był pewny, czy legendarna pani Porter nie przysłała w swoim zastępstwie młodej as tentki. Żeby się uspokoić, wypił łyk kawy (nic nie] mogło) i dziobnął wysmienite ciastko, zamówione i niego przez Ninę. - Jedz, jedz... - powiedziała zachęcająco. Ze sposi bu, w jaki doń się zwracała, można było pomyśleć, i przysłała na spotkanie z najważniejszym człowiekiem w branży. Żądała szczegółowych odpowiedzi na swoje pytań i słuchała z wytężoną uwagą. Robert tymczasem opowi dał o teatryku szkolnym, w którym nie tylko grał, lei i pisał teksty, o przedstawieniu na koloniach, okraszony jego piosenkami, o występach solo, w roli rozśmieszacz i o dowcipach, które tworzył sam dla siebie. Wreszcie o zachętach ze strony matki i utyskiwaniu ojca. Naśladował wschodnioeuropejski akcent, odtworzył ostatnią rozmov z tatą: "Synku, przez pół roku, za moje pieniądze, ż sobie w Nowym Jorku. Jak się nie zahaczysz, wrac sprzedawać biustonosze i więcej nie opowiadaj głupot

62

- Nie byłbyś chyba najszcześliwszy - zauważyła Nina. - Pani też, panno Porter. Póki się pani nie zjawiła, leciałem głową w kosz z bielizną. - Spojrzał na zegarek. - O mój Boże! Od godziny bez przerwy gadam. Znudziłem panią? - A widziałeś, że ziewam? - Prawdę mówiąc, nie miałem odwagi patrzeć - przyznał. - Przez telefon wspomniała pani, że porozmawiamy o tym, jak spożytkować moje aktorskie zdolności. - Właśnie. Przede wszystkim musisz wziąć się do nauki. - Do nauki?! - Tak, Bob. - Matczynym gestem ujęła go za rękę. Był to dokładnie wyćwiczony sposób postępowania. Jeden z jej ulubionych. - Teraz przypominasz dobrego, lecz surowego gracza pierwszej ligi, który powinien nabrać trochę oglądy w rozgrywkach okręgówki. Musisz oswoić się z widownią. Z ludźmi, nie z sępami.

Miałeś cholernie dużo szczęścia, że twoja ostatnia sztuka padła na prowincji. W tej chwili nie masz co marzyć o podboju Broad-wayu. Występowałeś kiedyś w Oshkosh? Margolin wybuchnął śmiechem. - Chyba pani żartuje! - Nie ma się z czego śmiać, młodzieńcze. Świat nie składa się wyłącznie z Nowego Jorku i Bostonu. W naszym kraju żyją jeszcze inni ludzie, tacy jak mieszkańcy Oshkosh czy im podobni. Kiedy oni cię polubią, będziesz gotów do występów na Czterdziestej Ósmej. Jeśli pozwolisz, zrobię z ciebie "Mędrca Trasy". To takie moje prywatne określenie. Kilka lat spędzisz na objazdach, a potem powrócisz w glorii.

63

- Kilka lat? - jęknął. - Myślisz, że takie rzeczy zdarzają się w ciągu doł - Był przecież Marshall Newman. Jemu się udało - Oczywiście. Tyle że trzydzieści pięć lat spędził myciu naczyń i parkowaniu samochodów. I napisał okc pięćdziesięciu przedstawień. Dopiero potem w ciągu dc wspiał się na same szczyty. - Och... - Zaufasz mi, chociaż doszczętnie odarłam cię złudzeń? Margolin popatrzył na nią i rzekł z głębokim pr2 konaniem: - Panno Porter... dla pani jestem gotów zdjąć buj i na bosaka przejść się po grillu. To kiedy zaczynam) - Jutro - z zadowoleniem odpowiedziała Nina. -Przyjdź do mnie o dziesiątej. Przedstawię cię w dzia szkolenia. Skierują cię w takie miejsca, o jakich nał nie słyszałeś. - Już się cieszę. - Nie przesadzaj - mruknęła z humorem i uspokajl jąco poklepała go po dłoni. - Przrzekam ci, że za rc zadzwonisz do mnie z błagalną prośbą, żebym cię powrót zabrała do cywilizacji.

Rozdział 10

Tego lata Nina i Elliott wynajęli niewielką białą willę z zielonymi okiennicami i werandą spoglądającą na Long Island Sound. Przeżyli w niej wesele i miesiąc miodowy. Ślubu udzielił im sędzia Sądu Miejskiego na obszar Nowego Jorku, nazwiskiem Munro Leavitt (dawny kolega szkolny Henry'ego), a stało się to w trzecią sobotę lipca, wieczorem, w obecności rodziców i kilkorga przyjaciół, takich choćby jak państwo Królowie Kohl - i Król Królów Cy Temko (z panią Temko, co samo w sobie stanowiło swoisty ewenement). Nie trzeba dodawać, że rodzice młodych grali pierwsze skrzypce. Państwo Snyderowie wystąpili w swoich najlepszych cywilnych ubraniach. Nie spełniły się więc stare obawy Ellen, że przyjdzie im paradować w galowych mundurach i w pełnym uzbrojeniu - na wzór piechoty morskiej - z pagonami, kordzikiem i tak dalej. Ich dwie ogromne córki robiły, co mogły, żeby nie peszyć gości, których przewyższały co najmniej o głowę. Były naprawdę miłe, choć zawzięcie nawoływały, aby

65

włączyć kobiecą koszykówkę do programu igrzysk olin pijskich. Ojcowie niemal od razu znaleźli wspólny język. Heni wspomniał półgębkiem, że zwykle pod koniec roku, kiec zima spędzała piłkarzy z boiska, przrzucal się na kosz^ kówkę. To wystarczyło. Przez następne kilkadziesisj minut na nowo rozpatrywali, wspominali i przeżywa największe chwile sportu, I Więcej kłopotów miała Ellen, bo sztywana pani sierzaa nie chciała się uśmiechać. Rozbawił ją dopiero nied wymuszony dowcip, że syn pary policj autów wziął ager kę za żonę! Później znów spowaźniała. Na szczęść w krótkim czasie poproszono gości do stołu. Na przyjęciu obaj ojcowie zaczęli od toastów. Hen był pierwszy, pijąc zdrowie za szczęście młodej par Russell przypomniał, że na meczach najważniejsza je obrona. Synowi poświęcił może ze dwa

lub trzy słowa,; to dość długo się rozwodził nad zaletami swej synowa Uznał ją za chodzące szczęście i dodał na koniec, wycieczka na wschód miała dobre strony, dowiedział bowiem, że "nowojorczyki są dużo lepsi, niż na to w gładają". Wreszcie ktoś docenił mieszkańców metropolii Zarówno w trakcie przemowy Russella, jak i po ni najdziwniejsze było to, że przez cały wieczór nie wył zbyt wiele. Wszyscy wyrazili głębokie zadowolenie, że związek dwojga młodych stał się w pełni legalny. Z drugiej strony część przyjaciółek (albo tak zwanych przyjaciółek) Nila nie miała zbyt wielkiego mniemania o Elliottcie. - Co ona widzi w tym nieudaczniku? - szeptała z przekąsem. - To megalomaniak stulecia.

- Jest wyższa od niego. Na szczęście Elliott nie słyszał tych uwag. Przynajmniej w dużej mierze. Ich pierwsze małżeńskie lato upłynęło pod znakiem czułości i bez troski. Było pełne radości, śmiechu i kochania - a jednak Nina miała pewną tajemnicę. Nade wszystko marzyła o tym, że wreszcie będzie matką. Kiedy oględnie wspomniała o tym Elliottowi, powiedział: - Hej, kochanie... Pożyjmy trochę. Tak od razu chcesz utkwąć w domu? Jeździli więc po prowincji i oglądali najgorsze przedstawienia. Nina zwiedziła całą Nową Anglię, aż tam gdzie chłopcy "mieli słomę w butach", z nadzieją, że odnajdzie jakiś nowy talent. Zaglądała nie tylko do teatrów, ale do magazynów w porcie, do szkół i składów, które całym latem - a przynajmniej w lipcu i w sierpniu - stawały się świątyniami sztuki. Elliott cieszył się najbardziej z tych rzadkich okazji, kiedy wieczorem zostawali w domu. Siedzieli cicho, jedli pizzę i czasem słuchali muzyki. Najczęściej jednak czytali scenopisy, które Nina zwoziła walizkami. Tony papieru niczym dywan zaścielały podłogę w salonie. Bywało, że Nina jęczała przy lekturze, a czasem wołała "Eureka!". Elliott w wielkim skupieniu słuchał jej opinii, a potem zabierał głos z pozycji laika. Nina kipiała pomysłami. Raz były zwiariowane, raz genialne, a nieraz zawierały wszystkiego po trochu. - Wiesz, kim zostaniesz w przyszłym życiu, kochane? - z miłością pytał ją Elliott. - Nic mnie to nie obchodzi, dopóki będziesz ze mną - odpowiadała z nie mniejszym uczuciem. - Swatką. To właśnie robisz. Łączysz węzłem mał-

66

67

żeńskim pomysł i osobę. Ludziom rozdajesz szczęście Mam rację?

- Chyba tak - uśmiechnęła się. - Uwielbiam swe pracę. Gdyby mi kazano, robiłabym to za darmo. - Ciiiicho... - ofuknął ją z przesadą. - Ani słów

bo Cy Temko usłyszysz. A nuż potraktowałby to na poważnie?

Rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty był ciężkim rokiem dla show-biznesu. Zagorzały wróg komunizmu senator Joseph R. McCarthy, pod hasłem "Cześć wroni won spod łóżka!", przeprowadzał czystkę w

rzucił z Hollywood wszystkich podejrzanych o brak patriotyzmu.

Nina w tym czasie pełniła drugą co do ważności rolę w dziale literackim i reprezentowała dwóch z dziesięciu wybitnych scenarzystów: Ringa Lardnera i Daltona Trumbua. Szefowie agencji zawarli tajne porozumienie, że cichu wciąż będą wspierać twórców umieszczonych na "czarnej liście". Aktorzy posądzeni o sympatię z Rosją w żaden sposób nie mogli znaleźć pracy w filmie. Ludzi tacy jak Trumbo byli rozchwytywani. Trumbo pisał pod pseudonimem Robert Rich. Najśmieszniejsze, że w tym dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku utalentował "pan Rich" zdobył Oscara za scenariusz do filmu

Brave One. Rzecz jasna, nie stawiał się osobiście po odbiór nagrody.

Pomimo dławiącej kraj paranoi Nina i Elliott kupi zrujnowany dom z czerwonej cegły przy Sześćdziesiąt! Ósmej Wschodniej i przystąpili do remontu. Większość pieniędzy wyłożyła Nina, lecz akt własności opiewał i nich oboje. Elliott z wyraźnym wstydem podpisał dokumenty. Nina pocieszająco ujęła go za rękę.

68

- Nie ma żadnego "moje-twoje". Mi casa, tu casa. Skinął głową, ale w głębi serca żałował, że jest "utrzymankiem" żony. Nie lubił mówić o swojej pracy. - Jak zaparkujesz jeden samochód, wiesz, jak parkować wszystkie - z niesmakiem mruzczał pod nosem. - Daj spokój - strofowała go Nina. - Już za kilka tygodni Król Kohl zacznie budowę wielkiej kamienicy

na rogu Ósmej Alei i Czterdziestej Trzeciej. Obaj będziecie bogaci.

- Nie byłbym tego taki pewny, Nino. Kto zechce się sprowadzić do dzielnicy kin i teatrów?
- Choćby aktorzy.

- Coś ty! Nie znajdują pieniędzy na czynsz ustalony przez Kohia.

- Postaram się, żeby mieli nieco wyższe gazy - obiecała z uśmiechem.

Rozumiała go i w chytry sposób sprawiła, że poczuł się trochę lepiej. Jej znajomi w pogardzie mieli parkin gowych, ale ona wierzyła, że po pewnym czasie Elliott zrobi karierę także w swojej branży. Kochała go i szalała.

Magiczne moce Niny błyszczały tak często, że to budziło podziw rekinów biznesu. Doszło nawet do nie zwykłego precedensu, bo w pewnym momencie padła propozycja, żeby panna Porter objęła kierownictwo pre stiżowej placówki w Kalifornii. Odpowiedź Niny zdu miała największych twardej!.

- Przykro mi, lecz to niemożliwe.

- Mam to rozumieć jako "nie"? - z osłupieniem zapytał Cy.
- Raczej tak. - Zupełnie upadłaś na głowę? - zawołał gniewnym

69

;

i zdumionym tonem. - Nie zdajesz sobie sprawy, co | proponujemy? Psiakrew, masz być szefem na Wybrzeż

Zachodnim! Kto mógłby to osiągnąć w tak... w tak młodym wieku?

Pomyślała przez chwilę.

- Cy... Jestem ci bardzo wdzięczna za tę propozycję. Wiem, że tam dzieją się ważniejsze rzeczy... 4

- I nie ma śniegu! Pamiętasz o tym? Słońce świeci; dnia i w nocy.

- Owszem, nie lubię zimy w Nowym Jorku. Lecz I właśnie tutaj mój mąż podjął pracę.

- Ty chyba masz naprawdę krzywo pod sufitem! -j krzyknął Temko, na dobre porzucając wszelką dyplomację. - Na litość boską, Kalifornia to mekka dla parkulgowców! Możemy mu dać całe hektary przestrzeni!

- To nie to samo. Poza tym działa też na innych frontach.

- Może go chociaż spytaj?

- Nie. Znam jego odpowiedź. Ze względu na mnl| na pewno by się zgodził. Nie chcę tego.

- Co ja mam z tobą zrobić, Nino? - jęknął. - Wyobrażasz sobie, co by uczynił taki Lenny Miller - prymus na twoim kursie - żeby otrzymać tę posadę? - Sprzedałby własną babkę, a może nawet cenni kolekcję starych samochodów. Jestem zupełnie inna, pani Temko. Jeśli sprawiłam panu przykrość, mogę poszuka* nowej pracy.

- W ogóle o tym nie wspominaj - zaprotestowała zrywając się na równe nogi. - Zapomnij, że mówiłeś o jakiejś Kalifornii. Nie było żadnej rozmowy. Jesteś; naszą najlepszą agentką. W gruncie rzeczy nieważne gdzie działasz, bylebyś pracowała dla nas.

70

- Dziękuję - odpowiedziała krótko, lecz zrobiło jej się niezwykle miło.

-- Jesteś pewna, kochanie? - jęknął Elliott. - Absolutnie. Zresztą gdyby było inaczej, wystarczyłoby mi jedno spojrzenie na ciebie, żeby natychmiast podjąć tę samą decyzję. - To przecież twoja życiowa szansa. - Co to znaczy "życiowa" bez prawdziwego życia? Czyli bez ciebie.

- Dobry Boże... - mruknął i potrząsnął głową. - Wszystko wskazuje na to, że jednak mam coś w sobie. - Dopiero teraz to odkryłeś? - Jak taka dziewczyna mogła mnie pokochać? - To bardzo łatwe - odparła Nina. - Mam dobry gust. Pozwolisz, że pomogę ci zawiązać muszkę?

Rozdział 11

Pierwsza gwiazdka po ślubie w osobiwy sposób był| najtrudniejsza dla młodych małżonków, Nina otrzymał

wprost bająską premię. W pierwszej chwili była przekcj nana, że ktoś się pomylił.

- Chodzi mi nie o zero, ale o dwa zera - tłumaczył księgowemu, wodząc palcem po czeku. (Zapewnił ją, że nie doszło do żadnej pomyłki). Elliott zareagował za t w sposób co najmniej dziwny. Nina wiedziała, że coś g gryzie, ale nie była pewna, czy mu się znudziła, czy znalazł sobie inną, czy to i to naraz.

- Pogadaj ze mną - poprosiła. - Co takiego zrobi łam, że chodzisz jak struty?

- Nic nie zrobiłaś - odparł. - Co gorsza, ja też niej Ty za jakieś dwa lata na mur-beton zasiądziesz w fbtéró wiceprezesa. Od samego początku wspinasz się na Eve| rest. Ja zaś nie wszedłem wyżej niż na dach garażu prz| Czterdziestej Siódmej,

- I co z tego? - zapytała Nina. Już od dawna spo< dziewała się takiej rozmowy. - Czy to, że na co dzieł

72

wdychasz dwutlenek węgla, ma jakiś zły wpływ na nasze pożycie?

- Nie wygłupiaj się - odparł ze spuszczonego wzrokiem. - Dobrze wiesz, o czym mówię. Ty jesteś gwiazdą, ja... nikim.

- Daj spokój. Zmądrzej. Gwiazdy są w planetarium i na naszej choince. Jeśli zaś chodzi o miłość... fizyczną i psychiczną... i o zaufanie, to ty stanowisz podstawę naszego długiego związku. W dalszym ciągu na nią nie patrzył. - Nie wierzysz mi? Pokręcił głową. - Nie.

- Posłuchaj zatem. Wszyscy w branży ciągle powtażają, że mam jakąś tajną broń, że znam się na czarach... i tym podobne bzdury. A wiesz co? Mają rację. Ty jesteś moim sekretem. Ty... i to, co mi dajesz. Z nikim więcej prócz ciebie nie chcę jadać kolacji. Co ważniejsze, z nikim nie chcę jadać śniadania. Ciągłe chcesz mnie opuścić? Popatrzył na nią z uwielbieniem. - Nigdy nie chciałem, kotku. Myślałem tylko, że w ten sposób łatwiej podejmiesz decyzję o naszym rozstaniu. - A dlaczego, do wszystkich diabłów, mamy się rozstawać?!

- Pomyśl rozsądnie. Ani trochę nie pasujemy do siebie. To tylko kwestia czasu, gdy uświadomisz sobie, że związałaś życie z wiecznym nieudacznikiem - dokończył płaczliwie.

Nina objęła go za szyję. - Hej, tygrysku, zrób mi tę przysługę i chodźmy do łóżka. O tamtych sprawach pomówimy innym razem. Ramię w ramię poszli do sypialni.

73

Rozdział 12

Złośliwy los sprawiał, że Nina, której dziećmi byli dziesiątki wspaniałych spektakli i przedstawień, nie mogła "wystawić sztuki" w teatrze swego ciała. Próbowała tego wielokrotnie - z radosnym poparciem Elliot - a jednak nie zachodziła w ciążę. Zaczęła się denerwować. Miała dosłownie wszystko, lecz pragnęła tylko jednego - dziecka. Zwierzyła się ze swoich zmartwień jednej lub dwóm przyjaciółkom, które same dość wcześnie poznały smak macierzyństwa. Nieco zmęczone dziećmi, zapewniały ją (choć bez przekonania), że nie warto się spieszyć. Lepiej choć przez chwilę zasmakować życia. Żadna z nich od pięciu lat nie zaznała spokoju

nej nocy - nie mówiąc już o wspólnych weekendach z mężem.

- A poza tym... - powiedziała Edie, czyli Piętaszka Niny, kiedy razem jechały pociągiem do Bostonu, żeby

obejrzeć jakąś próbną przedpremierę. - Nie wystarczają ci matkowanie w pracy?

^

Nina na chwilę przestała dyktować.

74

- Nie traktuję klientów jak dzieci - odpowiedziała twardo.

- To miał być komplement. Co sprawia, że jesteś najlepsza w naszym fachu? Może powiesz, że Steve McQueen nie budzi cię telefonem w samym środku nocy? - Zdarza się - przyznała. - Ale zaraz zasypia, gdy mu wytłumaczę, że to tylko koszmary. Nie zajmuję się nim na co dzień.

- Zajmujesz się, zajmujesz... Trzęsiesz się jak osika. Czasami nawet sprawdzasz, czy twoi klienci jedli drugie śniadanie.

Nina nie zamierzała się kłócić. Nawet nie wspomniała, że prawdziwy trzylatek przytula się do mamy w obawie przed ciemnością. "Teatralne potomstwo" ustawicznie szukało lepszych matek i ojców. Nina nie miała żadnych złudzeń, że zawodowe "macierzyństwo" jest czymś więcej niż pustym słowem - prędzej czy później jej dzieciaki pójdą do innej piaskownicy. Pragnęła uczuciowej więzi, trwającej do końca życia. A czas płynął... Elliott nieustannie ponawiał starania, zwłaszcza w czternastym i piętnastym dniu jej cyklu, lecz jak dotąd nie

przyniosło to żadnych wyników. Z miesiąca na miesiąc stawał się coraz bardziej spięty. Nina wyczuwała, że ta sytuacja może źle zaważyć na ich dalszym związku. Postanowiła zatem przystąpić do działania.

- Posłuchaj mnie - powiedziała najbardziej rzeczowym tonem. - Potrzebna nam rada lekarza. Kogoś naprawdę dobrego.

- Masz rację - zgodził się Elliott. Następnego dnia zatelefonowała do Geoffreya Masona, który już od dawna opiekował się jej rodziną. Spytała go, kto najlepiej leczy z bezpłodności.

75

Bez namysłu wymienił nazwisko profesora Johna Leventhala, ordynatora kliniki ginekologicznej w głównym kompleksie szpitalnym w Bostonie. Nina spytała go, czy mógłby skorzystać ze swoich wpływów i jak najszybciej załatwić im wizytę.

Dziesięć dni później poleciała z Elliottem porannym rejsem do Bostonu. To właśnie tam, jak na ironię losu odbywały się próbne premiery sztuk wystawianych (albo i nie) później w Nowym Jorku. Doktor Leventhal przyjął ich przed południem.

Był niezwykle uprzejmy. W czasie cichej i szczerej rozmowy udało mu się - zgodnie z zamierzeniem - uspokoić swoich pacjentów. Zanim spotkanie dobiegło końca, wiedział już wszystko-łącznie z tym, co jedli na śniadanie.

3

- Posłuchajcie, dzieci - powiedział. - Proponuję, żeby odłożyć na później wszelkie dywagacje na temat ciąży wywoływanej tu, w laboratorium... - W jaki sposób? - przerwał mu Elliott. - Wyjaśnię to, jeśli zajdzie taka potrzeba. Na początek przeprowadzimy rutynowe badania. Testy trwały ponad godzinę, pod fachową opieką wyspecjalizowanej grupy pielęgniarek. Nina i Elliott wrócili, żeby pożegnać się z doktorem, ale on w tym czasie był już na położniczym, robiąc cesarskie cięcie, by dać światu jeszcze jedno maleńkie życie. Kończył właśnie, gdy jego asystentka przekazała Snyderom, że mają przyjść następnego dnia o szesnastej. Miały być już wyniki, I

Co robić w Bostonie przez okrągłą dobę? Oto jest pytanie.

Zatrzymali się w Ritzu. Dla odpędzenia lęków kilka razy obeszlili Boston Common.

Przekonywali się wzajem- I

76

nie, że niezależnie od wyroku do końca życia pozostaną nierozłączną parą. Z drugiej strony, zdawali sobie sprawę, że "winowajca" i tak pograży się w rozpacz. Każde z nich przygotowywało się do roli pocieszyciela. Wieczorem zjedli ekstrawagancką kolację w Locke-Ober's. Następnego ranka (a spali bardzo mało) napięcie stało się wręcz nie do zniesienia. Nina zaproponowała, żeby zrobić coś bezmyślnego. Na przykład iść na zakupy. Elliott wyruszył na wyprawę do męskiego rajy przy Newbury Street, gdzie mieściły się sklepy braci Brook i J-Press. Nina miała swój własny tajny ogród kobiecych rozkoszy - podziemia Filene's. Tam, jak wyznała mężowi, można było znaleźć nawet wyroby Yves Saint Laurenta po niewiarygodnie atrakcyjnych cenach. Ustalili, że lunch zjedzą wspólnie w Daring-Park, w modnej jadalni, mieszczącej się w dawnej jatce w podcieniach autostrady. Nie było tam rezerwacji i nawet prezydenci musieli stać w kolejce. Nikt jednak tego nie żałował, kiedy zasiadał do befsztyków. Jak to było do przewidzenia, nie mieli apetytu. Zanim skończyli,

nadeszła pora na wizytę u Leventhala. Wzięli taksówkę, żeby się nie spóźnić. Przyjechali pół godziny za wcześnie. Sekretarka profesora, Ronnie, rozumiała ich zdenerwowanie i wprowadziła oboje do gabinetu, żeby poczekali. - Podać państwu herbaty? - zapytała serdecznym tonem. - Nie, dziękuję - cicho odparła Nina. - Ja także - dodał Elliott. Kusilo go, żeby w nawiązaniu do ostatniego przeboju z Broadwayu powiedzieć: zostawmy Herbatkę i współczucia na później.

77

O piątej powiedziano im, że doktor Leventhal wci jest na operacyjnym, walcząc z powikłaniami. W żad< sposób nie rozproszyło to ich obaw. Wreszcie przyszeć w zielonym fartuchu chirurga. - Wybaczcie mi - żartował ze swojego wyglądu. - Pacjentka mi nie powiedziała, choć sam tego nie zauwa żyłem, że będą bliźniaki. - Usiadł ciężko i popatrzył n^ nich. Twarz miał szarą i przybrał poważny ton głosu. -^ Obawiam się, że jest pewien mały kłopot... - przen wał. Nina i Elliott wymienili spłoszone spojrzenia. Leven thal ciągnął niesłychanie łagodnym tonem: - Musisz t przyjąć jak mężczyzna...

- Co? Co? - wybełkotał zdezorientowany Elliott. Lekarz popatrzył na Ninę i pozwolił jej mówić. - To moja wina - zawołała, powstrzymując się od płaczu. - Z jakiejś dziwnej przyczyny nie potrafię zająć w ciążę! :- - Skąd wiesz?

- Widzę to wypisane na twarzy doktora. - Zerk nęła na Leventhala, szukając potwierdzenia. - Mam rację?

Umknął wzrokiem.

- Są rzeczy, których nie sposób wytłumaczyć... - mruknął.

Elliott chwycił Ninę w ramiona i starał się ją uspokoić. Nie zdołał. Nigdy przedtem nie czuła się tak bezradna, tak pozbawiona wpływu na swoje dalsze życie. W grobowym przygnębieniu rozpoczęli długą drogę powrotną do hotelu.

- Wybacz mi - szlochała Nina. - Nie będę się sprzeciwiać, jeśli wystąpisz o rozwód... albo coś w tym stylu.

78

- Zwariowałaś? Z dzieckiem czy bez dziecka, ręka w rękę, przebrniemy przez zmierzch życia. - Przecież wiem, że chcesz być ojcem! Biegać z piłką po parku i tak dalej. - To też da się załatwić. Wystąpmy o adopcję. Nina nie wierzyła własnym uszom. Wbrew logice, od dawna była przekonana, że Elliott nigdy się nie zgodzi na to, by przyjąć do domu obce dziecko. - Teraz tak mówisz - powiedziała wciąż nieco niespokojnym tonem. - Skąd wiesz, że na pewno dasz sobie z tym radę? - zapytała z nagłą nadzieją. - Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Rozpłakała się, przytłoczona jego szlachetnością i dojrzałym rozsądkiem. - Och... Miałam szczęście, że w ogóle cię spotkałam.

Rozdział 13

|

Aż do lat sześćdziesiątych, przed wprowadzeniem pi-| gułki oraz innych metod kontroli urodzin, zawsze byłaj ogromna liczba niechcianych dzieci, czekających na adop-i cję. Tkwiły samotnie w różnych instytucjach, czekając na|

potencjalnych rodziców. Pytanie brzmiało: Gdzie się zwrócić?

Staranne śledztwo, prowadzone przez Ninę i Elliotta, wykazało, że jeden dom dziecka wyraźnie przoduje nad pozostałymi. Była to założona jeszcze przed pierwszą wojną światową Agencja Evelyn Schulyer, powstała z połączenia ochronki i szpitala dla małych gruźlików. Gruźlica przegrała w walce z medycyną, ale dla sierot brakło dobrego lekarstwa. Dzieci z tej agencji trafiały do wielu

różnych rodzin i jej działalność zyskała powszechne uznanie.

Choć dzieci było dużo, potencjalnych rodziców czekała dosyć długa i czasem nieprzyjemna procedura sprawdzenia. Obcy ludzie pytali o takie rzeczy, które zwykle są tajemnicą między mężem i żoną. Potem poddano próbie

80

stan umysłowy Niny i Elliotta. Przeszli przez szereg ustnych i pisemnych testów i wywiadów, włączywszy w to test Rorschacha. Kazano im powiedzieć, co widzą w niewielkich plamach atramentu. ("Niektóre były wręcz paskudne, więc musiałem kłamać", wyznał później Elliott z bardzo przebiegłą miną). Nadeszła pora, by przystąpić do interesów. Agencja bardzo dbała o wybór prawidłowych rodzin i z uwagą śledziła losy podopiecznych. Niektórzy z nich ukończyli najlepsze uczelnie, inni zrobili błyskotliwą karierę zawodową. Niemal wszystkim dopisało szczęście. Nina tymczasem przeżywała najcięższe chwile w życiu, bo wydawało jej się, że panna Schulyer (córka fundatorki) nie pała do niej zbyt dużym przekonaniem. A przecież każda na swój sposób robiła to samo. One pomagały ludziom odnaleźć swoje miejsce. Lecz zawód Niny nie cieszył się powszechną aprobatą i to mogło mieć zły wpływ na nastroje panujące w agencji. I rzeczywiście panna Schulyer początkowo traktowała ją bardzo zimno. Nie pochlebiała jej rozmowa z legendą Broadwayu. Wręcz przeciwnie, sława Niny skłaniała do uprzedzeń. - Panna Porter? - zaczęła. - Pani Snyder - grzecznie sprostowała Nina. - Oczywiście. Bez wątplenia słyszała pani, że stawiamy sztywny warunek, aby matka pozostawała z dzieckiem przez pół roku i w tym czasie nie podejmowała pracy zawodowej. Czy pani zawód nie wymaga częstych wieczornych wizyt poza domem? - Niekoniecznie - wyrwał się Elliott, gotów bronić macierzyńskich instynktów żony. - Rozmawialiśmy o tym po wielokroć... Nina ujęła go za rękę i nakazała milczenie.

81

- Sądzę, że panna Schulyer chce znać moją opinię. - Śmiało spojrzęła w oczy przeciwniczki i z głębi serca powiedziała: - Proszę posłuchać, panno Schulyer. Chcę mieć dziecko. Na pani rozkaz jestem gotowa zupełnie nie zrezygnować z pracy. Odejść na zawsze, nie przenosić

biura do własnego domu. Chcę być matką i w tej kwestii poniosę każdą ofiarę.

Jej szczerość wzbudziła nieklamany podziw pani Schulyer.

- Tak tylko zapytałam, droga pani Snyder - odparła pojedynczym tonem. - Przekonała mnie pani co do swoich intencji. Zrobię wszystko, żeby zaakceptowałam państwa kandydaturę na rodziców.

Wyszli od niej z nadzieją, że jednak dostaną dziecko! Panna Schulyer dotrzymała słowa. Wkrótce nadeszła oficjalne pismo i dodatkowy kwestionariusz, z pytaniami o podstawowe sprawy, takie jak: wiek, zawód i dochody. Druga część ankiety była o wiele bardziej szczegółowa

wa - między innymi należało podać wzrost, kolor włosów i oczu obojga kandydatów. Wszystko po to, żeby dziecko było "jak prawdziwe". Jedno z ostatnich pytań brzmiało: chłopiec czy dziewczynka? Nina spojrzała na Elliotta.

- Wszystko jedno, kochanie - oznajmił.

Wyczuwała jednak, że pomimo takiej postawy wolałby mieć syna. Zasłużył na niego,

Rozdział 14

Od razu stali się więźniami. Jeżeli nawet ich nie urzekł, to bez wątpienia oczarował. Nina i Elliott, trzymając się za ręce, z niemym za chwytem spoglądali przez duże prostokątne okno oddziału położniczego na maleńką istotkę wtuloną w ramiona pielęgniarki. - Jest taki mały... - mruknął Elliott tonem, który zdradzał wyraźną obawę, że ich syn nie podoła twardym przeciwnościom życia. - Przestań! - parsknęła Nina. - Waży aż trzy kilogramy. To jak na mnie wystarczy. Panna Schulyer stała w dyskretnej odległości, zadowolona z ich reakcji. Wiedziała już, że wybrała wspaniałych rodziców dla tego szczęściarza. - Mają państwo dla niego jakieś imię? - Tak - z dumą odpowiedział Elliott. - Wybraliśmy je po drodze. Daniel. To trzykrotny zwyczajca. W dzieciństwie wszyscy doń będą mówić "Danny". Kiedy podrośnie i stanie się znanym piłkarzem, zyska przydomek "Dań

83

Tornado". A gdy zostanie sędzią Sądu Najwyższego, będę się zwracać do niego "Danielu"...

- Skądże, kochanie - wtrąciła Nina. Jej dalsze słowa wywołały uśmiech na twarzy panny Schulyer. - Powi(dzą raczej "wielce czcigodny", j

Roześmieli się wszyscy. Nina opowiadała później, że za szybą ich ukochany Danny śmiał się razem z nim perlistym śmiechem, słyszalnym wyłącznie dla matki

Resztę dnia spędzili w szampańskich nastrojach, na koniec racząc się szampanem.

^

Rano uszczęśliwiona Nina stanęła przed groźnym obliczem swojego komendanta, żeby przeprosić go za zniknięcie poprzedniego wieczora. Temko, wciąż w stanie szoku za ostatnią leśną majestę, ochłonął nieco, gdy zrozumiał, że jej rejterada nie miała nic wspólnego! z ofertą innej pracy (ciągle wędzono wokół w pogoni za Jego ludźmi"). Miał swoich szpiegów i wiedział o za-

kusach ze strony konkurencji. Nina była ich głównym celem,

Zmarszczył brwi.

- Co to za bzdury, że masz dziecko? - wycodził s wreszcie.

- Przepraszam. Spieszyłam się. Adoptowaliśmy chłopca.

Temko wykrzywił twarz w szerokim uśmiechu. - Gratuluję! Chodź do wujka Cyrusa. Niechże cię uściskam! - Przycisnął ją do krawata i szytej na miarę koszuli z Jermyn Street. - Wspaniale - mruknął. - Bardzo się cieszę.

Nina delikatnym, lecz zdecydowanym ruchem uwolniła się z jego objęć i odstepowała na bezpieczną odległość, zanim poczęstowała go kolejną bombą.

84

- Przez kilka następnych tygodni nie będę brać udziału w poniedziałkowych odprawach - oznajmiła. Cesarz powątpiewająco uniósł lewą brew. - Dlaczego, jeśli wolno spytać? - Akt adopcji stanowi, że przez pierwsze pół roku matka musi się powstrzymać od pracy zawodowej. Uśmiechnął się łaskawie. - Niech będzie. Agencji potrzebny twój umysł, nie ciało. Są jeszcze telefony. Praktycznie nic się nie zmieni. Każę podłączyć bezpośrednią linię do twojego domu. - Nie - zdecydowanie odpowiedziała Nina. - To niemożliwe. Nawet gdybym wiedziała, że tego nie sprawdzą, nie postąpiłabym w ten sposób. Niczego nie robię w połowie. Do tej pory byłam agentką, w stu i więcej procentach. Teraz muszę pozostać u boku mojego syna. Pierwsze miesiące będą najtrudniejsze... ale i najwspanialsze. Prawdę mówiąc, miałam ochotę wystąpić o zwolnienie. Cy dramatycznym ruchem złapał się za serce. - Dobry Boże, jak możesz stać przede mną i prawić aż takie herezje?! Umrę bez ciebie, Nino. Nie mogłabyś znaleźć innego domu dziecka, o mniej sztywnych regułach? Adopcja przecież polega przede wszystkim na tym, że ktoś za ciebie robi całą czarną robotę, a tobie pozostaje korzystać z uroków życia! - Cy... Ja chcę kąpać i przewijać Danny'ego. To są właśnie uroki, o których wspominałeś. Nie oddam tego nikomu. Ale dziękuję, że jesteś ze mną szczerzy. Wiesz już o wszystkim. Możesz zaakceptować mój punkt widzenia lub mnie wyrzucić. Temko próbował się chwycić ostatniej deski ratunku. - Nie wytargujesz z nimi choćby czterech miesięcy? - Nie - kategorycznie odpowiedziała Nina.

85

- Pięciu? - W żadnym wypadku. Stary lis wciąż pozostawał znakomitym agentem. W sobie sprawę, że nie warto jej dłużej naciskać. Pół roku bez Niny da się jakoś wytrzymać. Gdyby zaś odeszła.] - No dobrze, moja złota. Zerknij jednak na listy najważniejszych klientów i przez najbliższe dni spróbuj im coś załatwić.

- Dzięki za zrozumienie,

- Powiem ci prawdę, Nino. Nic z tego nie rozumiem, ale nie mam wyboru.

Następne dni wlokły się jak kulawy. Nina i Elliott z niecierpliwością wyczekiwali dziecka. Wreszcie nadjechała chwila, w której - po złożeniu podpisów na niej zliczonych świstkach - dostali najwspanialszy prezent - własne dziecko. W drodze do domu Elliott spytał Ninę - Jak się czujesz?

- Poza tym że jestem niezmiernie szczęśliwa? - O, właśnie,

- Chyba się domyślasz. Mam stracha. Jest taki kruchy i mały... A jak go upuszczę?

- Nie bój się, nie upuścisz - z uśmiechem zapewnił ją Elliott i dodał pod nosem: - W przeciwieństwie do mnie. | Na zawsze zapamiętali dzień przybycia Danny'ego. | Był ich prezentem gwiazdkowym w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku. Data, która na zawsze za padła im w serce. Po miesiącu wydali gigantyczne przyjęcie. Cała crème de la crème show-biznesu składała gratulacje młodej matce. Nie można jednak powiedzieć, że życie płynęło im jak w raju. Danny nie lubił sypiać i robił się najbardziej głodny około trzeciej nad ranem. Elliott i Nina opiekowali się nim na zmianę, lecz mimo to byli koszmarnie zmęczeni. Dowiedzieli się przy okazji, że w pewnych okolicznościach nawet zmęczenie może uszczęśliwiać. Denny był wart wysiłków. Minęło pięć miesięcy. Przed powrotem na front Nina postanowiła znaleźć dobrą niańkę. Szukała rzadkiego okazu - kobiety,

która nie byłaby kidnaperką uczuć i nie przejęłaby roli matki, spychając prawdziwych rodziców do roli biernych obserwatorów. Najbliższą ideału Mary Poppins okazała się panna Christine Rich, absolwentka słynnej angielskiej Northrop School of Nannies. Miała wspaniałe referencje, między innymi od pewnej księżnej, Rockefellera i - co chyba najważniejsze - od psychologa dziecięcego. Panna Rich wychodziła zawsze z założenia, że to rodzice (a nie niania) mają wyłączną rację. Rozumiała, że teraz może być kochana, ale że kiedyś nieuchronnie nadejdzie smutny dla obu stron dzień rozstania. Z tego powodu starała się swoją własną miłość ograniczać do niezbędnego minimum. Znała się na swym fachu, a Danny szybko ją polubił, co dla Niny i Elliotta stanowiło najważniejsze kryterium. Wiedziała też, że od wpół do siódmej do dziesiątej wieczór Nina będzie jedyną matką Danny'ego. W tym czasie wynajdywała sobie całkiem inne zajęcia, takie jak pranie pieluch i ubranek, mycie butelek na noc czy gotowanie mleka. Stała się strażniczką klejnotów koronnych - była od pilnowania, a nie od noszenia. Danny Snyder nadał zupełnie nowe znaczenie słowom "wesoly wieczór" w życiu Niny Porter. Po zapadnięciu zmroku w całym show-biznesie nadchodziła pora na wypad do kawiarni, na martini i manhattany, i na prawienie bzdur na najwyższym poziomie. Nina ten czas całkowicie poświęcała synowi. Znana była z tego, że w wy-

87

znaczonych chwili przerywała rozmowę nawet z najwładzniejszymi.

- Przepraszam, panie Wamer. Później do pana ; dzwonię. Ktoś ważny na mnie czeka.

- Kto, Nino? Kto może być ważniejszy ode mnie? Chcesz w połowie zawiesić nasze negocjacje? - Niestety tak.

- Dobrze wiesz, że mogę pogadać z kimś innym, s... - Wiem, panie Wamer. Niech pan tak zrobi, jeśli nikt nie może pan poczekać przez krótkie trzy godziny.

Jak się potem okazało, zaintrygowany filmowy magnat! poczekał. O północy czasu wschodniego (w Kalifornii była dziewiąta wieczorem) Nina zatelefonowała do rezydencji w Bel Air i zawarła korzystną umowę. || Codziennie - zimą, latem, w upały albo w słotę -m wychodziła z biura o siedemnastej trzydzieści, szła do|| domu i kwadrans później leżała już na dywanie, pieścąc H Danny'ego. Panna Rich odchodziła na zsyłkę do kuchni. H Elliott, gdy tylko mógł, wracał, zanim Danny po wie czarnej kąpieli trafiał do łóżeczka. A jeżeli Nina nie miała nic do załatwienia "w zewnętrznym świecie", we dwoje siadali do kolacji i cieszyli się nową gamą uczuć, ofiarowaną im przez dziecko.

- Jestem najszczęśliwszą kobietą - uśmiechała się Nina, ściskając dłoń męża.

- Ja jestem jeszcze szczęśliwszy - odpowiadał wówczas.

- Coś mi się zdaje, że oboje nie mamy racji. - Więc kto jest tym szczęśliwcem? - Danny.

Czuli się tak, jakby stał przed nimi ogromny kawał świątecznego tortu.

Rozdział 15

Romans Niny i Danny'ego przypadał na lata, kiedy Ameryka odkryła telewizję - nowy elektroniczny gadżet, który niewiarygodnie szybko przekształcił się w potężny przemysł. Niewielu ludzi oprócz Niny zdawało sobie sprawę, że "po prostu rośnie" im pod bokiem olbrzym. - Mówię ci - pouczała Elliotta - że to jest jak dziecko. Ani się obejrzyś i już tak zmężnieje, że nie starczy jadła, żeby go nakarmić. - Moim zdaniem nic nie zastąpi kina -

odpowiadał jak zawsze naiwnie i to dosyć dobrze określało jego znajomość reguł rządzących show-biznesem. Dla Niny, mimo nowego medium - rosnącego, tak jak przewidywała, dużo szybciej niż mały Danny - teatr pozostawał świątynią magii i krainą czarów, w której ona grała rolę Alicji. Wciąż "odkrywała" liczne nowe talenty, chociaż nie trafił jej się już żaden Marshall Newman. Nawiasem mówiąc, Marshall, z lojalnością nieczęstą w tym zawodzie, w dalszym ciągu trzymał się Niny. Jej zawodowe życie nie było bajką ani nawet musicalem

89

z Broadwayu. Niejedna utalentowana kelnerka, którą dzięki niej miała swoje pięć minut sławy, pięć lat później - przy odrobinie szczęścia - stawała się kur. domową u boku bogatego męża. Lecz takie są realia współczesnego świata. Byli i tacy, co na powrót sprzedawali siekane kotlety.

Mną jednak nie zaprzedała swojej reputacji "cudo^ twórczyni". Dzięki niej bilans zysków World Management Agency wyglądał niczym arras przetykany złotem. Z re-gulamością zmian pół roku dostawała dyskretne oferty, ciche zapytania lub jawne propozycje, namawiające ją do zmiany pracy. Najbliżej szczęścia był David Merrick,| Przedłożył jej ofertę niemal nie do odrzucenia. Miałyby! pracować wyłącznie dla niego - za pięćdziesiąt procent! wpływów producenta! Nie dbała jednak o pieniądze, alej z drugiej strony nie kierowała się też poczuciem wierności wobec firmy. Chodziło o to, że WMA pomagała jej być lepszą matką. Agencja zatrudniała tak wiele osób, że w razie przeładowania, grożącego wybuchem - co się czasami zdarzało - Nina mogła spokojnie przekazać projekt lub klienta w ręce młodszych kolegów. Każdy z nich aż się palił, żeby pociągnąć jakąś zaczętą przez nią sprawę. I chociaż wydawałoby się to niemożliwe, jej świąteczne premie wciąż rosły. Były już tak wysokie, że niemal nieprawdziwe.

Zabawa trwała.

Po pewnym czasie, wraz z Elliottem, wróciła między ludzi i znowu widywano ich razem na premierach. Jako pierwsi śmiali się podczas Wizyty na malej planecie Gore'a Yidala i patrzyli ze zdumieniem na awangardową Końcówkę Becketta. ("Co to znaczy, do diabła?" - nie wytrzymał Elliott, wzruszając ramionami. "Ciii! - uspo-

90

koila go Nina. - Nie wolno nam tego wiedzieć"). Chociaż uwielbiał towarzystwo żony, z trudem wytrzymał na rozwlekłym Zmierzchu długiego dnia, wystawionym po śmierci Eugene'a O'Neilla. Żeby chociaż trochę mu to wynagrodzić, Nina załatwiła dwa najlepsze miejsca na premierę My Fair Lady z Rexem Harrisonem i Julie Andrews. W dalszym ciągu mieszkali w ceglany trzypiętrowym domu przy Osiemdziesiątej Szóstej Wschodniej. Każde z nich tam miało biuro, a Danny - przedszkole. Nadeszła jednak chwila, kiedy Nina nie mogła już na tyle zmienić planów, żeby bawić się z synem. Poza weekendami była praktycznie nieuchwytna, gdzieś w trasie lub zamknięta w swoim gabinecie. W agencji wrzało, a na dodatek, w nagły i niespodziewany sposób, poprawiły się notowania budowlanej firmy Elliotta. "Król i ja" - mawiał o sobie i swoim szacownym partnerze. Zeszłej wiosny oczyścili plac pod najbardziej prestiżową budowę. Chcieli postawić nowy hotel przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Wschodniej - rzut kamieniem od takich rezydencji, jak Plaża i Pierre. Dotrzeć tam można było dosłownie w parę minut, a mimo to Elliott stał się gościem w domu.

Nie myślał już o niczym innym. Pracował do późnej nocy. Rzadko jadał śniadania w towarzystwie Niny i Danny'ego. Jeszcze rzadsze były wieczory, kiedy miał dość czasu - lub energii - by przeczytać synowi choćby krótką bajkę. Zasnął w mgnieniu oka. Wyrozumiała panna Rich doczekała się wreszcie na grody za swoją anielską cierpliwość. Dobrze wiedziała, że tacy ludzie, jak Nina i Elliott, zawsze powracają do swoich dawnych pasji. Zauroczenie dziećmi trwa nie-

91

zwykle krótko. Kiedy Danny skończył trzy latka, Christine Rich praktycznie rządziła całym domem, i

Danny rósł, lecz coraz bardziej tęsknił za matką. Niejr uszło to uwagi niani i rodziców. Rankiem ponuro patrzył J; na wychodzącą Ninę, a wieczorami witał ją obrażoną minką. Rozmawiała o tym z Elliottem. Wspólnie szukali przyczyny. We wszystkich podręcznikach o wychowaniu

dzieci stało jak byk, że z biegiem czasu malcy stają się bardziej samodzielni.

Danny wyrastał na maminsynka.

- Bywa nadpobudliwy - zauważył Elliott. - Cza sami tak rozrabia, jakby wpadł do mrowiska. - Spójrzmy prawdzie w oczy - powiedziała Nina. - Matki jego kolegów na ogół nie pracują. Nawet te, które zatrudniają nianię, przeważnie są w domu. Ja stałam się tytanem przemysłu rozrywkowego. Bóg mi świadkiem, że bym odeszła, gdybym tylko wiedziała, że to coś pomoże. - Przyhamuj trochę - odparł ostrzegawczo - i bądź ze sobą szczerą. Twoja praca to nieodłączna część twojego życia. Jesteś potrójną matką; masz

Danny'ego, mnie

i klientów. Masz też potrójną satysfakcję, bo tego właśnie potrzebujesz. - To prawda - uśmiechnęła się. - Jesteś cholernie spostrzegawczy, kochanie. Miejmy nadzieję, że nasz Dan ny szybko z tego wyrośnie.

Wyrósł. I stał się jeszcze gorszy. Panna Rich oznajmiła Ninie, że jej podopieczny bije się z rówieśnikami. Nie oszczędzał nawet dziewczynek. Nie miał wielu przyjaciół i nie był zapraszany na wspólne przyjęcia albo na wycieczki.

Potem Nina odkryła -jak jej się wydawało - rzeczywistą przyczynę tych wszystkich kłopotów. 92

Pewnego popołudnia dopadł ją nagły atak, jak to określała, "dwudziestoczwierogodzinnej grypy". Zdarzało się to czasem, głównie w dni powszednie. Wyszła wcześniej z biura i pojechała taksówką do domu. Z góry dobiegł ją płacz Danny'ego. Wbiegła po schodach. Zza drzwi pokoju usłyszała głos panny Rich: - Zamknij się, gówniarzu! Chwilę potem rozległ się odgłos siarczystego klapsa. Nina nie miała wątpliwości, że jej syn dostaje w skórę. Otworzyła drzwi na oścież. Panna Rich stała z uniesioną ręką, gotowa do następnego ciosu. Nina zamarła z przerażenia. Danny rzucił się jej w ramiona. - Mamusiu! Mamusiu! - płakał. Przytuliła go i ostrym wzrokiem popatrzyła na niańkę. Panna Rich wyraźnie zamierzała bronić swoich racji. - Jak pani mogła? - syknęła Nina. - Proszę mnie wysłuchać - odparła niania. - Nigdy w życiu nie uderzyłam dziecka. Żadne jednak nie było tak krnąbrne, uparte, wręcz chamskie... Nina kipiała złością. - Panno Rich... Christine, jeśli wolno. Nie widzę w rękę

Danny'ego żadnej śmiercionośnej broni, a tylko to mogłoby usprawiedliwić pani zachowanie. Jak można bić bezbronnego malca?! Daję pani dokładnie dwie godziny na spakowanie swoich rzeczy i wyszukanie nowego miejsca pobytu. Zaraz wezwę taksówkę i przygotuję wypłatę. I niech mi pani będzie wdzięczna, że nie dorzucę żadnych referencji. Panna Rich nie chciała poddać się bez walki. Czuła się osobiście i zawodowo skrzywdzona. Szukała wyjaśnienia. - Proszę mi wierzyć, pani Snyder, że rozumiem pani uczucia. Znam jednak Danny'ego już całe trzy lata i muszę

93

stwierdzić, że tym razem doprowadził mnie do ostateczności. Polubiłam go, kiedy zaczynałam pracę. Nigdy przedtem nie miałam do czynienia z tak żywym i inteligentnym dzieckiem. Włożyłam wiele wysiłków w to, żeby go wychować. Ale to dzikus! Mówię pani... i żadni sumą nikt mnie nie przekupi... jemu jest niepotrzebna niania, lecz poskramiacz dzikich zwierząt!

Nina zacisnęła zęby, parsknęła krótkim śmiechem i zakończyła konwersację.

- Żegnam, Christine. Jakimś cudem udało jej się na tyle uspokoić syna, żeby zajął się zabawkami i zatelefonowała do Elliotta. Na szczęście był u siebie w biurze, na budowie.

Opowiedziała mu o wszystkim. Też się przejął i na swój sposób był zadowolony, że wyjaśniły się przyczyny dziwnego zachowania Danny'ego.

- Wniosek stąd, że za szacowną angielską fasadą krył się zwyczajny bokser. Ciekawe, że tak długo zdołała

to ukrywać... Mam nadzieję, że Danny'emu nie zostanie uraz aż do końca życia.

- Zrobimy wszystko, żeby to naprawić - odparła. - Nieważne, co myślisz, mój drogi, ale przez najbliży tydzień jedno z nas musi być w domu. Będziemy razem chodzić na spacer i tak dalej. W tym samym

czasie poszukamy najłagodniejszej niani od czasów Little Bo Peep.

Elliott nie pracował w wielkiej korporacji, więc każda jego nieobecność, choćby trwała pół dnia, wiązała się z przestojem. Mimo to przyjął punkt widzenia żony. Westchnął tylko cicho i z rezygnacją, na znak, że chociaż Danny dostał jak dotąd jedyne w swoim życiu klapsa, to skutki tego wydarzenia mogły wyraźnie zaważyć na

94

karierze zawodowej ojca. Zacisnął zęby i codziennie kilka godzin spędzał na zabawie z synem. W tym czasie jedna z sekretarek Niny, specjalnie oddelegowana z biura, dzwoniła do wszystkich nianiek na całym Wybrzeżu Wschodnim. Wreszcie trafiła im się świetna kandydatka - energiczna i młoda (jak na swój wiek) babcia Wilma Evers, która - tak przynajmniej wynikało z jej referencji - w ciągu minionych lat piastowała dzieci wszystkich znanych nowojorczyków, z wyjątkiem F. D. Roosevelta. Nina jednak wolała to sprawdzić. Chwyciła za słuchawkę i osobiście zatelefonowała do wszystkich dawnych pracodawców pani Evers, którzy pozostali po tej stronie Perłowych Wrót. Okazało się, że w ciągu długiej i wybitnej kariery wiekowa niania zażegnała liczne rodzinne kryzysy i wychowała na porządnych ludzi wiele niesfornych dzieci. Nina, tak czy inaczej, musiała to zaakceptować, jeśli jak najszybciej chciała wrócić do pracy. W każdym razie, pomyślała, nawet z najgorszej

przygody można wyciągnąć jakąś korzyść. Obiecali sobie z Elliot-tem, że nigdy nie pozwolą, aby ich syn cierpiał z jeszcze jednego powodu. Na razie nie przejmował się, że jest adoptowanym dzieckiem. Mimo to rosły podejrzenia, że po pewnym czasie poczuje się odrzucony. Ból serca wywoływały obecnie razy zadane mu przez pannę Rich.

Rozdział 16

Jeżeli można za coś winić Ninę i Elliotta, to tylko za to, że kochali syna zbyt mocno, ale niezbyt mądrze.

Popsuli go. Rolę rodziców traktowali niemal jako zawód i chcieli być coraz lepsi.

Kto zresztą zabroniłby im ciągłego kupowania zaba wek? Kto przegwałby Danny'ego z luksusowych pokoi? Kto zrobiłby mniej wystawne przyjęcie urodzinowe - zwłaszcza w tym roku (piątym na bożym świecie)? Zabawa trwała na stojąco. Przyszły dzieci kolegów z branży, klientów Niny i partnerów Elliotta z działki budowlanej. Dom rozbrzmiewał niepowstrzymanym śmiechem. Starsi goście byli pod wrażeniem występów gwiazdora wieczoru, którym był nikt inny jak sam Danny Kaye (żona Sylvia przy fortepianie). Młodszy Danny i jego rówieśnicy, chociaż nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, potrafili docenić jego niezwykle talent. Pan Kaye szczerze się udzielał, niczym na premierze w Pałace. Zakończył wiązką melodii z filmowej bio grafii Hansa Christiana Andersena - słynnego autora baśni, żyjącego przed laty w "cudownej Kopenhadze".

96

Na bis wykonał wspaniałą i arcytrudną piosenkę, którą w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku roz począł swoją karierę na scenach Broadwayu. Zatyłowa na po prostu Czajkowski (i inni Rosjanie), do melodii Iry Gershwin, wyliczała nazwiska pięćdziesięciu trzech słynnych rosyjskich kompozytorów. Kaye śpiewał ją w błyskawicznym tempie, kończąc: "Strawiński, Rimski-Korsakow, Musorgski i Greczaninow, i Głazunow, i Cezar Cui, Kalinikow, Rachmaninow, Strawiński i Greczaninow, Rumszyński i Rachmaninow, I to chyba już dość na dzisiejszy występow!". W chwili gdy skończył, jego żona z dumą wskazała na zegarek i oznajmiła: - Trzydzieści trzy sekundy. Bardzo blisko rekordu świata, który sam ustanowił! Nina i Elliott z zachwytem obserwowali zabawę młodsze go Danny'ego. Jubilat energicznie brylował wśród małych gości. Miał w sobie więcej prądu niż cała kompania Edisona. To był ich najszcześniejszy dzień spędzony z dzieckiem. Elliott chadzał z nim czasem do Central Parku. Zauważył, że Danny, nie mogąc kogoś prześcignąć lub pokonać, najzwyczajniej popychał rywala. Tata, jak to mężczyzna, odczuwał coś na kształt dumy, że ma tak bojowego syna. Odłamek starej skały, myślał (ponieważ taki sposób zachowania mógł być wynikiem obserwacji albo dziedziczności). Podobała mu się zadziorność Danny'ego. Oczywiście nie były to już czasy spokoju i zaufania, jak w najlepszym okresie pracy panny Rich. Chociaż w rezultacie znaleźli dużo lepszą nianię i kucharkę w osobie

97

Wilmy Evers, starszej wiekiem (to dobrze) mieszkanki południa, o matczynym sercu i świetnych referencjach, niezupełnie wierzyli wszelkim zapewnieniom. Gdy przebywali poza domem, ciągle się martwili o dobro Danny'ego. Skoro ich zawiodła solidna Angielka, to samo

- wbrew pochwałom - mogła zrobić Wilma. Nina o różnych porach dnia ciągle telefonowała do domu, żeby sprawdzić, co się tam dzieje. Elliott ze swej strony postępował tak samo. Co ciekawsze, im więcej czasu mijało od rozstania z Christine, tym bardziej pamięć o tamtych wypadkach stawała się wyraźniejsza. Nina się zastanawiała, ile razy Danny był bity przez rozzłoszczoną nianię. To, co wi działa, nie wyglądało przecież na przypadkowy incydent. A jeśli miała rację, to dlaczego chłopiec nic wcześniej nie powiedział?

Stąd wzięła początek jej kolejna obsesja - uznała, że jest złą matką. Dlaczego nie umiała zdobyć zaufania syna? Dlaczego, choćby z płaczem i po dziecinnemu, nie przyznał się, że był karany? Bał się, że nikt mu nie uwierzy? Wilma była żywą oazą spokoju, lecz Danny przy niej wcale nie złagodniał. Wciąż się wydziczał po staremu. W weekendy Elliott usiłował namówić go do sportu, by chłopiec gdzieś dał upust niespożytej energii. To trochę pomagało. Danny z entuzjazmem kopał piłkę, wywijał kijem baseballowym i nawet - choć to jeszcze nie było dyscypliną olimpijską - rzucał kamieniami. Najbardziej jednak upodobał sobie obręcz od kosza. To przynajmniej, w odróżnieniu od poprzednich sportów, wydawało się mniej agresywne. Danny miał zaledwie metr dwadzieścia wzrostu, lecz bez większego trudu radził sobie z ojcem i z wyższymi kolegami, którzy czasem zapraszali go do gry w "króla". Za swoje celne rzuty

98

szybko awansował. Jako szósty grywał w meczach trójek i ku wielkiej radości Elliotta, dzielnie sobie poczynał wśród starszych. Po meczach bywał spokojniejszy, więc rodzice zgodnie doszli do wniosku, że są na dobrej drodze. - A widzisz - z satysfakcją oznajmiła Nina. - To po prostu pełnokrwisty Amerykanin, dymiący adrenaliną. Gdzieś się musi wyszaleć. - Masz rację, kochanie. Chyba go zapiszę do jakiejś drużyny z Małej Ligi. Tam przynajmniej zapomni o rzutach kamieniami. - Bardzo dobrze - odpowiedziała. - Cieszę się, że znaleźliście wspólny język. Jej ostatnie słowa zabrzmiały dwuznacznie, jakby z lekką naganą. Elliott to wyczuł. - Chcesz powiedzieć, że przedtem był mi obojętny? - zadał pytanie. - Aż tak, to nie - odparła, umykając wzrokiem. - Ale nie byliście zżyci tak mocno, jak bym chciała. Elliott pomyślał przez chwilę. - Widziałaś to i nic mi nie mówiłaś? - Miałam cichą nadzieję, że wszystko się ułoży. Że pokochasz Danny'ego tak jak ja, chociaż... - Co to znaczy "chociaż"? Myślisz, że go lekceważę, bo jest adoptowany? - Nie - odparła szczerze. - Lecz na pewno kochałbyś go bardziej, gdyby był twoim prawdziwym synem. Stąpali po cienkim lodzie. Chyba zdawali sobie z tego sprawę, bo na wszelki wypadek - być może zdjęci nagłym strachem - szybko zmienili temat. Elliott jednakże dobrze zapamiętał tę rozmowę. Najśmieszniejsze, że Nina miała całkowitą rację. Po prostu źle się maskował.

99

Dotrzymał słowa i znalazł drużynę koszykarzy, dół której przyjęto Danny'ego mimo jego młodego wieku;! ("Tam, do diaska - filozoficznie mruknął trener Hankj Duberstein. - Brałbym nawet trzylatków, jeśli tylko umieją rzucać"). W każdą sobotę rano Elliott zasiadał wiernie na widowni i patrzył na swojego syna, uwijającego się -jak to potem opowiadał Ninie - "wśród dwunastu krwiożerczych młodzików, wypuszczonych z Alcatraz". - Cieszę się, że tak wiele czasu spędzacie w dobrym towarzystwie - odpowiedziała żartobliwie, rzeczywiście zadowolona z postawy męża. - Spotkałeś jakąś bratnią duszę wśród rodziców?

- Owszem, poznałem kilku ojców, lecz nie przypadli mi do gustu.
 - Dlaczego? - Dopingują chłopaków zupełnie po wariacku. Istna banda dzikusów. Jeden z nich krzyczał nawet: "Łokciem go, Freddie! Łokciem!". Co to niby ma znaczyć? - To znaczy, że wszyscy razem jesteście wciąż dzie ciakami. A jak mi się nie spodobały treningi Danny'ego, to dla równowagi zapiszę go do baletu. - Chyba żartujesz - zająknął się Elliott.
 - Sam zobaczysz - odparła Nina pół żartem, pół serio. W tym momencie przemówił Danny, który najwyraźniej uznał, że pora się wtrącić:
 - Daj spokój, mamó. Taniec jest dobry dla pedałów i dupków.
 Nina osłupiała. Z niedowierzaniem popatrzyła na męża. - Kto go tego nauczył?
 Elliott odrzekł ostrożnie, ze skrywanym uśmiechem: - Mówiłem ci, że w tej grupie są sami twardziele. A teraz, co wybieracie? Pizzę czy delikatesy?

Rozdział 17

Przez pewien czas żyli w błogim przekonaniu, że w ich rodzinie wszystko układa się jak najlepiej. Ufni we własne siły, w końcu zdecydowali się na śmielsze posunięcie. Ktoś mógłby powiedzieć, że mieli po prostu szczęście, ale w wypadku Niny było to poparte latami wyrzeczeń, krwi, potu i łez, aż z pozorną łatwością wystawiła na próbę jednocześnie DWIE sztuki w Bostonie. Do tej pory, przez całe dzieciństwo Danny'ego, w ich domu panowała żelazna reguła, że oboje z Elliottem rezygnują z wyjazdów i że zawsze wracają na noc. Teraz jednak trafiała im się niezwykła okazja wspólnego wypadu na weekend za miasto. Zastępowali na to. Poza tym już zupełnie nabrali przekonania do Wilmy. - A gdyby nawet doszło do najgorszego - mówił Elliott tonem pewnej przechwałki - wrócimy w ciągu czterech godzin. Może nawet szybciej, jeśli ja poprowadzę. Nina nie dała się długo prosić. Też doszła do wniosku, że Danny jest wystarczająco duży, żeby spędzić dwie

101

noce bez rodziców. I vice versa - im także coś się należało, zanim będą za starzy.

Plan zapowiadał się wspaniale: wyjazd i spotkanie z Robertem Margolinem, autorem i odtwórcą głównej roli w przedstawieniu, którego prapremierę zapowiedziano na piątkowy wieczór. W sobotę zaś miał się odbyć pierwszy po korekcie przegląd nowego musicalu Niny, pod tytułem Dwie dusze. Ów spektakl był praktycznie jej wyłącznym dziełem, poskładanym niczym zamek z plastikowych klocków, wybudowany przez Danny'ego. Opo wiadał o miłości pary słynnych poetów, Elizabeth i Roberta Browningów. W rolach głównych - co Nina uważała za swój największy triumf - występowali Julie Andrews i Richard Burton (świeżo opromienieni sławą Camelotu). Krytycy prześcigali się w pochwałach dla aktorów, ale sam musical dostał miazdzące recenzje i wymagał poprawek. W efekcie Nina spędziła cały tydzień przy telefonie, prosząc swych najbardziej utalentowanych przyjaciół, żeby wybrali się do Bostonu i spróbowali jakoś pomóc. W rezultacie, z dobrego serca, Marshall Newman zamknął się w apartamencie w Ritzu i jak oszalały walił w maszynę do pisania. Poprawiona sztuka wracała na scenę właśnie w sobotę po południu, żeby grono dobranych widzów mogło szczerze ocenić, czy warto ją pokazać szerszej publiczności. Początek wyprawy rokował wspaniale nadzieje. Robert Margolin był świetny w wybranej dla siebie roli młodego amerykańskiego dyplomaty, zatrudnionego w

ambasadzie na maleńkiej karaibskiej wyspie, na której przymusowo wylądował samolot wiozący Fidela Castro. Nagle wzrok całego świata padł na ten skrawek lądu, zagubiony w bezmiarze oceanu.

Sztuka skrzyła się błyskotliwymi dialogami, zwłaszcza 102 w trakcie dyskusji między podchmielonym ambasadorem Stanów Zjednoczonych (wysmieniony Walter Matthau) i kubańskim dyktatorem (Alan Arkin), łagodzonej przez ruchliwego Margolina. Sceny z córką Fidela Castro były nie tylko śmieszne, ale i wzruszające. Wszystko na swoim miejscu. A w nowojorskim biurze Niny już dzwoniły telefony prosto z Hollywood. Niestety w sobotni wieczór nastroje wyraźnie przygasły. Musical pary Andrews-Burton zrobił efektowną kłapę. Porównywano go do sztucznych ogni, wybuchających bez kontroli. Niektóre strzeliły w górę, oświetlając scenę miliardami iskier, większość jednak, po krótkim i pokręconym locie, spadała i gasła. Nawet przy szczodrej pomocy Marshalla Newmana, który dokonał wielu istotnych poprawek, Nina musiała przyznać, że Dwie dusze były największym marnotrawstwem aktorskiego talentu, od czasów gdy Szekspir statystował w Jak wam się podoba. Martwiło ją to, bo włożyła doprawdy wiele czasu, wysiłku i serca w tę sztukę. Pomyliła się nie po raz pierwszy, lecz nigdy tak głęboko. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Lekarz był niepotrzebny, przydałby się grabarz... Producenci zachowywali beztrojski optymizm. Nina postanowiła jednak wyprowadzić ich z błędu. - Zawiniłam na równi ze wszystkimi. Ale, powiedz mi szczerze, gdyby ten musical miał sierść i pazury, Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami kazałoby go czym prędzej uśpić. Oszczędźmy mu dalszych cierpień. Nie stresujemy aktorów... i nas samych. Producenci na zgodę wzruszyli ramionami. Tylko Ti-mothy Lipton pozostał nieugięty. - To zbyt wyszukany temat jak na Boston. Jedźmy do Nowego Jorku.

103

- Chyba żartujesz - powiedziała Nina. - Bostoń- czycy wcale nie są gorsi od innych widzów. Przecież dobrze wiesz, o co naprawdę chodzi.

- Mam ci przypomnieć, Nino, że półtora miesiąca temu, kiedy zaczęliśmy próby, przekonywałaś nas, że to najwspanialsze dzieło od czasów Południowego Pacyfiku[^] Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Mam ci przypomnieć, Timothy, że nie jestem Bo giem? - zapytała chłodno. - Gdybym nim była, dokołałabym lepszych poprawek. Niestety tak wyszło, że jestem tylko człowiekiem, który na śniadanie jada własny zapal, a nie talerz płatków. Scenariusz sztuki czytało się wspaniale. Może ktoś pamięta nasze podniecenie, kiedy dostaliśmy Andrews i Burtona? Moim zdaniem zbyt mało uwagi poświęciliśmy treści. Teraz już za późno. Timothy jednak wciąż nie chciał porzucić nadziei. Sądził, że tym razem mąż nie stanie po stronie żony.

- A ty co myślisz? - zwrócił się do Elliotta. - Ja? Moje zdanie tu nie ma znaczenia. Matolek ze

mnie, więc chodzę za moją mądrą panią i nawet mi się to podoba.

- Dlatego odszedłeś z zawodu - powiedziała Nina. Nie chciała mu dokuczyć, ale tak jakoś wyszło. Cień smutku przemknął przez twarz Elliotta. Już miał przygadać Ninie, lecz nie chciał się z nią kłócić w obecności świadków.

Tak czy owak, pokrótce przekonała wszystkich, że nie należy dłużej karać widzów i aktorów. Za kulisami przekazano wieść, że sztuka schodzi z afisza.

- Cholera, dzięki Bogu - skwitował to Richard Burton.

Wieczór był wyjątkowo długi i pełen rozmaitych prze-

żyć. Nina nie mogła zasnąć. Po teatralnych utarczkach zatęskniła za ukochanym synem. -

Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale mam ochotę spędzić tę noc we własnym łóżku -

powiedziała do Elliotta. - Brak mi Danny'ego. Poprowadzę samochód przez pierwsze dwie godziny, a ty się trochę prześpij na tylnym fotelu. Potem zrobimy zmianę. Elliott uśmiechnął się kwaśno. -

Uciekasz z miejsca zbrodni? - Chyba tak. Mówią o mnie, że jestem twarda, ale, tak między nami, nie znoszę widoku krwi. Dochodziła już czwarta rano, gdy dojechali do domu. Nina wciąż była mocno przygnębiona. Elliott usiadł przy niej. Zaczęli rozmawiać. -

Kiepsko się czujesz? - zagadnął ze współczuciem. Skinęła głową. - Bardzo kiepsko. Dziś pozbawiłam pracy niemalą grupę ludzi, a przecież wiesz, jak trudno zaczepić się w tym fachu.

- Nie bierz sobie tego do serca, Nino. Pomyśl raczej, ilu ludziom pomogłaś przez te wszystkie lata. Ilu aktorów skorzysta z triumfu Boba Margolina? Sztukę wystawią na Broadwayu i w wielu innych miastach. Na całym świecie. Sam procent od tantiem Boba wystarczy, by utrzymać agencję na długie lata. Wczorajsza noc to twój triumf. Taką cię wszyscy znają. Za dwa tygodnie nie będzie śladu po Dwóch duszach, a skaza na twoim pomniku stanie się zwykłą plamką, która też zniknie z czasem. Nie zapominaj, że wciąż jesteś wcieleniem króla Midasa. Zmieniasz autorów w złoto. Zdobyła się na wąty uśmiech. - Aktorów także - mruknęła weselszym tonem. - Bob dał prawdziwy popis.

105

Na palcach przeszli do sypialni i zaczęli szykować się do spania, kiedy ktoś cicho zapukał. To była Wilma,

w znajomym szmaragdowym szlafroku. Miała dziwnie posępny minę.

- Och, już jesteście - powiedziała i dodała napiętym tonem: - To dobrze.

- Dlaczego? - zapytała Nina. Wpatrywała się w twarz staruszki, próbując z niej coś wyczytać. - Coś się stało? Gdzie Danny? Z nim wszystko w porządku? - Trudno powiedzieć "tak" lub "nie", pani Snyder. Cały i zdrow, jeśli o to chodzi. Przynajmniej na ciele.

- Ale zdarzyło się coś złego - wtrącił się Elliott. - Dlaczego pani do nas nie zadzwoniła?

- Są sprawy, w których nie można pomóc na odległość. ;

- Był... niegrzeczny? - spytała Nina. Wyczuła w głosie niani nutę zakłopotania.

- To zbyt łagodne określenie - smutno odpowie działa Wilma. - Przykro mi, lecz mam dość jego za chowania.

- Uderzyła go pani? - zawołał Elliott, wciąż mając w pamięci dawne wydarzenia.

- Nie - odparła z dumą. - I przez wszystkie lata, jakie pracowałam z dziećmi, nigdy nie miałam na to ; najmniejszej ochoty. Aż do dzisiaj. Okropnie to prze- | żyłam. Czekałam, aż państwo wrócą, by złożyć wymó- l wienie.]

- Ależ, Wilmo! - zaprotestowała Nina. - Przecież | do tej pory świetnie sobie radziłaś. Nie możesz zostać ^ jeszcze kilku dni? Spróbujemy wszystko naprawić. ; Wilma skierowała na nią zmęczone spojrzenie, l - Obawiam się, że na to potrzeba dużo więcej czasu, l

106

Nie widziałam jeszcze tak pobudliwego dziecka. A jego agresywność... nie. Nie chcę o tym mówić. Jeśli państwo pozwolą, spróbuję się trochę przespać - powiedziała cicho. Podeszła do drzwi, lecz zatrzymała się i popatrzyła na swoich pracodawców. - Lubię państwa - odezwała się łagodnym tonem. - I wiem, że to bardzo ciężko słuchać takich rzeczy. Jeszcze trudniej jest o tym mówić. Nina i Elliott do rana nie otrząsnęli się ze zdumienia. Nie potrafili podjąć żadnej rozsądnej rozmowy. - Mamo! Mamo! Tato! Tato! Rozradowany chłopiec od razu zauważył, że rodzice przyglądają mu się z napiętą uwagą, jakby niepewni, co zobaczą. - Tęskniłeś trochę? - z uśmiechem zapytała Nina. - Gdzie tam... - odparł jej syn. Nie lubił kłiwych sentymentów. - Tata i ja bardzo tęskniliśmy, jeśli to cię obchodzi. Choć próbował to ukryć, był bardzo zadowolony, że wciąż o nim myśleli. Nina i Elliott, w szlafrokach i kapciach, wzięli go między siebie i trzymając się razem za ręce, poszli na śniadanie. Uśmiechem maskowali trapiące ich zmartwienie. Wreszcie Danny się znudził towarzystwem rodziców i wrócił na górę, do swoich zabawek. Nina i Elliott zjednoczyli siły, żeby raz jeszcze porozmawiać z Wilma. Prosili ją, aby chociaż trochę dokładniej powiedziała, co wpłynęło na jej decyzję. - Błagam cię, Wilmo - z przejęciem powtarzała Nina. - Nie trzymaj tego w tajemnicy. Co on zrobił? Uderzył cię? - Owszem. Ale już nieraz oberwałam od chłopców

107

w jego wieku. Nawet nie liczę siniaków. Chodzi raczej | o jego ciągle humory i wrzaski.

|
- Używa brzydkich słów? - zapytał Elliott. Czuł się | nieco niezręcznie i był wyraźnie zmartwiony. Wilma skinęła głową.

- W swoim życiu słyszałam już chyba wszystko. O wiele gorsze są groźby. - Jakie groźby?

- Wolę nie mówić. Mdzi mnie, kiedy o tym myślę.

- Powiedz - nalegał Elliott. - Musimy to wiedzieć. Daj choćby jeden przykład.

Niania westchnęła ze zrozumieniem. Nie mogła od mówić tej prośbie. Odgarnęła siwe włosy z czoła.

- Powiedział, że mi rozpląta brzuch nożycami i wy- pruje flaki.

- Co?! - zachłysnęła się Nina. Wilma powtórnie pokiwała głową.

- Wciąż wygaduje takie rzeczy, na różne sposoby. Trzeba przyznać, że ma bardzo bujną wyobraźnię. No i ten nóż...

- Jaki nóż?

- Chwileczkę. - Wyszła z pokoju, zaraz jednak wróciła z naręczem pociętych książek.

Pokazała je, jako główny dowód rzeczowy. - Pokroił je kuchennym nożem. Szczerze

powiedziawszy, wolę nawet nie myśleć, co zrobi, gdy podrośnie. - Elliott i Nina zamarli ze

zgrozy. - Bardzo mi przykro, że to powiedziałam - dodała Wilma. - Jeśli państwo pozwolą,

zadzwońię po taksówkę. Chciałabym się dzisiaj wybrać do kościoła.

Rozdział 18

Dzięki Bogu, że istnieją niedzielne zajęcia sportowe. Danny jak zwykle szalał na boisku. W

tym samym czasie jego rodzice mogli spokojnie porozmawiać, bez obawy, że ich podsłucha.

- To nie może być zbieg okoliczności. Mamy winić następną piastunkę? - mówiła Nina. - Jest

w tym jakaś prawidłowość. Dzieje się coś bardzo złego. - Przedkładasz słowa dwóch

nianiek ponad to, co widzisz u własnego syna? - z naciskiem zapytał Elliott. - Przecież nie nosi na co dzień noży, pistoletów ani innej zabójczej broni. Nie ma krwi. Zauważyłaś może, żeby w jakiś sposób odstawał od normy? - A co powiesz o "pruciu flaków"? I o niszczeniu książek? - Żadne z nas go nie przyłapało na gorącym uczynku. - Sugerujesz, że Wilma to wszystko wymyśliła? Że sama pocięła książki na konfetti? Spuścił z tonu. - Mamy go zabrać do lekarza?

109

- Tak. Do dobrego psychiatry. - Nic z tego. Nie ma takich. Każdy z nich to czubek. - Zdarzają się wyjątki. Sam Wilson jest najlepszym pediatrą w okolicy. Bez wątplenia zna kogoś odpowiedniego. Zgoda? ! - Zgoda - mruknął niechętnie.

W poniedziałek znaleźli tymczasową nianię na miejsce Wilmy i mogli iść do pracy. Sam Wilson chyba wyczuł powagę chwili, gdyż zaraz porozmawiał z Carterem McKenzie. Szanowany dziecięcy psychiatra miał mocno napięty plan wizyt, lecz zgodził się przyjąć Danny'ego tak szybko, jak to możliwe.

Rozmawiał z chłopcem ponad pół godziny. Potem odesłał go do poczekalni, żeby pobawił się z pielęgniarką, i wezwał Ninę i Elliotta. Oboje byli tak zdenerwowani, że przez całą wizytę nie zamienili ani słowa. McKenzie ruchem dłoni zaprosił ich do gabinetu. Za nim usiedli, Nina spytała z niepokojem: - I co, doktorze? Zdołał pan coś ustalić? Siwowłosy lekarz wsparł ręce na biurku i pochylił się. - Proszę posłuchać, pani Snyder... Już na pierwszy rzut oka widać, że to nie ma dosłownie nic wspólnego z jego fizycznym rozwojem - powiedział z wyraźnym zamiarem uspokojenia ich. - Danny ma rzeczywiście niezwykłą, żeby nie powiedzieć chorą, wyobraźnię. Na pewno wiedzą państwo, że dzieci z adopcji w pewnym okresie przejawiają gwałtowną niechęć do przybranych rodziców. Tu prawdopodobnie mamy do czynienia właśnie z takim przypadkiem, tyle że w zmienionej formie. - Jak można mu pomóc? - dopytywała się Nina. - Chciałbym za jakiś czas ponownie z nim porozmawiać. Na dziś jestem pewny, że najlepszym lekar-

110

stwem będzie miłość i przywiązanie... i bardzo wiele cierpliwości. - To wszystko? To pańska diagnoza? - ze złością zawołał Elliott. McKenzie zmierzył go wzrokiem. - Tak, panie Snyder. Żaden lek nie zastąpi miłości

i uczuć. Gdy wyszli na ulicę i Danny stanął przed wystawą sklepu sportowego, Elliott szepnął: - Stek bzdur. Ten konował nie potrafiłby nawet wyciąć wrosniętego paznokcia. - Nie przesadzaj. Poradzimy sobie bez niani. Zobaczmy, czy w naszej obecności Danny zmieni postępowanie. Elliott znał tylko jedną odpowiedź. - Gówno prawda!

* * *

Praca Niny nie pozwalała jej na całkowitą rezygnację z zajęć. Chociaż więc zostawała w domu, by doglądać Danny'ego, zabierała ze sobą Edie, swoją Piętaszkę, która jej pomagała przekopać się przez górę listów i telegramów. Zdziwiający, lecz w tym czasie chłopiec nie przejawiał żadnej gwałtowności. Zachowywał się całkiem normalnie. Być może doktor McKenzie miał rację. Elliott skrócił swoje dyżury i zjawiał się popołudniami, żeby przynajmniej przez dwie godziny pograć z synem w piłkę albo w koszykówkę. Nie było to najzabawniejsze, zwłaszcza przy złej pogodzie. Istniało tylko jedno jedyne pocieszenie -

ruchliwy malec zużywał tak wiele energii, że o ósmej szedł już do łóżka i zasypiał jak kłoda.
Nina

111

i Elliott siadali wówczas w salonie. Mieli zupełnie szklane | oczy i czuli się jak dwie zużyte baterie. |

- To tak wygląda pełnia życia? - jęczał Elliott. - Mnie to mówisz? - kwaśno wtórowała mu Nina. |

- Nawet nie miałem pojęcia, do czego zdolne są | dzieciaki, |

- Może nie wszystkie - odparta zgodnie z praw | da. - Ale on jest nasz i musimy się z tym pogodzić. |

- Chwileczkę!-zawołał Elliott.-Coś mnie tknęło, | kiedy to powiedziałaś.

!1

- Co takiego?

- Że jest "nasz". A może o to chodzi? Bo przecież tak naprawdę żadne z nas nie ponosi najmniejszej od powiedzialności za jego stan umysłowy. Biologicznie rzecz biorąc, nie mamy z nim nic wspólnego.

- Co ty w ogóle wygadujesz? Mamy go jako bubla | oddać do sierocińca?

Nie poprzestał na tym.

- Weźmy na przykład dwoje małżonków, z których jedno odkrywa straszną prawdę o drugim... Zawsze mogą się rozwieść.

- Wybacz, mój drogi - powiedziała z nieukrywaną | zgrozą. - Dzieci to nie dotyczy. Kocham go. Nie ma

mowy o żadnych zwrotach ani żadnej wymianie. Pozostają słowa: "Dopóki śmierć nas nie rozłączy". Elliott brnął coraz dalej.

- Nino, naprawdę chcesz poświęcić następne pięć naście lat życia na ustawiczną walkę z dzikim huraganem?

Wyczuła nagle, że dzieli ich wielka przepaść, która z każdą chwilą poszerzała się coraz bardziej.

- Nie mam wyboru! - krzyknęła niczym przez megafon, bo chyba tylko w ten sposób mogła do niego

112

dotrzeć. - Ucieczka nic nie pomoże. I tak ma trudne życie. Kocham go, a on nas po prostu potrzebuje! Elliott wyczerpał wszystkie argumenty. Wstał, wzruszył ramionami i wyszedł do drugiego pokoju. Słysząc było, jak nalał sobie drinka, usiadł w fotelu i hałaśliwie zaczął przeglądać jakieś czasopismo.

Nina poczuła w głębi duszy coś, czego nie zaznała od dawna, czyli od dnia, w którym przed wielu laty poznała Elliotta.

Samotność.

Rozdział 19

Z pomocą dochodzących na pewien czas opiekunek i za cenę wielu kompromisów w pracy jakoś przetrwali lato. W sierpniu jak zwykle odbyli toumee po licznych teatrach. Nina mimo

wszystko nie umiała się skupić na wyszukiwaniu nieznanymi talentów, skoro największy kłopot miała z własnym synem. Wciąż zadawała sobie dwa pytania: Co go dręczy? Dlaczego odcina się od świata?

Nadeszło wreszcie Święto Pracy - dzień, który dla wielu amerykańskich rodzin jest jednocześnie pierwszym dniem szkoły, wyczekiwany z dumą i nadziejami, ale też z pewnym smutkiem. Nina i Elliott pragnęli szczerze, aby dla nich był to dzień wytchnienia. Wspólnie uznali, że Danny'emu przyda się dyscyplina, i zapisali go do szacownej, choć nieco sztywnej szkoły pod wezwaniem Świętego Antoniego. Podczas rozmowy wstępnej malec wywarł duże wrażenie na dyrektorze. Ujął go najwyraźniej swoim poczuciem humoru. Pod koniec spotkania doktor Russell z uśmiechem popatrzył na niego.

114

- Chciałbyś mnie o coś spytać? - powiedział. - Owszem - z chytrą minką odparł Danny. - Wie pan, że sznurowadło się panu rozwiązało? Dyrektor spojrzał w dół i zrozumiał, że chłopiec go

nabiera. - Wykiwałeś mnie. Danielu - stwierdził z zadowoleniem. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów w sercach Niny i Elliotta pojaśniała iskierka nadziei. Niestety popełnili kardynalny błąd w swoich oczekiwaniach. Okazało się, że szkoła pod wezwaniem Świętego Antoniego jest zbyt łagodna, zbyt tradycyjna i zbyt sztywna dla dzikiego tygrysa, który nie zwracał uwagi na gwizdy na boisku i nie zamierzał słuchać próśb - lub żądań - w klasie. Nie minął miesiąc, a już doktor Russell stracił dobry humor, wezwał rodziców i poradził im, żeby znaleźli jakąś inną placówkę wychowawczą, odpowiedniejszą dla wybujałego charakteru Danny'ego. Dziwnie dobierał słowa. Nina i Elliott wyszli w przeświadczeniu, że "wybujały" to społecznie dopuszczalne określenie żywiołowego zachowania dorastającego chłopca, nie zawierające w sobie żadnego potępienia ani oskarżeń o agresję. Co więcej, doktor Russell ani razu nie wspomniał o tym, że Danny nie potrafił zagrać miejsca w grupie. Problem sprowadził do poziomu "filozoficznych nieporozumień". - Nazwijmy to śmiałym eksperymentem, który nie całkiem wypalił.

* * *

Ciaremont było zupełnym przeciwieństwem szkoły Świętego Antoniego. Tu obowiązywała naczelna zasa-

115

da - lekcje odbywają się na poziomie uczniów albo nawet poniżej wspomnianego poziomu. Nauczyciele za tem najczęściej klęczeli lub wręcz leżeli w klasach na podłodze, bawili się w żabie skoki i setki innych zabaw, co najmniej osobliwych w oczach postronnego obserwatora. O ile pierwszą szkołę można nazwać "werbalną", to druga bez wątpienia była szkołą "fizyczną". Nina i Elliott znaleźli idealne warunki dla syna. Tu mógł spokojnie dorastać i zdobywać przyjaciół.

Nauczyciele z Ciaremont mieli jednak pewną przewagę nad rodzicami. W pewnym sensie patrzyli uczniom prosto w oczy. Niezwykle szybko wyszło na jaw, że pewna cecha Danny'ego nie pasuje do psychiki normalnego sześciolatka.

Złość.

Głęboka jak wulkan i eksplodująca bez żadnego ostrzeżenia.

Ciągle się bił. Nie tylko za pomocą pięści. Kopał i gryzł kolegów. Dla niego życie było jedną wielką bitwą. Nie wiadomo tylko, z kim walczył i dlaczego. Szkoła Ciaremont powstała przed ponad dwunastoma laty. Jej założycielka i obecna dyrektorka Audrey Palmer chlubiła się otwartym, nowatorskim umysłem. Ale i ona nigdy dotąd nie spotkała się z takim dzieckiem jak Danny. Nic dziwnego, że dużo mówiono o nim na każdym ze braniu. Początkowo Audrey prosiła młodszych i mniej doświadczonych pedagogów o odrobinę cierpliwości i zrozumienia. Potem jej własna tolerancja zaczęła z wolna przygasać. Wciąż narastała fala skarg ze strony rodziców innych dzieci. "Zawsze martwiłam się o syna, kiedy wracał po lekcjach do domu - mówiła jedna z matek. - Bałam się, że ktoś go napadnie. Teraz słyszę, że tu, na

116

przerwach, jest o wiele gorzej. Co to za chłopiec... ten, co gryzie? Był już leczony na wściekliznę?". Nie wszyscy swoje wypowiedzi kończyli w tak żartobliwy sposób. Mówili wprost: albo zaraz da się coś z tym zrobić, albo szukamy nowej szkoły. W ciągu minionych lat nie wyrzuciła ani jednego ucznia. Była dumna, że jej placówka jest "wyjątkowo spójna". Że wymyślona przez nią metoda nauczania skłaniała wszystkich niczym muzyka do wspólnej tańca. Z prawdziwym smutkiem i z poczuciem głębokiej porażki wezwała do siebie rodziców Danny'ego. Snyderowie nie mieli złudzeń, czym skończy się ta rozmowa. Audrey знаła zawiłą historię chłopca, więc próbowała w pozytywny sposób złagodzić wydzwięk ostatniej, negatywnej konkluzji. Dużo mówiła o swoistym poczuciu humoru Danny'ego, chwaliła jego zapał, energię... i nie zależność. Żadna z tych cech nie była przesadnie wyolbrzymiona. Problem w tym, że Danny nie umiał współżyć z ludźmi. - Prawdziwy dzikus - podsunął Elliott. - To chyba jednak zbyt mocne określenie - od powiedziała Audrey lekko urażonym tonem. - Ale prawdziwe - nie ustępował, ledwo panując nad nerwami. Ostatnio jego zachowanie bardzo martwiło Ninę. Rozplakała się i sięgnęła po chusteczkę, żeby obetrzeć zalazawione oczy. - Audrey, jak możemy cokolwiek naprawić? - zapytała błagalnie. - Powiedz nam. Co zrobić, żebyś go nie wyrzuciła? - Z Ciaremont uczniowie nie są "wyrzucani" - z fałszywą słodyczą zapewniła ją dyrektorka.

117

•»

•|

- Skończmy te brednie - zniecierpliwił się Elliott. -|

Chcesz po prostu, żebyśmy sami go zabrali. To łatwiejsze! Mam rację?

Audrey natychmiast skorzystała z okazji, żeby choć trochę zmienić temat.

- Sądzę, że pewien okres... separacji będzie korzystny dla nas wszystkich. Spróbujcie przez ten czas poddać go kuracji. Chyba jest mu potrzebna.

Żadne z nich nie wspomniało, że Danny był u lekarza. - A później przyjmiesz go z powrotem? - Nina uczepiła się ostatniej wątlej nadziei. Audrey skinęła głową.

- Całkiem możliwe. Powiedzmy, że za pół roku wrócimy do rozmowy.

Nina bezradnie spojrzała na Elliotta. - To brzmi całkiem rozsądnie, prawda? -

Dobrze, że powiedziałaś "brzmi", Nino, bo poza brzmieniem nic się nie kryje w tych słowach.

Nasza przemiła, nowoczesna, zaradna pani Audrey jest większą hipokrytką niż tamten stary pierdziel od Świętego Antoniego. On przynajmniej nie bał się prawdy i nie karmił nas niestrawnym pseudonaukowym bełkotem. Chcesz wiedzieć, co przed chwilą naprawdę usłyszałaś? "Za chowanie tego dzieciaka przeszkadza w prowadzeniu zajęć. Zabierzcie go, bo w przeciwnym razie inni uczniowie zaczną zwiewać drzwiami i oknami". - Popatrzył na dyrektorkę. - Mylę się, droga pani? |

Westchnęła. Tym westchnieniem przyznała się do bezradności. Nie mogła odmówić racji Elliottowi. Nina zdawała sobie sprawę, że pora kończyć rozmowę, ale nie chciała palić za sobą wszystkich mostów.

- Wybacz mojemu mężowi - powiedziała cicho, 118

bardziej oficjalnym tonem. - Bardzo to przeżywa. Na nieszczęście byłaś pod ręką. Elliott tytnął na nią spod oka. - Proszę wybaczyć mojej żonie - odparował z naciskiem. - Widać nie dojrzała, żeby w pełni zrozumieć wagę naszych problemów. Nina popatrzyła na niego z przerażeniem. Nie spodziewała się tak jawnej złości. Nastąpiła chwila niewygodnej ciszy. Audrey wykorzystała to, aby ostatecznie zdjąć kajdanki pętające całą trójkę. - Mam nadzieję, że będziemy w kontakcie - powie działa rzeczowo. - Wpadajcie czasem. - Gdzie jest Danny? - sucho zapytał Elliott. Z trudem ukrywał, że postawa Audrey sprawia mu dużą przykrość.

- Zaczekajcie na dole, koło schodów. Przyjdzie za pięć, sześć minut. Przez ostatnie pół godziny czytamy dzieciom bajki - odparła z lekkim uśmiechem i szybko spojrzęła na zegarek.

Razem wyszli z gabinetu. Audrey zaprowadziła ich na sam koniec korytarza i znikła szybko niczym Houdini. Nina i Elliott zostali sami ze swoimi myślami. - Szlag by trafił! - warknął Elliott przez zaciśnięte zęby. - Twoje uwagi pod moim adresem były zupełnie nie na miejscu.

- Wybacz, ale zachowywałaś się bardzo nietaktownie. - Bo mnie wkurzała jej postawa. Potraktowała nas jak śmiecie. Musiałaś na mnie naskakiwać? Nina zastanawiała się przez moment. - Masz rację - przemówiła cicho. - Przepraszam. Chyba jestem... jesteśmy mocno zdenerwowani. Przebaczysz mi?

119

W pierwszej chwili nie znalazł odpowiedzi, a kiedy już otworzył usta, z góry rozległo się wołanie: - Mamo! Tato!

Odruchowo, nie zamieniwszy ani słowa, porzucili własne animozje i chwycili syna w objęcia.

- Po co przyszliście razem? - spytał.

- To taka mała niespodzianka. Wpadliśmy na pomysł, żeby wybrać się razem na lody. Co ty na to?

- Fajowo! - zawołał z błyszczącymi oczami. - Czyli świetnie - z uczuciem mruknęła Nina. - Chodź. Zabierz swój kostium gimnastyczny. - Dlaczego? Przecież dziś nie piątek. - A potem S nagle zrozumiał. Spojrzał na ojca i zapytał ostrożnie: - Chcą, żebym sobie stąd poszedł, prawda?

Elliott, niespodziewanie dla samego siebie, poczuł ogromne wzruszenie. Łzy zakręciły mu się pod powiekami. Zdolał jedynie skinąć głową.

- Kiedyś tego na pewno pożałują, mały - bąknął. Twarz chłopca zrobiła się biała jak kreda. - Nie, tato. Na pewno nie. - Mały Danny niczym mężczyzna dzielnie powstrzymał się od płaczu. Potem ujął rodziców za ręce i pociągnął ich w stronę szatni. -

Wezmę jedynie swoje rzeczy i pójdziemy z tego śmiet nika.

Udawał, że jest szczęśliwy, choć wyraźnie nadrabiał miną. We trójkę wyszli ze szkoły w gęstniejący mrok

zmierzchu. Przez całą drogę do domu Nina i Elliott mocno ściskali dłonie syna.

- Nie martw się, kochanie - odezwała się Nina. -

Trafiłeś do nieodpowiedniej szkoły. Znajdziemy ci coś lepszego.

- Na przykład klatkę w zoo - podsunął. 120

- Co takiego? - zająknęła się. - Wczoraj tak powiedział jeden z nauczycieli. Że moje miejsce jest w zoo, z innymi zwierzakami. Nina i Elliott spojrzeli na siebie. Z bólem. Ze wstydem. Z poczuciem winy. - Nowoczesna szkoła - wycedził Elliott.

Rozdział 20

Zachowywali się jak lunatycy. Nakarmili go i czytali mu ciągle na zmianę, aż wreszcie zmęczył się i zasnął. Potem znów przekroczyli bramy ukrytego piekła. Co z nim naprawdę zrobić? (Gdzieś pod spodem czaiło się pytanie, jak w takiej sytuacji mają ratować własny związek?).

- Posłuchaj - powiedziała Nina. - Nie wolno nam się oszukiwać. Poprosimy doktora McKenzie, żeby znalazł dobrą szkołę dla dzieci... nienawidzę tego eufemizmu... "o specjalnych potrzebach".

Ciągłe napięcie wywołało nerwową reakcję Elliotta. - Powinniśmy zaskarżyć ten cholerny dom dziecka! - warknął ze złością. - To oni nam wcisnęli takiego szaleńca! Powiesz może, że w pełni dotrzyмали umowy?!

- Na miłość boską! A co mogli wtedy zrobić? Noworodka nie poddasz psychoanalizie. Nawet rodzone dziecko to los na loterii! A gdyby tak okazał się drugim Einsteinem? Obnosiłbyś się z dumą po całym Manhattanie!

122

- Może masz rację. Wiem tylko, że to ktoś inny dostał Einsteina. Nam się trafił Kuba Rozpruwacz. Nina rzuciła mu spojrzenie pełne bólu i zagniewania. - Dlaczego mam dziwne wrażenie, że obarczasz mnie całą winą? - zapytała. - Nigdy tego nie powiedziałem - odparł bez przekonania. - To nieważne. Znam twoje myśli. - Zawsze stajesz po jego stronie. Ja się nie liczę. - Nieprawda. Chcę, żebyś w końcu uwierzył, że miłość może go zmienić. Teraz jest trudnym dzieckiem, ale powinien wiedzieć, że go nigdy nie opuścimy. - Podniosła głos i powiedziała niemal rozkazującym tonem: - Nie poddawaj się! Do cholery, przecież jest twoim synem! Byłeś i będziesz mu potrzebny! Elliott w milczeniu zwiesił głowę. Są dwa sposoby, żeby znaleźć szkołę specjalną. Pierwszy to rozmowa ze specjalistą w tej dziedzinie, choćby takim jak McKenzie. Drugi to ogłoszenia na końcowych stronach "New York Times Sunday Magazine". Pełno tam reklam tak zwanych ośrodków nauczania dla grubasów, zapalonych sportsmenów, nieuleczalnych muzyków, no i oczywiście młodych chuliganów - to znaczy "dzieci sprawiających kłopoty wychowawcze". - Na wszystko można znaleźć dobre określenie. - Porozmawiamy o tym później, jak nieco ochłoniemy - tępo

odparła Nina. Poszła do siebie, do gabinetu, zająć się jakąś pracą przyniesioną z biura. Wróciła godzinę później. Elliott wciąż siedział nad gazetą. Coś zakreślał i robił notatki. Jedno z ogłoszeń zaznaczonych kółkiem brzmiało: "Szkoła wojskowa Beacon Hill. Twarda dyscyplina

123

robi dobrych żołnierzy z chłopców z najbardziej »cywilnymi« problemami".

- Innymi słowy - przetłumaczyła Nina - "Tak ci skopiemy twój cholerny tyłek, że nabierzesz oglady, choćbyś przez osiem lat ciągle miał brać w skórę". -A Zmarszczyła brwi i pokręciła głową. - Skoro jesteś taka mądra, to powiedz mi, co robić. - Nie wypuszczę go z domu - odparła kategori- nym tonem - bo to tylko pogorszy sprawę. Jeśli teraz go odepchniemy, będzie to dla niego jeszcze jeden dotkliwy cios od życia.

- Więc dobrze, moja pani, czy raczej doktorze Freud. \ Od dzisiaj sama weź się za jego wychowanie. - Z trząś- kiem odłożył gazetę i poszedł do siebie. Następnego ranka Nina zadzwoniła do doktora McKen- zie. Dowiedziała się, że na Siedemdziesiątej Dziewiątej, w pobliżu Pierwszej Alei, jest szkoła imienia pierwszego burmistrza Nowego Jorku Petera Stuyvesanta. Była to wielce poważana placówka edukacyjna o stopniu podsta wowym, w której naukę łączono z formami terapii. Grono pedagogów mogło się pochwalić świetnymi wynikami. Z drugiej strony, przyjmowano tam tylko takie dzieci, które dawały nadzieję na rychłe wyleczenie. Przechodziły swoisty proces rehabilitacji i po pewnym czasie wracały do normalnego świata. Wychowawcy w pełni zdawali sobie sprawę, że czeka ich wyężona praca z gronem trudnych, przewrażliwionych i nadpobudliwych uczniów. Chcieli otworzyć drzwi więzienia i przywrócić im radość życia. Dwa dni później, wieczorem, kiedy po ciężkim, praco witym dniu zasiedli przy kieliszku wina, Nina podała i Elliottowi ulotkę zabraną ze szkoły. Przeczytał ją z uwagą i popatrzył na żonę.

124

- I co? - zapytał lakonicznie. - Przyznasz chyba, że byłoby wspaniale, gdyby się nim zajęli. Znalazłby zaspokojenie swoich najgorętszych potrzeb. - A co z naszymi potrzebami? - Co to znaczy"! - Że wciąż będzie z nami mieszkał i rujnował nam życie. - Mów za siebie, Eli. Ja nie narzekam. Danny daje mi wszystko, czego naprawdę pragnę. Obraził się. - Myślałem, że to moja rola. Nina podeszła bliżej, objęła go i mocno przytuliła. - Na litość boską, kochanie, w moim sercu jest wystarczająco wiele miejsca dla was obu. - Popchnęła go na kanapę i ujęła za rękę. - Musimy wreszcie zrozumieć, że dla jego dobra konieczne są pewne wyrzeczenia z naszej strony - powiedziała niemal z desperacją. - Jak już to załatwimy, wrócimy do własnego normalnego życia. Elliott myślał przez chwilę. - Mogę przynajmniej się z tym przespać? - Oczywiście - szepnęła Nina. - Skoro jesteśmy sami, skorzystajmy z okazji i prześpijmy się razem. Następnego dnia Elliott był nieustępliwy jak mury Jerycha. Nina jednak postawiła mu wyraźne ultimatum. Gdyby chciał żyć bez syna, to także i bez niej. Nie wyobrażał sobie tak wielkiej ofiary. Mury zaczęły pękać i wreszcie runęły z hukiem. Po niezliczonych testach, badaniach i rozmowach grupa psychiatrów pod wodzą doktora Marvina Gordona doszła do przekonania, że w postępowaniu Danny'ego można

znaleźć wszystkie klasyczne cechy przypadku określane go angielskim skrótem ADD-H, oznaczającym zaburzenie zachowania, połączone z nadruchliwością, rozwijające się na podłożu niemożności zaspokojenia subiektywnie odczuwanych potrzeb uczuciowych. Objawy były wyraźne - chęć zwrócenia na siebie uwagi, niekonsekwentne zachowanie, samoistna agresywność i tak dalej. Zazwyczaj w takich razach stosowano terapię psychiatryczną, ale Gordon wychodził z założenia, że zdoła pomóc chłopcu, i poparł wniosek o przyjęcie go do szkoły imienia Petera Stuyvesanta. Radość Niny nie miała granic, Danny udawał, że to wszystko wcale go nie obchodzi,; ale w rzeczywistości chciał wiedzieć, co to za szkoła i dlaczego tam go posyłają. - Spodoba ci się - powtarzała matka, próbując z niego wykrzesać choć odrobinę entuzjazmu. - Wątpię - burknął opryskliwie. - Uwierz mi, Danny - uspokajała go. - Już tam znajdą metodę na... - ...Na moje aspołeczne zachowanie? - dokończył za nią. - Kto ci to powiedział? - Prosto w oczy? Nikt. Ale słyszałem, co szepczą za moimi plecami. Elliott i Nina spojrzeli na siebie. Po chwili Elliott przeniósł wzrok na syna. - To już skończone, Danny - odezwała się Nina. - Tam są dobrzy nauczyciele. - Nauczą cię, jak panować nad swoimi nerwami - dodał Elliott. - Wcale mi to niepotrzebne! - warknął Danny.

Być może zrobił to na pokaz, ale obydwoje umilkli jak na komendę. - Oczywiście, że nie, kochanie - łagodnie podjęła matka. - Denerwujesz się, jak każdy przed pójściem do nowej szkoły. - Nic z tych rzeczy - nachmurzył się. - To taka sama stara szkoła, tylko pod nową nazwą.

126

Rozdział 21

Pierwszego dnia nauki, po długim łzawym pożegnaniu, Nina za żadne skarby świata nie chciała się rozstać z synem (Elliott miał bardzo ważne poranne spotkanie, którego nie mógł odwołać). Wreszcie podeszła do nich jakaś młoda kobieta, wyglądająca na absolwentkę jednej z najlepszych uczelni. Przedstawiła się jako Karen, wychowawczyni Danny'ego. Wiedziała, kim jest nowy uczeń, i na powitanie uściśliła mu dłoń zupełnie "po dorostemu".

Danny popatrzył na nią, a potem na matkę. - Wszystko w porządku - powiedziała Karen. - Twoja mama odbierze cię o wpół do czwartej. Wcale jej nie dziwiło, że Nina wyglądała na bardziej zmartwioną od syna. Spojrzała na nią spod oka i bezgłośnie poruszyła ustami: "Proszę się nie bać. Dam sobie radę". Wzięła Danny'ego za rękę i weszła z nim do szkoły. Nina mimo wszystko nie mogła się skupić na pracy. Siedziała w biurze jak żałobnik w ostatki, choć wszyscy w krąg tańczyli przed nią, ciesząc się z jej powrotu.

128

piętaszka Edie zdołała ją namówić tylko na jedno bardzo ważne spotkanie.

- Bob Margolin chciałby cię zobaczyć, najchętniej przed lunchem.
- Na miłość boską, zadzwoń do niego i zapytaj, czy agencja, w mojej skromnej osobie, może zaprosić go na obiad. Dawno już tego nie robiłam. Będzie mi cholernie miło.

Edie szybko chwyciła za słuchawkę. Nina wsadziła nos w notatki.

- Nie da rady! - zawołała Edie. - Powiedział jednak, że musi się z tobą spotkać, choćby na pięć minut. - Więc niech przyjdzie, gdy zechce. Przyjmę go bez względu na porę.

Każdy dzień w biurze przypominał tornado, ale dziś było wyjątkowo hucznie, więc Nina nie zwróciła najmniejszej uwagi na niezwykle odpowiedź Margolina. Był wprawdzie sławny i bardzo bogaty, ale nigdy przedtem nie odmawiał zaproszeń na obiad, wciąż mając w pamięci dawne chude lata. Zwykle przemykał się przez biuro, jakby był w niewidzialnym płaszczu, pozdrawiał każdy kąt w poczekalni Niny i wreszcie żwawo wkraczał do jej gabinetu. Dzisiaj jednak witał się raczej półgębkiem. Bez zbędnych wstępów wszedł do przestronnej i widnej świątyni, wyłożonej miękkim dywanem, i usiadł. - Cześć, Bob! - ucieszyła się Nina. - Opowiadaj. Jak szybko skończysz nową sztukę? - Szybko, szybko. Za dwa tygodnie powinienem mieć pierwszą wersję.

- Nie mogę się doczekać... - zaczęła, lecz w tej samej chwili przerwał jej bezceremonialnie i nawet niegrzecznie:

129

- Nino, muszę powiedzieć coś, co na pewno ci się nie spodoba. 1
Od razu poczuła, że w pokoju nagle powiało chłodem. Wiedziała, co dalej nastąpi. - Och, nie,... - mruknęła pod nosem. A potem dodała głośno: - Tylko nie to. Powiedz, że to nieprawda. - Nigdy się nie mylisz - zapewnił ją. Jak na komplement, wypadło to bez przekonania. - Jestem teraz w takim punkcie kariery, że muszę się kierować nie sercem, lecz rozumem. Potrzebny mi nowy agent. ; Nina nie powstrzymała się od jęku. i - Nie wierzę własnym uszom. Pamiętasz może, jak przed kilku laty, podczas naszego pierwszego spotkania, przyznałeś się, że masz zamiar wrócić do sprzedawania biustonoszy? Aktor dramaturg zrobił kwaśną minę. Nie lubił, gdy mu przypomniano, że kiedyś znalazł się na dole. To jeszcze jeden powód, by zacząć całkiem nowe życie. Z kimś, kto nie będzie miał tak niewłaściwych wspomnień. - Przyznaję, że zawdzięczam ci bardzo wiele. - Nie, Robercie. Ponieważ to nasza ostatnia rozmowa, pozwól, że będę z tobą brutalnie szczerą. - Przyjrzała mu się przez chwilę i dokończyła z wyraźnym bólem. - Zawdzięczasz mi dosłownie wszystko. - Bardzo proszę, jeśli ci na tym zależy. Trochę urosłem od tamtej pory. - A ja nie? - No, cóż... Wszyscy w branży wiedzą, że od pewnego czasu Nina Porter bardziej dba o własnego syna niż o dawnych klientów. - Jedno drugiego nie wyklucza.

130

- Jestem odmiennego zdania - w głosie Margolina zabrzmiała nuta niechęci. - To całkiem nowy świat, Nino. Obsługa hotelowa czuwa przez okrągłą dobę. Tego samego wymagam od agenta. Chcę mieć to, na co zasługuję. - Chyba przeceniasz swą pozycję, młodzieńcze... o ile mogę jeszcze tak cię nazywać. - Możesz. Będzie nam łatwiej. - Co chcesz przez to powiedzieć? - Tylko tyle, że się różnimy w poglądach na rolę agenta. - Wniosek stąd, że poszedłeś za moją dobrą radą i nie wahasz się przed podjęciem żadnej trudnej decyzji. Być może sama jestem sobie winna. Przykro mi... aż mnie wkurza... że cię teraz tracę, lecz na tym raczej poprzestaną. Na pewno już znalazłeś kogoś, kto podziela twoje zdanie. Słynny gwiazdor z przyjemnością zdradził jej tę niespodziankę. - Inna Kalish znalazła cichą przystań w ICM. Nina zdjęła okulary. Popatrzyła prosto w oczy dawnemu protegowanemu. - Rozczarowałeś mnie, Robercie. Gdybyś miał naprawdę klasę, wybrałbyś na przykład Lelanda

Haywarda. Jeśli chodzi ci o pieniądze, najlepszy byłby Swifty Lazar. Przynajmniej wiedziałabym, czym się naprawdę kierujesz. A jak już mowa o zaletach, to Inna ma gadane... - urwała. - Proszę! - ponaglił ją Margolin. - Wyrzuć z siebie wszystko. - Wolę zapomnieć o tej wiedzy. Wiesz co? Nie podobają mi się takie zakończenia.

131

- Doceniam to, choć słyszałem już od ciebie o wie] przyjemniejsze rzeczy. Dzięki za wszystko, Nino. Wstał i podszedł do drzwi.
- Bob? - zawołała za nim. - Słucham? - Zatrzymał się. I
- Wcale nie przesadzam. Sprawileś mi ogromną przy krość. li
- Jesteś dorosła, Nino. - Obdarzył ją najbardziej)
uroczym uśmiechem, na jaki mógł sobie pozwolić. -lg Jakoś to przeżyjesz.

3

Odwrócił się i na zawsze odszedł z jej życia. A
Pięć minut później zadzwoniła Inna. Aż piała z pod niecenia. <
- Nie miej do mnie urazy, kochanie. Jak to powiadają, tak już jest w show-biznesie.
- Owszem, powiadają - przytaknęła Nina. - I bar dzo się cieszę, że znalazłaś czas, aby do mnie zatele fonować. Zachowałaś swój wysmienity styl, Irma. (Jak takie kłamstwo mogło mi przejść przez gardło?).
- Spotkajmy się kiedyś przy małym kieliszeczku, żeby poplotkować o starych dobrych czasach.
- Oczywiście - zgodziła się Nina, zdziwiona w głębi ducha, że Irma chce poprzestać na "małym kieliszeczku".

* * *

W porównaniu z okresem "burzy i naporu", jaki poprzednio towarzyszył edukacji Danny'ego, pierwszy semestr w nowej szkole przypominał idyllę. W klasie było dwanaścioro dzieci, z których każde na swój sposób miało poważne kłopoty w porozumiewaniu się z otoczeniem. Lekcje odbywały się na zmianę z zajęciami prowadzonymi

132

mi przez psychiatrów z pobliskich akademii medycznych, takich jak Comell i Mt. Sinai. Nie byli to studenci, lecz dyplomowani lekarze, przedkładający pracę w szkole nad normalną praktykę. Młodzi, a więc dalecy jeszcze od rutyny, łatwiej nawiązywali kontakt, a nawet bliższe więzy z małymi pacjentami ("przyjaciółmi", bo tak woleli ich nazywać). Wszystkim przyświecał ten sam cel: aby ich "przyjaciele" znaleźli nowych przyjaciół - w swojej grupie, wśród krewnych, wśród całkiem obcych. Żeby znaleźli jakąś drogę wyjścia z mrocznego i groźnego świata, w którym się zamknęli. Żeby wrócili jako wolni, zdrowi i - o ile można użyć tak nienaukowego określenia - "normalni" ludzie.

Tymczasem Nina wciąż odkrywała nowe talenty i w każdym sezonie przedstawiała kogoś lub coś ciekawego na spragnionym nowinek Broadwayu. Dawniej, jeszcze przed adoptowaniem Danny'ego, na pewno o wiele mocniej przeżyłaby decyzję Boba Margolina. Teraz to wszystko razem zbladło w porównaniu z niezwykłą radością, jaką jej sprawiało obcowanie z synem. Co wieczór czytała mu baśnie i całowała na dobranoc. Szkoła miała zbawienny wpływ na jego zachowanie. Długo trwało, zanim Marvin Gordon zdołał wreszcie

przełamać lęki i gniew Danny'ego, ale w końcu powoli zdobył jego zaufanie. Wewnętrzny kompas chłopca zaczął wskazywać miejsca utraconych uczuć. Danny lepiej się uczył i lepiej zachowywał, co budziło nadzieję rodziców i wychowawców.

Rozdział 22

Niebo pojaśniało nad głową Danny'ego. Niestety Elliott wciąż żył w cieniu czarnej gradowej chmury. Dusił się we własnym domu. Czuł się wyobcowany. Gdyby miał więcej rozsądku, poszedłby do Niny albo do lekarza (na początku ich znajomości to właśnie ona grała rolę terapeuty) i otwarcie zwierzył się ze swoich zmartwień. W pracy odwrotnie, wciąż miał do czynienia z tłumem młodych, atrakcyjnych kobiet - od stale uśmiechniętych sekretarek aż do pań z biura prawnego. Wydawało mu się, że jest przez nie szczególnie lubiany. Króla traktowały zupełnie inaczej. - Tak, panie Kohl - mówiły obojętnie. - Nie, panie Kohi. Jak pan sobie życzy.

Co sprawiało, że tak bardzo podobał się kobietom? Wszystkim, z wyjątkiem własnej żony. Nie był to odosobniony problem. W "Times Magazine" ukazał się na ten temat sążnisty artykuł pod tytułem: Tatusiowie post-partum: nowy rodzaj kryzysu małżeńskiego. To jednak, że

inni mieli podobne problemy, w niczym nie ułatwiało jego sytuacji.

134

Dawniej, kiedy psuł wszystko, czego się tylko dotknął, Nina dała mu radość i prawdziwe szczęście. Pociągał ją i ich pożycie układało się jak należy. Z drugiej strony, zawsze miała skłonności do tycia. A gdy została matką, wyraźnie przybrała na wadze. Może w ten sposób podświadomie oszukiwała samą siebie, że naprawdę urodziła dziecko? Niestety pomagając sobie, zupełnie zniechęcała męża. Był sam. Tęsknił za jakąś bratnią duszą, która by była dumna z jego osiągnięć i wyników w tym samym stopniu, w jakim Nina cieszyła się swoją pracą i postępami Danny'ego. Cudzołóstwo - chociaż Elliott rzecz jasna nie myślał o tym w ten sposób - jak ułał pasowało do starej zasady, wymyślonej przez rowerzystów: "Jak raz się nauczysz, to już nie zapomnisz". Nowy Jork był dżunglą - albo rajem - dla niewiernych mężów. Niektóre damy Ignęły do Elliotta tylko dlatego, że miał żonę (i nigdy tego przed nikim nie ukrywał). Mimo to nie brał pod uwagę rychłego rozstania z Niną. Wciąż w dużej mierze trzymała go przy życiu. Jak każdy tchórz - i większość mężów - czekał, że coś się stanie. I stało się. Pogodnego wiosennego ranka tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku Król wezwał Księcia do swego gabinetu i oznajmił melodramatycznym tonem: - Muszę ci coś powiedzieć... Elliott wstrzymał oddech. - Teraz, kiedy już skończyliśmy ten verkokte hotel, musisz wynieść się z miasta. - O czym ty mówisz, do diabła? - wymamrotał zdumiony. - Ujmę to w trzech słowach: Jedź na zachód, młodzieńcze!

135

Elliott się uśmiechnął. - To cztery słowa. - Bawisz się w rachmistrza? Dotarło coś do ciebie? - Dotarło, szefie! Co robimy? - Nie "my", mój drogi. Sam to zrobisz. Powędrujesz w głąb kraju, staniesz się "transkontynentalny". Siadaj, a wszystko ci wyjaśnię. Elliott usiadł i w skupieniu słuchał słów monarchy. - Fred Kendall, który ma najbystrzejsze oko w Kali

fornii, sporządził listę pierwszorzędných działek w Los Angeles, dostępnych za niewielką cenę. Przez kontakty w Urzędzie Miasta dowiedział się dodatkowo, gdzie staną większe biurowce. - Kto je zbuduje? - To, mój mały, jest pytanie za sześćdziesiąt cztery miliony dolarów. Odkroimy kawałek tortu, jeśli tylko użyjesz swojego chłopięcego wdzięku i przekonasz ich, że wschodnią wiedzę warto czasem pogodzić z zachodnią szybkością. - Świetnie! Kiedy wyjeżdżamy? - Nie "my", kolego. Ty wyjeżdżasz. Jeden z nas musi zostać do pilnowania interesów na Wybrzeżu Wschodnim. A poza tym jestem zbyt stary na takie eskapady.

Co naprawdę rozumiał przez określenie "eskapada"? Czyżby coś wiedział? Bez wątplenia. W przeciwnym razie użyłby innego słowa. - Och... - mruknął Elliott, ale zaraz doznał olśnienia, jaśniejszego niż słynne słońce Kalifornii. Tam przecież działy się najważniejsze rzeczy! Tam miał przed sobą przyszłość! Ogarnięty radością, zupełnie zapomniał, że całkiem

136
niedawno Nina miała okazję dostać intratną posadę w kalifornijskiej filii WMA. Zrezygnowała wówczas ze względu na niego i jego zawodową więź z Nowym Jorkiem. Ale tym teraz się wcale nie przejmował. Na wszystko przyjdzie czas... po wstępnych przemyśleniach. Kilka dni później wrócili, ziewając, z nudnego musicalu, który miał premierę w teatrze off-Broadway. Elliott usadowił Ninę, otworzył butelkę wina i napełnił dwa kieliszki. - Musimy porozmawiać - powiedział łagodnie. - Bardzo się z tego cieszę. Ostatnio byłeś zbyt zamknięty w sobie i milczący. Coś cię gryzie? - "Gryzie" to źle powiedziane - odparł nerwowo. - Po prostu... trochę się zmieniło. Przedstawił jej dokładnie propozycję Króla. W samych superlatywach mówił o korzyściach płynących z przeprowadzki do Kalifornii. Nina cieszyła się, lecz nie była do końca pewna reakcji Danny'ego. Wiedziała, że na Wybrzeżu Zachodnim też są dobre i troskliwe szkoły, ale tu "po raz pierwszy pozostawał w zgodzie ze sobą i światem". Elliott natychmiast wykorzystał jej wahanie, aby wpro wadzić w życie drugą część szelmowskiego planu. - Zupełnie się z tobą zgadzam - zapewnił ją gorąco. - I wcale nie chcę przerywać tej kuracji. Nie powin niśmy go zabierać, póki nie będziemy pewni, że w LA

dostanie odpowiednią opiekę. - Więc może poczekamy na przykład do wakacji i pojedziemy wszyscy razem? - Chyba nie muszę uczyć cię zawodu, Nino - rzekł protekcjonalnym tonem. - Podstawowa zasada sukcesu brzmi: korzystaj z każdej okazji i nie daj się wyprze-

137

dzić. - A potem dodał szybko, niby zupełnym przyp kiem: - Król chce, żebym tam wyjechał najpóźni w poniedziałek, | Jego ostatnie słowa wyprowadziły ją z równowagi. | - Bardzo długo czekałeś, żeby mi to powiedzieć! JA teraz mam porządnie przygotować Danny'ego? Co zrobi | gdy zobaczy, że pakujesz walizki... |

- Na litość boską, Nino... Sam się dowiedziałeś o wszystkim dziś rano!

Prawdę mówiąc, rozmowa z Królem odbyła się prze pięcioma dniami, ale Elliott uznał to kłamstwo za maleń] grzeszek.

- I nie zapytasz nawet, czy mogę tam przenieść swoje biuro?
 - Nie bądź śmieszna, kochanie. Przecież dwa lata temu sami błagali cię o wyjazd. Jak na ironię, zachęcał ją i zniechęcał, aby całość decyzji złożyła w jego ręce.
 - Zostałam tutaj wyłącznie ze względu na ciebie. Sądzisz, że Lenny Miller, który tam poszedł za mnie, zechce się teraz dzielić swoim nowym królestwem? - Posłuchaj - przekonywał ją dalej. - Gdzie jest powiedziane, że ciągle musisz być na samym szczycie? Przecież masz już wszystko!
 - O czym ty w ogóle mówisz?
 - Znasz każdą sztukę na wyrywki! - zawołał. - Pamiętasz Rekord Annie? Pamiętasz, co śpiewała Ethel Merman?
 - "Cokolwiek zrobisz, zrobię jeszcze lepiej"? - Właśnie.
 - Jak zwykle, mój kochany, masz wybiórczą pamięć. Ethel nie śpiewała sama, ale w duecie z głównym bohaterem -
 1 •30

rem Frankiem Butlerem. Szanował ją, a ona szanowała jego. Między nimi nie było miejsca na brudne rozgrywki. Elliott ze złością trzepnął dłonią w udo i wstał. - Słodki Jezu! Nie będę słuchał recenzji starych musicali! Mam cholerną szansę zbić niemały majątek dla naszej rodziny! Nagle od strony drzwi rozległ się zachrypnięty głosik. - Dlaczego tak krzyczycie? - spytał zasnany Danny. - Wszystko w porządku, kochanie. - Nina chwyciła go w objęcia. - Rozmawiamy z tatą, dokąd latem pojeżdżać na wakacje. Chyba do Kalifornii. No, już... Szybko idź do łóżka. Wróciła dziesięć minut później. Zanim Danny zasnął, zdążyła już nieco ochłonać. Elliott w tym samym czasie topił swoje smutki w kolejnym kieliszku wina. - Bądź mężczyzną i powiedz mi, o co chodzi. Chcesz separacji? Wzruszył ramionami. Nina pokręciła głową. - W moim zawodzie szybko się uczymy czytać mowę ciała - powiedziała cicho. - Taki gest najczęściej oznacza potwierdzenie. - Uznaj to raczej za "być może" - burknął. Dawka alkoholu rozwiązała mu język. Jego pijacki bełkot na dobre rozgniewał Ninę. Usiadła obok. - Wiesz, co to oznacza dla naszego syna? - zapytała twardo. - Zdajesz sobie sprawę? Znowu poczuje się odrzucony... tym razem przez własnego ojca. - Do cholery, Nino, wbij sobie do głowy, że on wcale nie jest moim prawdziwym synem! - Hej, tam... - Danny znowu stanął w progu. - Chcę spać. Rano idę do szkoły!

139

Nina zamarła z przerażenia, że usłyszała może zbyt wiele. Poszedł jednak spokojnie do sypialni i zasnął, kiedy delikatnie pogładziła go po plecach. Wróciła do salonu. Elliott też spał na kanapie. Rzucił jej w twarz rękawicę. Cierpiał na "kompleks karła". Perspektywa nagłej fortuny zmieniła drobego; chudzielca w olbrzymia o posturze i mięśniach Charlesa Atlasa. Nina ze smutkiem rozumiała, że nie chodził wyłącznie o nią i Danny'ego. Elliott stał się "zbyt wielki", dla ich małej rodziny. Nie chciał dziecka z wypożyczalni samochodów Avisy. Marzył mu się własny, błyszczący i długi mercedes.

Pożegnanie z Robertem Margolinem miało znaczący wpływ na jej zawodowe życie. Przeżywała depresję i na wet myślała o poważnej rozmowie z lekarzem. W środę po południu była tak zrozpaczona, że bała się wrócić do domu, do Danny'ego. Wszyscy inni już wyszli... poszli do swoich bliskich. Pochyliła się nisko, wsparła głowę na biurku i rozplakała się cicho.

Chociaż w ten sposób mogła dać mały upust swojemu cierpieniu. Nagle poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Szybko spojrzała w górę. Był to Ojciec ich wszystkich, Cy Temko. - Co ci się stało, Nino? - zapytał. - Mogę w czymś pomóc?

Popatrzyła na siwowłosego szefa.

- Przeżywam poważne kłopoty rodzinne, Cy - odpowiedziała.

Usiadł na stosie scenariuszy leżących na stoliku w pobliżu jej biurka.

- Mam czas - oznajmił cicho. - Opowiadaj. Spełniła jego prośbę. Słowa niczym łyży polały się potokiem. Dzieliła się swoim żalem, a Cy kiwał głową ze

140

współczuciem. Nie musiał robić nic więcej. Wreszcie dojrzała do sceny pożegnania, od której nie minęło czterdzieści osiem godzin. Zerknęła na przyjaciela i spytała ponuro: - Myślisz, że powinnam iść teraz do lekarza?

Pokręcił głową. - Nie, kochanie. Moim zdaniem powinnaś zwrócić się do adwokata. Nina zdrętwiała ze zgrozy. Czasem kłóciła się z mężem... Czasem padały słowa: "Mam dość tego związku!" albo "Rozwiódźmy się i zakończmy tę farsę!". Lecz z drugiej strony, w głębi serca, wciąż była małą dziewczynką, która bała się... samotności. W obecnym stanie rzeczy mogła przynajmniej udawać, że łączy ją z Elliotem dostatecznie wiele, aby utrzymać ich małżeństwo. Temko chyba zrozumiał jej rozterkę, bo dodał łagodnie: - Wiem, że to brzmi brutalnie. Ale zjadłaś zęby na swoim zawodzie i nie muszę łagodzić ciosów. - W życiu osobistym wciąż jestem naiwna. Może zabiorę Elliotta do poradni małżeńskiej? Wstał i położył jej rękę na ramieniu. - Zrobisz, co zechcesz, Nino - szepnęła. - A jak już skończysz, przyjdź do mnie, to ci wskażę tego adwokata.

Rozdział 23

Elliott z upodobaniem latał pierwszą klasą na drugi koniec kraju. Nie chodziło mu nawet o wyśmienitą kuchnię ani o dodatkową przestrzeń na nogi, ale o złudny luksus stałego przebywania w towarzystwie uśmiechających i zalotnych dziewcząt. (Najładniejsze z nich zawsze pełniły służbę w przedziale z przodu samolotu). To były te uroki życia, o których wcześniej nie myślał.

Cieszyły go rozmowy typu: "Jeszcze orzeszków, panie Snyder?", "A może dolać do kieliszka?", "Wciąż pan żartuje, panie Snyder". Ponieważ nigdy nie nosił ślubnej obrączki, zaliczał się do grupy mężczyzn czekających na inne doświadczenia niż lot boeingiem 747 na pułapie dziesięciu kilometrów nad Ameryką.

Od czasu pierwszej podróży dwukrotnie był w Nowym Jorku. Rano spotykał się w biurze Kohia z paroma bankierami, a po południu pędem ruszał na lotnisko. Nie zadzwonił do Niny. Zdawał sobie sprawę, że nie przymierała głodem - w swojej pracy zarabiała bajkońskie

142

sumy. Synem też się nie martwił. Teraz go postrzegał wyłącznie jako "dzieciaka Niny". Tymczasowe biuro miał w apartamencie nowo otwartego hotelu Century Plaza, zbudowanego na miejscu dawnej hali zdjęciowej wytwórni Twentieth Century Fox. Czasami stawał na balkonie i zerkał na tereny wciąż należące do studia, żeby zobaczyć, co kręca. Dzisiaj uwijało się tam stado czarnych goryli. Widok był zabawny. Film produkowany wielkim nakładem sił i środków

nosił tytuł Planeta małp. Z drugiej strony budynku, z szerokiego tarasu, ciągnęła się panorama wielkiej połaci ziemi, a dalej wznosił się drapacz chmur w budowie. Elliott wykupił w nim kilka pomieszczeń biurowych, ale czekał, aż farba wyschnie na ścianach. Na razie kazał sobie podłączyć trzy telefony i przy pomocy długonogiej asystentki - noszącej całkiem odpowiednie imię Yanessa (nawet potrafiła pisać na maszynie) - zainstalował się w drugiej sypialni i przystąpił

do pracy. Dość szybko odkrył, że Los Angeles jest nie tylko filmową "fabryką marzeń", lecz także miejscem, w którym łatwo spełnić wszelkie inne marzenia. Mężczyźni całego świata płacili słoną cenę za względy i uczucia dziewcząt o urodzie gwiazdy. W LA były prawdziwe gwiazdy i gwiazdeczki! Rosły wokół niczym poziomki, a Elliott nie musiał im płacić.

Wystarczyło, że czekał. Same go podrywały. W całym mieście roiło się od pięknych kobiet, dodatkowo GRAJĄCYCH rolę pięknych kobiet. A w głowie miały tylko jedno - poderwać bogatego słomianego wdowca, chętnego zabrać je na weekend - lub nawet na cały tydzień - do Palm Springs lub La Costa. Niektóre z nich - choć o wiele rzadziej -

143

mogły mówić o prawdziwym szczęściu: wychodziły z; mąż i z "trofeum" stawały się "żonami".

Elliott przede wszystkim chciał rozkręcić firmę, więc ograniczał do minimum wszelkie swoje wypady. Fred Kendall, wtyczka w ratuszu Los Angeles, wykonał dobrą robotę. Nie ciągał pryncypała po różnych zakątkach! miasta, wołających o nowe hotele, sklepy i apartamenty. Już przy pierwszym spotkaniu wskazał z okna ogromny i nietknięty teren. Tutaj było dość miejsca dosłownie na

wszystko. Tu mogło powstać miasto dwudziestego pierwszego wieku.

Uśmiechnął się. Miał przed oczami wizję sterczących w niebo, kolosalnych budynków. Po wyjściu Freda na- tychmiast zadzwonił do Kohia i powiedział bez tchu: - Kiedyś na tym placu wyrosnie coś na kształt futurystycznego Radio City. Patrzę przez okno i nie widzę żadnych skał ani piasku. Są przede mną gmachy, szklane drapacze chmur, wysokie na czterdzieści pięter... a może nawet wyższe, jeżeli dostaniemy koncesję. W pobliżu pola golfowego staną bogate rezydencje, a ich mieszkańcy będą chodzić do pracy na piechotę. Wyobrażasz sobie?! ; Na piechotę w Kalifornii! To prawdziwe Klondike. Wy- : wołamy największą gorączkę złota!

- Posłuchaj mnie - odparł Kohl drżącym z niedowierzania głosem. - Skoro masz takie przeświadczenie, że warto w to inwestować, to poczekaj. Zaraz tam przyjadę i sam to obejrzę. Wierzę ci, lecz mówimy o ogromnych pieniądzach. Jako naoczny świadek łatwiej sprzedam ten projekt naszym inwestorom. Hotel przynosi dwa razy więcej zysków, niż początkowo liczyliśmy. Wszyscy powinni wiedzieć, że z nami warto iść na maksa. Jak sądzisz? Brać kredyty pod zastaw wszystkich naszych

144

nieruchomości w Nowym Jorku i załapać się na największy kawałek weselnego tortu? - Na pewno! Jak już przygotujemy plan działania, chłopcy z banku z ochotą pożyczą nam jeszcze

więcej. Będziemy bogaci, Królu! - Już jesteśmy - roześmiał się starszy wspólnik. - Nieprawda. Mam na myśli olbrzymi, obrzydliwy majątek. Taki jak króla Midasa - gorączkował się Elliott. - Bzdury gadasz - sprostował Kohl. - Midas był zwykłym frajerem. Chodzi raczej o króla Salomona. W każdym razie masz rację... będziemy bogatsi od angielskiej królowej! Wieczorami Elliott wychodził na taras i dumnym wzrokiem spoglądał w pośladowaną ciemność. Wprawdzie teraz jedyne światło padało z okien parterowej hiszpańskiej restauracji, ale on widział błyszczącą fasadę miasta; nowe imperium, które za jego sprawą miało wypełnić tę pustkę. Pilnie szukał najlepszego prawnika, lecz Melvin Belli niestety był zajęty. Następnym w kolejności okazał się Alberto Hernandez. Ten twierdził z dumą, że spełnia niezwykle ważny społeczny obowiązek - równo dzieli majątki pomiędzy bogatych mężów i potrzebujące żony. Gładki, z wąsikami, wyglądał jak wcielenie Ricarda Montalbana; albo to raczej Montalban był jego wcieleniem. Alberto bez wątpienia ubierał się u lepszego krawca. Elliott zapoznał go z faktami i wyczuł pewne wahanie. - Jakież kłopoty, panie Hernandez? - zapytał. - Szczerze powiedziawszy, tak. Nie rozumiem, dlaczego w związku, w którym jedna strona dysponuje dużymi zasobami, a druga żyje... powiedzmy na średniej stopie, nie domaga się pan alimentów od swojej obecnej

145

żony. Skądinąd wiem, że powodzi jej się nie najgorzo. I nie wystarczy patrzeć na tak zwane stałe roczne dochody. - Hernandez ostrzegawczo uniósł palec. - Najważniejsze są gwiazdkowe premie. Tutaj pies pogrzebani. Jest paru agentów w branży, którzy dostają milion rocznił. - No i dobrze - odparł Elliott. - Ja będę grał uczciwie. Rozstańmy się po bożemu. Zachowam swój, "średnią stopę", a ona swoje miliony. Potrzeba mi tyłfa tyle, żeby panu zapłacić - dodał szybko. Adwokat się roześmiał.

- Bez obrazy, ale nie jestem obrońcą z urzędu. Stać pana na moje honorarium?

- O jakiej kwocie mowa? Hernandez odczekał chwilę. - W pańskim wypadku, wzięwszy pod uwagę wszystkie koszty uboczne, muszę zażądać co najmniej dwudziestu pięciu tysięcy. Zbyt drogo?

Elliott nie odpowiedział od razu - wyłącznie dla efektu.

Adwokat zrozumiał to na swój własny sposób. - Znam kilku innych, bardzo dobrych prawników, na

pewno tańszych. Na przykład syn mojego kolegi z pola golfowego...

- Nie, nie. Jakoś zdobędę dwadzieścia pięć patyków. - I rzecz jasna prowizję.

- Zgoda. - Elliott skinął głową. - Lecz za tę kwotę chcę czystego rozwodu. Bez skarg i zażaleń. - Ostrzegam - dodał prawnik - że adwokaci pańskiej żony mogą żądać odszkodowania. Nawet gdyby pan nic nie miał, nie zdołam ich powstrzymać.

- Daj mi pan rozwód, panie Hernandez. Pełny, gładki i ostateczny.

146

Adwokat skinął głową. -- Rozumiem. W jakim stopniu chce pan zachować prawo do widywania syna? Elliotta aż skrzyło w duchu. Udawał, że się zastanawia. Hernandez jednak umiał czytać w myślach rozwodników i doszedł do słusznego wniosku. - Wyczuwam, że nie zamierza pan występować o opiekę ani nic w tym stylu... - Nie - przyznał Elliott. - Nie

należę do troskliwych rodziców. Nie było najmniejszego sensu, aby ciągnąć ten temat. Stało się jasne, że Snyderowi zależy wyłącznie na papierze. - Skąd taki pośpiech? - prawnik parsknął śmiechem. - Mam nadzieję, że za drogimi drzwiami nie czeka dziewczę w ciąży. Elliott odzyskał dobry humor. - Nie, panie Hernandez. Przynajmniej nic o tym nie wiem. - Znakomicie - ucieszył się adwokat. - To chyba już wszystko. Skontaktuję się z jej prawnikami. Bez wątpienia zaczną pyskować, nie zwracając uwagi na pańską wyjątkową szczodrość. C'est la vie - zakończył i wyjaśnił szybko: - To po francusku. - Wiem - przytaknął Elliott. - Dobrze powiedziane. - Zamyślił się na chwilę, a potem spytał ostrożnie: - Hmmm... Jak pan sądzi, ile potrzeba czasu, żeby ostatecznie zakończyć tę sprawę? - Ha! Zna pan słowa piosenki, że "do tanga trzeba dwojga"? To samo dotyczy rozwodów. Jeśli pańska żona zachowa ciut rozsądku, da się wszystko załatwić w ciągu kilku miesięcy.

147

To zbyt długo jak dla człowieka, któremu strasznie się spieszy.

- A trochę szybciej?

- Pozostaje Nevada - podsunął Hernandez. - O ile ma pan wolne półtora miesiąca.

Właśnie teraz w Tahoe panują wyśmienite warunki narciarskie, a jeśli

Jego słowa zabrzmiały jak muzyka dla uszu Elliotta. - Kiedy zaczynamy? - spytał.

- Jak tylko pan wynajmie jakiś apartament. Skoro) panu tak pilno, to zadzwonię do moich ludzi w Reno. Załatwię panu samochód, szafas i rozrywki. | - Dziękuję, panie Hernandez.

- Nie ma sprawy - nonszalancko odpowiedział! prawnik. | js

Poklepał klienta po plecach i odprowadził go do drzwi gabinetu.

- Wszyscy zostają w Nevadzie przez pełne sześć tygodni? - odważył się zapytać Elliott.

. - To zależy, czy pyta mnie pan jako prawnika, czy jako przyjaciela.

- Jako przyjaciela. Co robią ci najbardziej zajęci? - Proszę pamiętać, że to ściśle prywatne zwierzenia. Słyszałem, że niektórzy znani biznesmeni wynajmowali chatkę w górach, a następnie znikali na cały tydzień. Pojawiali się tylko w weekendy i przez cały czas pamiętaj, aby nie korzystać z żadnych kart kredytowych poza terenem stanu.

Elliott niemalże odruchowo wysnuł poprawny wniosek.

- Ale zawsze płacili w ten sposób, kiedy byli w Nevadzie.

- Właśnie. Powtarzam jednak, że to nielegalne, i mam obowiązek przypomnieć panu, że takie postę-

148

powanie, chociaż popularne, stanowi wykroczenie przeciwko prawu. - Rozumiem. Ciarence Darrow rozwodów uśmiechnął się i podsunął jeszcze jedną dobrą radę (za darmo). - Niech pan tylko nie złamie sobie nogi na nartach. To byłby najgorszy start w życiu kawalera. Elliott wrócił do biura i napomknął Yanessie o planach wyjazdu. Zapewniła go, że chętnie się z nim wybierze na przymusowe wygnanie. Poza tym że okazała się świetną sekretarką, była dyplomowaną instruktorką narciarstwa i wspaniałą kucharką. A w najczarniejszych chwilach zawsze mogła zaśpiewać kilka wybranych wersetów z książki pieśni Czcieli Świętej Ziemi. Doprawdy, nie mógł się nadziwić, ile talentów drzemie w dziewczętach z Kalifornii. Uprzejmie

więc jej podziękował, przy okazji dodawszy, że nie chciałby, aby jakaś zwykła praktykantka odbierała listy i ważne telefony. Następnego dnia urządził sobie miłe i komfortowe gniazdko w przytulnej chatce zagubionej w śnieżnych lasach Tahoe, zaledwie o dziesięć minut jazdy samochodem od kasyna, którego światła połyskiwały wszystkimi kolorami tęczy na spokojnych wodach jeziora. Tutaj przynajmniej mógł zaszyć się w samotności mimo hałaśliwych tłumów, które go otaczały. Oczywiście od razu uprzedził współnika o wszystkich swoich zamiarach i zapewnił go, że nie zmarnuje ani jednej sekundy z wytężonej kampanii zdobywania funduszy na budowę nowego miasta. - Znakomity pomysł, mój chłopcze. Tylko uważaj, za często nie przesiaduj w kasynie. Nie daj się złapać tym rozwódkom i poszukiwaczkom złota. Na pewno kilka

149

z nich zechce cię upolować. Nie zaangażuj się zb; prędko. Baw się.

- Dziękuję, Królu. Jesteś hojny jak książę.

Rozmowa zakończyła się podwójnym, głośnym wybu' chem śmiechu,

Mimo wszystko Elliotta dręczyło pytanie: na ile Nina zna stan jego finansów? Co w ogóle wie o nowym przed sięwzięciu? Nie zamierzał się dzielić jutrzejszymi pieniędzmi z wczorajszą żoną. A już na pewno nie z jej synem. Po przyjeździe z Reno wynajął dużą willę, a właściwie basen z doczepionym domkiem. Posiadłość leżała w Cold-water Canyon, tuż nad różowym rajem hotelu Beverly Hills na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Po co to zrobił? W zasadzie bez powodu. Być może chciał spróbować słynnych jaj po benedyktyńsku, podawanych na śniadanie w Polo. Zawsze przychodził tam jako pierwszy. Wziąwszy pod uwagę czas, który spędzał w domu, równie dobrze mógł znaleźć lokatorów, a samemu sypiać w hotelu. Codziennie, od świtu do nocy, przesiadywał na placu budowy. Wieczorami skrupulatnie sporządzał sprawozdanie dla Kohia, ten zaś z kolei przyjeżdżał od czasu do czasu, żeby na własne oczy ujrzeć wszystkie cuda. I na prawdę tak było, jak w listach Elliotta.

Strzeliste drapacze chmur ze szkła i stali, rosnące w sercu Century City, miały specjalnie zaprojektowane okna, pochłaniające większość promieni słonecznych. Roboty szły tak szybko, że podwykonawcy nie nadążali z dostawami. Potężny podwójny wieżowiec telewizyjnej sieci ABC dumnie wznosił się na prawo od hotelu. Za nim stały następne błyszczące budynki, smukłymi sylwetkami sięgające nieba. Prawdziwy lep na milionerów. W pewnej chwili trzeba było sporządzić listę oczekujących.

150

Elliott do minimum ograniczył życie towarzyskie. Nie dlatego, że mu brakowało kobiet, ale że zajmował się całkiem czymś innym. Ciekawe, że seks ustępuje pola prometejskiej żądzy władzy... Libido można zaspokoić; wybujałych ambicji - nigdy. Cichym marzeniem Elliotta było to, żeby ludzie przestali go postrzegać jako "zwykłego budowlańca". Chciał trafić do świata filmu. Był pewny, że któregoś dnia będzie miał własne studio. Jak dotąd, jeszcze nie trafił na listę "wielkich" Hollywoodu, ale miał tam licznych przyjaciół, których zapraszał na przyjęcia. Oni wprawdzie odwzajemniali mu się tym samym, lecz bywał wśród nich rzadkim gościem. Kiedy już się pojawiał, niemal ginął w tłumie młodych rozwódek "z małym przebiegiem", jak powiadali sprzedawcy samochodów. Raz na jakiś czas zabierał którąś z nich na wystawną kolację. Takie spotkania kończyły się z reguły nocnym wypadem na plac budowy. Elliott

odkrył, że to działało o wiele silniej niż afrodyzjaki. Dziewczętom wystarczyło jedno krótkie spojrzenie na rosnące wieżowce i już dawały znać swoim zachowaniem, że chcą iść z nim do łóżka. Jednym słowem, żył pełnią życia i miał szczerą nadzieję, że ów karnawał nigdy nie dobiegnie końca.

Rozdział 24

Nina już dawno pogodziła się z myślą, że mąż do niej nie wróci. Nigdy. Na użytek Danny'ego zmyśliła historię, że tata wyjechał w długą delegację i że niedługo się zobaczą. Elliott czasami dzwonił. Zapewniał żonę i syna, że praca idzie mu świetnie. Do lata, mówił, zanim przyjedziecie, na pewno wam wyszukam jakieś urocze lokum. Z czasem ta komedia też się skończyła. Mały Danny chyba mu wierzył, ale Nina nie była głupia. Na nowo zrozumiała pewne wyrażenie z teatralnej gwary: "zgrywa się" mówiono o aktorze, który nie wkładał serca w odtwarzaną rolę. W czasie króciutkich rozmów przez telefon - a to i tak zbyt szumne określenie dla lakonicznej wymiany zdań, jaką naprawdę były te "rozmowy" - wyczuwała, że Elliott próbuje ją wy badać, czy nie poczyniła żadnych prawnych kroków. Wreszcie doszła do wniosku, że Cy Temko miał rację, i poprosiła go o adres dobrego adwokata. Ten, z kolei poradził jej, żeby swoje karty trzymała jak najbliżej siebie. Elliott w końcu wykonał ostatnie posunięcie. Miał tyle

152

taktu, że papiery przysłał do biura, nie do domu. Choć z drugiej strony... nawet w tym kryło się wyrachowanie, bo przecież wiedział, że pod nieobecność Niny odbiór pokwituje jedna z jej sekretarek. Treść dokumentów była sporą niespodzianką. Adwokat Niny obawiał się, że Elliott wystąpi o "sprawiedliwy podział" majątku i zacznie się domagać przyznania mu połowy sumy zarobionej przez nią w okresie ich małżeństwa. Okazało się jednak, że nie stawiał żadnych finansowych żądań. Oddzielnym listem poleconym nadeszła informacja z Reno, w stanie Nevada, że pozwana ma prawo stanąć osobiście, ze swoim prawnikiem, w miejscowym sądzie, by zakwestionować słuszność żądań Elliotta. Prędzej śnieg zacznie padać w piekle, pomyślała Nina. Nie miała zamiaru spotykać się z tą

gnidą. I tak, dziewiętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku, co Bóg złączył, zostało rozłączone mocą postanowienia sądowego w Nevadzie. Nina oczywiście płakała. Nie tyle nad sobą, co nad swoim małym synkiem. W dokumentach nie było nawet najmniejszej wzmianki o tym, że Elliott chciałby widywać się z chłopcem. Porzucił dziecko, które od dnia narodzin czuło się opuszczone. Matkę czekało najtrudniejsze za danie. Od dawna wyczuwała, że Danny coś podejrzewa, nie miała jednak sumienia, żeby otwarcie powiedzieć

o formalnym rozstaniu z ojcem. Powoli wracała do domu, zastanawiając się, jak dobrać słowa, żeby możliwie najłagodniej przekazać mu tę wiadomość. Bała się, że postępek Elliotta zniszczy efekty kuracji doktora Gordona. Osiem miesięcy wysiłków pójdzie po prostu na marne. A wspomniana terapia, poparta ogromną wiedzą lekarzy, przynosiła zadziwiające skutki.

Ostatnio doktor Gordon sięgnął do farmakologii i prze| sał dekstramfetaminę, środek pobudzający, który do^j łym nie pozwalał zasnąć (korzystało z niego wielu kli^ tów Niny), ale działał zupełnie odwrotnie na dzieci. Navl

największy urwis zaraz się uspokajał po zażyciu niewil kiej dawki,

Gordon dokonał cudu - w bardzo krótkim czasi Danny nareszcie posiadał zdolność normalnej koncentracj Siedział cicho - przez większość lekcji - słuchaj^ nauczycieli. Coraz rzadziej miewał napady niczym nie|

sprovokowanej złości. Ważniejsze jednak, że wreszcii zdobył kilku przyjaciół,

Gdyby Elliott nie uciekł i wierzył w Danny'ego, do-| czekałby się nagrody za swoją cierpliwość. Nina widziała! to na własne oczy. Rezultat dokładnie potwierdzał przy-| puszczenia doktora Gordona - dziecku nic nie zastąpi obecności ojca lub/i matki. Musi wiedzieć, że jest kocha ne, i słyszeć, że jest potrzebne. A Danny był dla Niny prawdziwym oczkiem w głowie.

Kończył lekcje o wpół do czwartej, więc Nina rzeczowym tonem powiadomiła swojego szefa, że z osobistych względów może przebywać w biurze tylko przez pół dnia pracy. Cy wziął głęboki oddech i mruknął filozoficznie,

jak zwykle przy takich okazjach: "Lepiej mieć pół Niny, niż nie mieć jej wcale".

Dzisiaj jednak, kiedy wróciła, nie zastała w domu nikogo. Na drzwiach lodówki znalazła kartkę od Peggy, świeżo upieczonej absolwentki college'u, od czasu do czasu doglądającej Danny'ego. List głosił, że Danny przyszedł z kolegą i że całą trójką wybrali się do parku, pograć w koszykówkę.

Nina zyskała trochę więcej czasu, żeby pozbiierać myśli. 154
isfie wiedziała, co mu powiedzieć. Nic, co wcześniej przeżyła, nie przygotowało jej na tak trudną chwilę. Owszem, mówiła aktorom, że zostali zwolnieni, a dramaturgom, że ich sztuka będzie zdjęta z afisza po pierwszym przedstawieniu... To jednak nie to samo. Musiała zdobyć się na szczerość. W odróżnieniu od licznych artystów/aktorów/pisarzy dzieci od razu wyczuwają, że ktoś przy nich kłamie. Jak się okazało, Danny wrócił z parku ze swoim najlepszym (i pierwszym) przyjacielem, Maxem Rothsteinem. Poinformował mamę, że zaprosił Maxa na wspólną kolację. - Zadzwoń do jego rodziców - powiedziała Nina ze słabym uśmiechem. Miała gorącą nadzieję, że Belle Rothstein szybko zabierze syna. Może jej to zasugerować? A potem pomyślała: Nie, ciężko pracowałaś, żeby coś osiągnąć. Nie odmawiaj Danny'emu kontaktów z kolegami. Własne troski odłóż na później. Belle była zachwycona, że Mas może zostać dłużej. Jej syn też sprawiał kłopoty. To normalne... przecież w przeciwnym razie nie chodziłby do szkoły Petera Stuyvesanta. Gdy obaj koszykarze zniknęli w pokoju Danny'ego, Nina weszła do kuchni, by zgodnie z ich życzeniem przygotować spaghetti z serem. O wpół do ósmej przyjechał tata Masa, Alfred. Przez chwilę rozmawiał z Niną. Każde z nich coś wspomniało o swoim zawodzie: ona o show-biznesie, on o handlu dachówką. Mas z ociąganiem zbierał się do wyjścia. Danny od razu przejął inicjatywę i powiedział mu, że spokojnie może u nich nocować. Chłopiec z radością przyjął tę propozycję, lecz nie znalazł poparcia u ojca.

- Przykro mi, ale jutro idziesz do szkoły. - Och, tat-to! - jęknął chłopiec. Tat-to pokręcił głową i uznał, że jednak lepiej roj mawiać z dorosłymi.

- Jeśli się zgodzisz, Nino, to chętnie zabierze: Danny'ego na cały weekend. Co ty na to? Zanim zdążyła otworzyć usta, Danny zawołał: - Tak, mam, tak! Powiedz tak! - Oczywiście, że tak.

- Świetnie - uśmiechnął się Alfred. - Mam dla nich coś specjalnego.

Sięgnął do kieszeni na piersiach i wyjął trzy bilety. Machnął nimi w powietrzu.

- W sobotę po południu pójdziemy na mecz Knick-sów! - oznajmił triumfalnie. - O rety! - chórem wrzasnęli malcy. Danny popatrzył na Ninę.

- Mogę iść, mam? Proszę! Koszykówka to mój ulubiony sport i nie ma lepszej drużyny od Knicksów! Uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Zasłużyłabym chyba na miano Złej Czarownicy z Zachodu, gdybym nie pozwoliła ci obejrzeć meczu Knickerbockersów w Madison Square Garden. Ale kiedy zostali sami, nie mogła już czekać dłużej. Było jej bardzo przykro, bo Danny tak się cieszył perspektywą wspólnego weekendu z Maxem. Nareszcie miał przyjaciela. Serce jej się krajało na myśl, że właśnie teraz musi mu popsuć tę radość.

- Usiądź, Danny - powiedziała, siłąc się na obojętność, choć w głębi duszy ogarniała ją czarna rozpacz. Od razu zauważył zmianę w jej zachowaniu. - Co się stało, mam? 156

- Nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć... Tata nie wróci do domu. Już nigdy. Zapadła cisza. W pierwszej chwili wydawało się, że panny nie rozumie prawdziwego znaczenia tej wiadomości. Potem zapytał o to, co go martwiło najbardziej: - Ty też odejdziesz, mam?

Chwyliła go w objęcia. - Ależ skądże, kochanie! Zawsze będę przy tobie. Zawsze będziesz miał mamę. Przyniosło to lepszy efekt, niż się spodziewała.

Danny wzruszył ramionami. - To dobrze - powiedział. - W takim razie pora dzimy sobie bez niego, prawda? - Prawda - odparła, nie puszczając go ani na chwilę - i wszystko będzie jak najlepiej.

Przez pierwsze kilka lat po rozwodzie Nina rzuciła się w wir pracy... i ćwiczeń. Zapisła się do siłowni i wynajęła najlepszego trenera, Douga McPhearsona, żeby pomógł jej zrzucić trochę niepotrzebnego tłuszczu. Pół roku później, podczas ważenia kontrolnego, stwierdził z prawdziwą dumą, że ubyło jej cztery i pół kilograma.

- Tylko tak dalej, Nino, a do świąt będziesz wyglądać jak Twiggy.

- O, tak? - wysapała Nina, kiedy już mogła złapać oddech.

W wolniejszych chwilach obserwowała z nieklamną dumą, jak jej syn szybko wyrastał na przystojnego młodzieńca. Znajomi nieustannie namawiali ją na "randki", ale ona kwitowała to śmiechem.

- Randki są dla nastolatków. Ja już jestem za stara. Nawet Cy Temko, który na koniec dnia zaprosił ją

do swojego biura na kieliszek wina, nie był lepszy od innych.

- Kiedy ponownie wyjdiesz za mąż? - zapytał. 158

- Cy... -jęknęła. - Mam co robić. - Wiem, wiem. Ale Danny już wkrótce stanie się mężczyzną. Z tego, co widziałem, bardzo dużym mężem czyżną. Nie przyszło ci do głowy, że wkrótce się wy prowadzi? Ile lat mu zostało do studiów? Nina z niezachwianym spokojem zbyła tę bez wątpienia szczerą, lecz nieco staroświecką troskę. - Ma jeszcze mnóstwo czasu. A jak już mnie opuści, zajmę się szydełkowaniem. Dziękuję za dńka, Cy. Baw się dobrze w ten weekend. Tuż po jedenastych urodzinach Danny'ego doktor Gordon, zadowolony ze skutków kuracji, kazał mu stopniowo odstawić część leków. Po roku chłopiec żył już całkiem normalnie, bez środków psychotropowych i był gotów powrócić do normalnej nauki. Marzył o tym, bo chciał pójść w ślady Maxa, który już nieco wcześniej zakończył terapię i trafił do prestiżowej szkoły Horacego Manna w Riverdale. Dyrektor tej placówki bardzo chwalił Maxa i bez oporu przyjął kolejnego "absolwenta" Petera Stuyvesanta. Chłopcy razem jeździli na zajęcia - miejskim autobusem, a potem metrem do Riverdale. Jako trzynastolatek Danny doświadczył dwóch rzeczy. Po pierwsze, ubrał się w przepisowy szkolny sweter i krawat. Po drugie, od lata zaczął rosnać. Naprawdę rósł. Ku zdumieniu Niny, w mgnieniu oka stał się wysoki na ponad metr osiemdziesiąt. (Na pewno nie był synem Elliotta). Nina zaś wróciła do normalnego życia. Alfred i Belle Rothsteinowie mieli wielu ciekawych znajomych. Dobrze było czasami z nimi porozmawiać, chociaż w większości ich zainteresowania mijały się z oczekiwaniami Niny. Ale to przecież bez znaczenia. Czasem chodzili gdzieś

159

we trójkę. Dzisiaj przyszła pora, aby to właśnie Nil pełniła funkcję gospodarza. Wykorzystała swoje znajomości w niebiańskich sferach show-biznesu i załatwiła trzy bilety na inscenizację przebojowej sztuki Edwarda Albee pod tytułem Kto się boi Wirginii Woolf? Mówią o niej całe miasto. Była to bezwzględnie ostra i zjadliwi! śmieszna anatomia (autopsja?) amerykańskiego małżeństwa. Pokrótkie określano ją jako dwugodzinny psychiczny pojedynek między mężem a żoną. Rzecz smutna, a jednak błyskotliwa i wciągająca.

;|™†

W czasie antraktu Alfred wdarł się w tłum, aby jakoś||| precyzyjnie przycisnąć się do bufetu. Nina i Belle zostały same,

rozmawiając o toczzonej na scenie bezlitosnej wojnie na słowa.

- Twoim zdaniem to jest komedia czy raczej tragedia? - Belle szukała rady u bardziej obeznannej z teatrem przyjaciółki.

- To zależy, czy przeżyłaś udane małżeństwo, czy nieszczęśliwy rozwód - zażartowała Nina. Belle się roześmiała. Jakiś człowiek w dobrze skrojonym ciemnym garniturze odwrócił się w ich stronę i z uśmiechem popatrzył na Ninę.

- Słyszę, że jest tu z nami jeszcze jeden weteran trudnych małżeńskich bojów. Skinęła głową. - Być może - odpowiedziała. - Więc proszę przyjąć radę od starego wiarusa. Za dziesięć lub dwanaście lat wszystko co złe pójdzie w zapomnienie.

Wrócił Alfred, żonglując trzema kieliszkami. Z zadowoleniem spostrzegł, że Nina rozmawia z wysokim i lekko siwiejącym mężczyzną po czterdziestce. Cechowało go

jakieś dostojeństwo i na pewno nie miał nic wspólnego z przemysłem rozrywkowym. Alfred wręczył kieliszki paniom i uśmiechnął się do nieznanego. - Proszę wybaczyć, że podsłuchiwałem - powiedział tamten szarmancko. Wciąż patrzył na Ninę. - Ale trafiła pani w samo sedno. - Coś przegapiłem? - spytał Alfred. - Opowiecie mi o tym? - Wygląda na to, że w tym gronie znalazłem bratnią duszę - usłyszał w odpowiedzi. - Rozbitka z małżeńskiego wraku. - Rozbitka? - powtórzyła Nina. - Jeśli chodzi o mnie, to raczej utopionego szczura. Wszyscy się roześmieli. Alfred skorzystał z okazji, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. - Jest pan tu sam? - zapytał dżentelmena. - Owszem. Obawiam się jednak, że taki spektakl trzeba oglądać w towarzystwie. Niech się dzieje wola nieba... Belle wzięła inicjatywę w swoje ręce. - Więc może potem pójdziemy całą czwórką gdzieś na dínka? - Bardzo dziękuję - odparł nieznanomy. Rozległ się dzwonek na początek drugiego aktu. - Och, przepraszam, że się nie przedstawiłem. Jestem Charles Curtis. Uścisnął dłoń Alfreda. - Alfred Rothstein. - Wskazał na panie. - To moja żona Belle, a to przyjaciółka, Nina, najlepsza agentka w tym mieście. - Och... - Charles uśmiechnął się półgębkiem. - Pracuje pani w FBI?

- Nie - z rozbawieniem odpowiedziała Nina. i W dużo potężniejszej formacji.
 - Chciałbym usłyszeć o tym więcej na naszym wiczym spotkaniu. Zaczekam koło wyjścia, po zakończeniu ostatniego starcia - zaproponował. Popatrzył wprost na Ninę. - Nie mogę się doczekać - dodał, a Pojechali taksówką do Płaza. Sam widok Niny sprawił że kierownik sali wyszukał im najlepszy stolik. Frę^

i Belle szli nieco z tyłu, pozostawiając Charlesa w towarzystwie ich przyjaciółki.

Charles, bez specjalnej okazji, zamówił szampana. || - Błagam o wybaczenie - mruknął przesadnie przeprasającym tonem. - Ale dom perignon to moja wielka słabość. Mam nadzieję, że się przyłączycie, i

Zrobili to z zadowoleniem. Pierwszy toast wzniesli za autora sztuki, Edwarda Albee.

- To prawdziwie nieszczęśliwy facet - dodał od siebie Charles. - Zastanawia mnie tylko, skąd kawaler tak wiele wie o małżeństwie.

- Z moich doświadczeń zawodowych wynika, że naj lepsze sztuki powstają na bazie postronnych obserwacji - zauważyła Nina. - W końcu Szekspir nie stworzył po staci Lady Makbet na podstawie własnych przeżyć. Charles był wyraźnie zaintrygowany.

- Możesz mi wreszcie powiedzieć, cóż to za tajemniczy zawód? - zapytał z ciekawością.

Dzięki Bogu, westchnęła w myślach. Chociaż raz ktoś spoza kręgów show-biznesu.

- Jestem agentem teatralnym. - To cudowne - powiedział Charles z niekłamany podziwem. - A zatem twoje życie to nieustanny dramat. - Owszem - z uśmiechem przyznała Nina. - Cza-

162

sem komedia, czasem tragedia, a z wieloma klientami obie te rzeczy naraz. Charies szeroko otworzył oczy. - Spotykasz się z gwiazdami, Nino? - spytał podniecony niczym nastolatek. Roześmiała się na ten widok. - Tu i ówdzie. Ale zaręczam ci, o wiele lepiej prezentują się na ekranie. Nie niszczyć swoich złudzeń. Belle i Alfred wymienili spojrzenia. Postanowili dyskretnie się usunąć i zostawić Ninę w dobrych rękach. - Wybaczcie, ale nasza opiekunka do dziecka to jeszcze licealistka. Musimy ją odwieźć do domu. Wstali. Nina także podniosła się z krzesła, ale Charies ujął ją za rękę. - Nie skończyliśmy rozmowy. Zaczekaj jeszcze chwilę. Potem cię odprowadzę. Kiedy zostali sami, Nina przeprowadziła małe przesłuchanie. - A czym się ty zajmujesz, Charies? Niech zgadnę... - Mój zawód jest dużo skromniejszy. Podsunę ci pewien ślad. Mam biuro w Waszyngtonie. - Wspaniale! - zawołała z fascynacją. - Jesteś nowym sekretarzem stanu? Uśmiechnął się. - Niezupełnie, chociaż gram w tej samej drużynie. Jestem specjalistą od prawa międzynarodowego. - Ciekawe... Pewnie wciąż przesiadujesz w samolotach? To męczące. - Masz rację, ale z drugiej strony odkryłem, że najlepiej pracuje mi się właśnie podczas lotu. Przynajmniej nie ma do mnie żadnych telefonów.

163

- Powiedz choć ze dwa słowa o najtrudniej szyci] sprawach z twoim udziałem. - Szczerze? W porównaniu z twoim zawodem, mój jest po prostu nudny. Biura prawne są pełne wszystkiego. To, że pracuję w Waszyngtonie, nie oznacza przecież, że bywam w Białym Domu albo coś w tym rodzaju. Później rozmowa zeszła na ich osobiste życie. Z upodobaniem (o ile to właściwe słowo) rozprawiali o swoich małżeńskich porażkach. Ten facet mógłby być na tyle mądry, żeby nie wiązać się z taką babą, pomyślała Nina. Ale to samo da się powiedzieć o mnie i o moim niewydarzonym mężu. Odzyskała jednak poczucie, że nie jest jakimś dziwadłem. Ich spotkanie przeciągnęło się do pierwszej w nocy. Charles złapał taksówkę, odwiózł Ninę do domu i od prowadził do samego progu. Następnego dnia, w biurze, znalazła kartkę: "Dzwonił pan Curtis z hotelu Regency. Czeka na pani telefon". Faktycznie, dzwonił. O ósmej piętnaście. Albo tak wczes nie wstawał, albo - tak jak ona - nie bardzo mógł zasnąć.

- Nina! - ucieszył się. - Przepraszam, że ci przeszkadzam w pracy. Nie chciałem robić zamieszania w wielkim świecie teatru... Po prostu jestem ciekawy, czy masz wolny weekend. Nie kryła zadowolenia. - To zależy, co zaproponujesz. Zwykle zabieram Danny'ego do muzeum... Potem idziemy na superlody do Rumpelmayra. Ale tym razem Alfred zdobył bilety dla siebie i dwóch chłopców na play-off NBA w Garden. Oględnie dali mi do zrozumienia, że to męska zabawa. Jestem więc gotowa na wszelkie inne pomysły.

164

- Dobrze się składa, bo mam także coś związanego ze sportem. Co powiesz na przejażdżkę po Central Parku? - Przykro mi, ale nigdy nie siedziałam na rowerze. - Nie, nie. Mówię o konnej przejażdżce - odparł

Charles. - Na prawdziwym koniu? - z przestraszeniem jęknęła

Nina. - A znasz inne? - To znaczy... Nic nie wiem o koniach. Moi rodzice mieli kurzą fermę. Gdybyś zaprosił mnie na jazdę na kogucie, to może bym dała radę.

Charles się roześmiał. - Wybiorę najstarszego i najspokojniejszego konia. Nie bój się, nauczę cię wszystkiego, co powinnaś wiezieć. Zaufasz mi? Nina zastanawiała się przez chwilę. Co naprawdę kryło

się w tym pytaniu? - Tak - odpowiedziała miękko. - Całkowicie ci ufam. Wezwała swoją sekretarkę Tiffany Grant, która od lat była niezłą amazonką. W czasie przerwy na lunch zabrała ją do sklepu, aby kupić wszystkie rzeczy potrzebne do konnej przejażdżki. - Naprawdę chcesz sięść na siodło? W twoim... To znaczy, trochę nie za późno? - z niedowierzaniem zapytała dziewczyna. - Lepiej późno niż wcale - rozsądnie pouczyła ją

Nina. - Możesz mi wierzyć. Popatrzyła na siebie w lustrze. W wysokich butach i bryczesach wyglądała nieodparcie śmiesznie. Tiffany była jednak odmiennego zdania. - Śmiesznie? Skądże! Wspaniale!

165

Bądź co bądź pracowała w agencji artystycznej. - Minęła mi trzydziestka. Jestem niska i zbyt szeroka

w biodrach. - W bryczesach każda pupa wydaje się trochę szersza - zapewniła ją Tiffany. - Wyglądasz świetnie. Moja mama też jeździ, a ma pięćdziesiątkę. - Zaczęła pewnie jako pięciolatka. - Czterolatka, ale kto by tam na to zwracał uwagę. - Pocieszyłaś mnie - ironicznie mruknęła Nina. Szybko spakowały zakupy i wróciły do biura. Tiffany nie umiała powściągnąć ciekawości. - Skąd u ciebie ta nagła pasja do hippiki? - Nie potrafię na to odpowiedzieć - wymijająco odparła Nina. Nie chciała niszczyć swego wizerunku "Matki Przełożonej" działu literatury. - Nazwijmy to fanaberią kobiety w średnim wieku. Tiffany popatrzyła na nią ze zdumieniem, ale umilkła, bo nie zamierzała narażać się na szefowej. Wkrótce jednak "wybryki" Niny stały się tematem cichych rozmów przy automacie z kawą. Na szczęście miała odpowiednie stroje na resztę wie czoru. Dobrze, że Charles nie zaproponował jej strzelania do rzutków. W nocy nie mogła zasnąć. Wstała bardzo wcześnie i ubrała się, zanim do jej sypialni wpadł Danny. - Mamo!... Nie mogę się spóźnić! Nie mogę! - Spokojnie, jeszcze masz mnóstwo czasu. Dopiero teraz zauważył jej strój. - Jezu! W coś ty się ubrała? Idziesz na bal przebierańców albo coś w tym rodzaju? - Wybieram się dziś rano na konną przejażdżkę - odpowiedziała z pewną dumą. - Na prawdziwym koniu. - Zmusiła się do uśmiechu, ale w gruncie rzeczy

166

uważała, że wygląda głupio. - Jeszcze mnie nie znasz,

Danny. Godzinę później odwozła syna do Maxa. Charles zjawił się dziesięć minut przed umówionym czasem. Po drodze do Central Parku wprowadził ją pokrótce w podstawowe

zasady sztuki jazdy konnej. - Na pewno dasz sobie radę - zawyrokował.

- A jeśli spadnę? - zapytała Nina, wcale nieuspokojona. - To cię podniosę i znów wsiądziesz - odparł bez troskim tonem. Ta sobota zapisała się na czerwono w kalendarzu Niny.

Cały dzień, od świtu do północy, spędziła w towarzystwie

najprzystojniejszego człowieka na świecie. I... do pewnego stopnia polubiła konie, chociaż westchnęła z ulgą,

zsuwając się z siodła. Poszli na małą przekąskę do Tavem on the Green.

- Tkwi w tobie wiele możliwości - z podziwem

mruknął Charies. - Bardzo wiele... Jak zwykle, jego słowa można było odczytać na różne sposoby. Rozsądek podpowiadał Ninie, że tym razem nie chodzi o przepowiednię jej kariery na torach wyścigowych. Z wdzięcznością przyjęła propozycję lunchu, bo była bardzo głodna. Nie wiadomo, czy ze strachu, czy od dawki ruchu. Pewnie wpłynęło na to wszystko po trochu. Przy posiłku Charies zapytał ją, czy widziała nową

wystawę sztuki etruskiej w Metropolitan. - Nie, ale słyszałam, że jest wprost wspaniała. W drodze do domu mijam kolejkę do kasy. Pewnie dlatego tam nie byłam. Nie znoszę kolejek. Na mecze też nie chodzę.

Charies myślał przez chwilę. - No, dobrze. Zrobię to wyłącznie dla ciebie.

167

- Niby co?

- Kiedyś moja firma pośredniczyła w sporze między Met i British Museum. Zaprzyjaźniłem się wówczas z

kuratorów. Jeśli będzie tam dzisiaj, wpuściłbym go bocznym wejściem.

Nina nie kryła zdumienia. - Znasz wszystkich?

- Owszem. Od chwili kiedy poznałem ciebie - i parę. Przeprosił ją i poszedł do telefonu, mając szczęście. Steve Robson ucieszył się niezmiernie słysząc głos Charlesa, i po wystawie zaprosił ich do siebie

na małego drinka. Weszli do muzeum bez najmniejszych kłopotów,

|

Na kolację wybrali się do La Carayelle. Nina z przyjemnością pozbyła się butów z cholewkami i włożyła wieczorową suknię. Rozmawiali głównie o dzieciach. Charles z pierwszego małżeństwa miał syna i córkę, którzy teraz niestety mieszkali w San Francisco, wraz z matką. Tak namieszała im w głowach, że nie chcieli widywać ojca. - Domagałem się pełnej opieki, ale nawet prawnik nie zdołał przekonać sędziego, że samotny mężczyzna może być dobrym ojcem. Odwiedzali mnie w czasie wakacji. Teraz oboje są już starsi i "nie mają czasu". Słyszałem od osób trzecich, że moja córka Tessa wkrótce wychodzi za mąż. Jeśli mi się poszczęści, dostanę za prośbą, chociaż nie liczę na to.

- Mojemu małemu chłopcu powiodło się jeszcze gorzej. Co prawda, nie jest już taki mały... Ojciec całkowicie odsunął się od niego.

- Na pewno jest ci bardzo ciężko - mruknął ze współczuciem.

- Nie, daję sobie radę. Najbardziej cierpi Danny. 168

Zmienili temat na nieco lżejszy. Charies zapytał, co ciekawego grają w teatrach w Nowym Jorku. Często

przyjeżdżał z Waszyngtonu. - Zadzwoń wcześniej, to ci załatwię najlepsze bilety. - Nie chciała, aby pomyślał, że chce go usidlić.

Popatrzył jej prosto w oczy. - Nie tylko mi, Nino - sprostował z naciskiem. -

Ale nam obojemu. Później, kiedy stali przed drzwiami jej domu, poczuła

się jak pensjonarka. Podświadomie czekała, czy Charles ją pocałuje. Przecież w końcu połowę życia spędziła w teatrze, gdzie wiele rzeczy zdarzało się w ciągu dwóch godzin. Charles zapewnił ją tylko, że spędził cudowne chwile, pochylił się i lekko musnął ustami jej czoło. Zaczekał, aż bezpiecznie znikła za drzwiami, i odszedł. Nina miała ogromną ochotę chwycić za słuchawkę i podzielić się z kimś swoją radością. Gdyby jednak o tak późnej porze zadzwoniła do Belle, wszyscy by pomyśleli, że chyba zwariowała. Na swój sposób mieliby rację.

Rozdział 26

Rankiem w biurze czekała ją miła niespodzianka. Ważna wiadomość: telefonował Charles Curtis. Zadzwoniła natychmiast.

- Nino, wiem, że wstrzymuję rozwój amerykańskiej sceny, kiedy zawracam ci głowę w czasie godzin pracy... - Skądże! - zapewniła go, z trudem panując nad podnieceniem. - Teatr wytrzyma beze mnie przez te kilka minut. Jak ci minęła podróż?

- Powiem tak: wspaniały weekend stał się tylko wspomnieniem, w chwili gdy postawiłem nogę na trapie samolotu. Ale przejdę do rzeczy. Chcę ci złożyć pewną propozycję. Mam nadzieję, że nie uznasz jej za nie moralną.

- Skończyłam dwadzieścia jeden lat. Nic mnie nie zaszokuje - odparła lekkim tonem, z nutą nadziei w głosie.

- Po pierwsze, z ogromną ochotą przyjechałbym w najbliższy piątek do Nowego Jorku. Ale tu, w Waszyngtonie, jest Święto Kwitnących Wiśni. Nie chciałabyś wziąć

170

panny'ego i pokazać mu naszej stolicy, dosłownie tonącej w kwiatkach? Zatrzymacie się w moim domu. Mam mnóstwo wolnych pokoi. Kiedy kobieta jest po trzydziestce i dostaje tak ciepłe zaproszenie, nie musi sprawdzać u Emiły Post, czy może się na to zgodzić. - Danny na pewno będzie zachwycony! - przerwała na chwilę. - I ja także. Zadzwonię do ciebie

wieczorem. Jak było do przewidzenia, Danny szalał ze szczęścia na myśl o wyjeździe do Waszyngtonu. Co więcej, miał to być jego pierwszy lot samolotem. Decyzja była więc

jednogłośnie. W piątek o siedemnastej trzydzieści weszli na pokład samolotu. W Waszyngtonie powitał ich rozradowany Charles Curtis. Pocałował Ninę w policzek i podał rękę Danny'emu. Wymienili mocny, męski uścisk. - Mój Boże - westchnął Charles. - Masz trzynaście lat? Nie... Jesteś zbyt wysoki. A te mięśnie? Po co oszukujesz ludzi? - Nic nie rozumiesz, Charles? - z humorem zapytała Nina. - Musi być wysoki, jeśli chce zostać gwiazdorem koszykówki. - Daj spokój, mamo. Robisz ze mnie jakiegoś po twora. - Wcale nie - zaprzeczył Charles. - Wzrost to

conditio sine quo. non dobrej postawy w meczu. - Co takiego? - zapytał speszony Danny. - Warunek nieodzowny - wyjaśniła Nina. Podczas negocjacji często używała podobnych sformułowań, aby

zbić z tropu przeciwnika. - Lubi pan koszykówkę? - spytał Danny, kiedy

171

siedzieli już w samochodzie, zmierzając w stronę tomacu.

- Uwielbiam, ale mnie nie proś, żebym z tobą żał grał. W podstawówce nie zasługiwałem nawet na to żeby zasiąść na ławce rezerwowych. Musiałem kupować bilet, jak wszyscy uczniowie przeciętnego wzrostu. - Popatrzył na Ninę. - Mam nadzieję, że to ci nie zniechęca - zażartował. - Nie każdy może być

sportowcem. Do mnie pasuje raczej miano mola książki kowego.

- I bardzo dobrze - parsknęła. Charles znów się zwrócił do Danny'ego.

- Nie martw się, przez ten weekend nie stracisz kondycji. Kosz mojego syna wciąż wisi nad drzwiami; garażu i gdzieś powinna być piłka.

- Super! - odparł chłopiec. Pożerał wzrokiem mijające pomniki.

- To bardzo miło z twojej strony, Charles - odezwiała się Nina. - Ale Danny nie przybył tu na trening. Chcieliśmy trochę pozwiedzać... i spotkać się z tobą.

- O, właśnie - wtrącił Danny. - Chciałbym zobaczyć pomnik Waszyngtona.

- Tam. - Charles wskazał przez okno. - Ledwo go widać na horyzoncie. To ta biała spiczasta kreska. Chłopiec wytrzeszczył oczy. - A nie mogę z bliska?

- Dlaczego cię tak ciekawi? Pominąwszy kwestię, że był to pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych... Charles był przekonany, że zaraz usłyszy anegdotę o drzewie wiśniowym. Lecz Danny go zaskoczył. - Musiał być niezłym atletą - powiedział. - Skąd wiesz? - zdumiała się Nina.

172

- Przed chwilą mijaliśmy Potomac, prawda? Potrafiłabyś rzucić srebrnym dolarem na drugą stronę? Dorośli uśmiechnęli się do siebie. - Masz rację - powiedziała Nina. - Nigdy nie myślałam o nim w ten sposób. Masz całkowitą rację. Waszyngton wiosenną porą wyglądał wspaniale. Kwitły nie tylko wiśnie. Całe miasto tonęło w kwiatach. Zachodzące słońce sprawiało, że pomniki promieniowały magicznym światłem, a budynki stawały się ciepłe i kuszące. Stolica przypominała raczej ogromną rzeźbę niż metropolię. Charles zaproponował, że w sobotę wstaną bardzo wcześnie, bo, jak mówią słowa popularnej piosenki: "mamy jeszcze w życiu wiele do przeżycia". Danny - oczywiście - chciał przede wszystkim zobaczyć Biały Dom. Z szeroko rozwartymi oczami patrzył przez masywną kratę. - Pomyśl tylko - odezwał się Charles - może któregoś dnia wraz z żoną zaprosicie nas tam na kolację. - Nie ma mowy - sprzeciwił się chłopiec. - Jak to? - zapytała Nina z udawanym zdumieniem. - Nie chcesz być prezydentem? - Chcę, mamo. Ale nigdy nie będę żonaty. Charles powiódł ich brzegiem rzeki. Zachowywał się jak przewodnik.

- Danny... Zauważyłeś pewnie zasadniczą różnicę

między Waszyngtonem i Nowym Jorkiem. Główna część miasta została zaprojektowana przez jednego twórcę, francuskiego architekta nazwiskiem L'Enfant, który wbrew pozorom był całkiem dorosłym człowiekiem. Zo stał zatrudniony przez samego Waszyngtona. Nie tylko zbudował miasto, ale w zręczny sposób przekształcił je w swoiste muzeum bez murów.

173

- Nie ma tu takiej mieszanki jak w Nowym Jorku - dodała Nina.
- I jak ci się podoba, Danny? - serdecznie zapytał Charles.
- Super. Po prostu super, a Zostawili samochód przy Constitution Avenue i na piechotę poszli obejrzeć pomniki: Lincolna, Waszyng-| tona i Jeffersona. W porze lunchu byli już mocno zmęczeni, z wyjątkiem Charlesa, który zdawał się emanować niespożytą ilością energii. Mimo wszystko z radością przysiedli w pobliskiej kafejce, żeby zjeść hamburgera z frytkami. Nina poprzestała jedynie na sałatce.

Potem wybrali się do National Gallery. Padała z nóg, więc ochoczo zgodziła się na propozycję wcześniejszej kolacji w niewielkim lokalu w Georgetown. Charles był w znakomitym nastroju. W pewnej chwili z rozbawieniem zapytał Danny'ego, czy ma ochotę na kieliszek wina.

- Nie mogę - padła grzeczna odpowiedź. - Tre nuję.

Dotarli z powrotem za ledwie po dziewiątej, ale z wyraźną ulgą udali się na spoczynek.

Danny był już wystarczająco duży, by wiedzieć, co tatusiowie i mamusia czasami robią w nocy. Jeśli nawet wspomniany tatuś i mamusia nie są sobie poślubieni. Kiedy usłyszał rano, jak Nina się przekrada do "swojej" sypialni, miał ochotę zawołać: "Po co te ceregiele, mamó? Masz prawie dorosłego syna". Prawdę mówiąc, najbardziej go cieszył romans między Niną i Charlesem. Był szczęśliwy, bo Nina była też szczęśliwa. Następnego dnia, po późnym śniadaniu, ledwie mieli dość czasu, żeby na chwilę wpaść do Smithsonian Institute

174

i obejrzeć ciekawsze eksponaty, choćby takie jak mały i kruchy samolocik, na którym Charles Lindbergh po raz

pierwszy przeleciał przez Atlantyk. - Jejku, jest tak maleńki jak zabawka! Zbyt wcześnie przyszła pora pożegnania. Musieli porzucić samolot Lindbergha, żeby zdażyć na większy. Charles trzymał Ninę za rękę, a Danny promieniał ze szczęścia. Po odprawie Charles uściskał Ninę, nie bacząc na obecność Danny'ego. Jej to także nie przeszkadzało. Wreszcie, tak jak na powitanie, potrząsnął prawicą

chłopca. Nina szepnęła Charlesowi coś do ucha i dodała głośno:

- Dziękujemy za wspaniałą wizytę.

Uśmiechnął się. - To ja dziękuję. Trzeba to kiedyś powtórzyć. - O, tak! - zapewnił go Danny. - Już się nie mogę

doczekać! Dla Niny była to najwspanialsza chwila z całego pobytu

w Waszyngtonie. No, może druga najwspanialsza. Kilka tygodni później rozpoczęła się, jeszcze nieoficjalna, selekcja koszykarzy wśród uczniów szkoły Horace go Manna. Danny uwijał się pomiędzy juniorami i seniorami. Nagle zdał sobie sprawę, że przypatruje mu się żyłasty facet w średnim wieku, w podkoszulku, z gwizdkiem na szyi. Był to Will McCurdy, uniwersytecki trener koszykówki.

- Lulki-wałki - mruczał pod nosem. - Ten chłopak gra jak zawodowiec. Wysoki, a wciąż ma ruchy

dziecka... Wciągnął Danny'ego w przyjacielską rozmowę i zapoznał go z urokami akademickiego życia. - Czeka cię wspaniała sportowa przyszłość, Dań -

175

dodał po chwili. - Powiedz tacie, że któregoś pięknego dnia chciałbym z nim pogadać.

| Danny sposepniał, |

- Nie mam taty. |

McCurdy zafrasował się nieco swoim faux pas. Był przekonany, że ojciec chłopca nie żyje. ||

- Przepraszam - mruknął. - W takim razie może porozmawiam z mamą?

|

- Jasne. Powiem jej, żeby do pana zadzwoniła. ^ Nina w świetnym nastroju jechała na spotkanie. Nie spodziewała się złych wieści - przecież w gruncie rzeczy szło o koszykówkę.

- Pani Snyder... - zaczął McCurdy niemal konspiracyjnym szeptem. - Moim zdaniem Danny ma to w sobie. - Nie była pewna, co "to" miało znaczyć. Dalsze słowa trenera rozwiały jej wątpliwości. - Przede wszystkim jest naturalny - z zapalem ciągnął McCurdy. - Ma wspaniałe ruchy. Nie chcę, żeby pani wzięła mnie za rasistę, lecz to jedyny biały chłopiec, który porusza się jak czarny. - Przerwał na chwilę, aby sprawdzić, czy pani Snyder nadaża za jego tokiem myślenia. Potem odchrząknął i powiedział: - Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało natrętnie z mojej strony, ale za pani zgodą wziąłbym go na letni obóz treningowy, który prowadzę z trenerem Fordham, Samem Hodgesem. Danny byłby najmłodszy, ale da sobie radę, bo będą tam tylko rozgrzewki, treningi i pływanie. A on rzuca dużo lepiej niż inni chłopcy w tej szkole i jest szybszy od niejednego studenta.

Opinia McCurdy'ego sprawiła jej dużą przyjemność, a mimo to wahała się chwilę z odpowiedzią. - Zgodzę się, pod warunkiem że on też się zgodzi. Nie powinien niczego robić wbrew swej woli.

176

Przypomniała sobie, co niegdyś mówił Cy Temko. Boże, to pierwsze wakacje, na których nie będziemy

razem... - Ma pani całkowitą rację, pani Snyder - przyznał

trener. - Postawię jednak dolary przeciw pączkom, że wywinie kozła z radości, jak tylko się o tym dowie. Nina pożegnała się z nim i pojechała do śródmieścia na inne spotkanie. Z

nieutulonym bólem myślała o rozstaniu z synem - choćby na sześć tygodni. Ale chciała być dobrą matką (i po trochu ojcem), więc powiedziała o wszystkim Danny'emu. Fiknął koziołka z radości, tak

jak przewidział McCurdy. - Mogę pojechać, mam? Przecież wiesz, że tak

zaczynali najwięksi goście z NBA! Och... - pomyślała Nina. A jednak marzył o tym. Zatem

dobrze zrobiłam. Cholera. Mimo wszystko postanowiła zapytać go raz jeszcze. - Powiem ci prawdę, Danny. Chcieliśmy z Charlesem wynająć na cały miesiąc domek na przylądku.

Cień smutku przebiegł mu po twarzy. - To znaczy, że nie mogę? - Nie bądź śmieszny.

Zgodzę się na każdy twój pomysł, pod warunkiem że nie będą to skoki ze spadochronem.

Już tęsknię za tobą, ale co mogę zrobić, że dzieci dorastają? - Sama też muszę dorosnąć,

dokończyła w duchu. - Cieszę się, że się cieszysz - dodała głośno. - Dzięki, mam. Nie

złamiesz prawa, jeśli pojedziesz tylko z Charlesem. On jest w porządku. - I tak będę

tęsknić. - Przytuliła się do niego. - Och, mam... - mruknął. Mały chłopczyk Niny musiał

się pochylić, żeby pocałować matkę. W czerwcu znaleźli się na dworcu autobusowym Port

Authority. Danny na prośbę Niny obiecał, że będzie niej telefonował raz w tygodniu.

- Spróbuję, jeśli inni też będą dzwonić do domów - Może przyjadę cię odwiedzić?

- Proszę, nie... Rodzice na pewno tego nie robi. Tam jest inaczej niż w szkole.

Uściskał ją z wdzięcznością, a ona go pocałował

Potem odeszła. Czowała się bardzo samotna. Bardzo, bardi samotna.

Pogwałciła zwyczaje panujące na Manhattanie i pi< chotą wróciła do śródmieścia, do biura. Zamknęła drzw od gabinetu i natychmiast zadzwoniła do Charlesa.

Rozdział 27

Pewnego dnia Elliott obudził się z goryczą w ustach. Nawet radosna wieść o korzystnym rozruchu jego przedsiębiorstwa nie złagodziła melancholii. Jaja po benedyk-tyńsku, które od czterech lat zwykle jadał na śniadanie, nagle straciły smak. Był jak otępiały. Co się działo, do diabła? Zaniepokojony wsiadł do samochodu i pokonał pięć kilometrów dzielących go od budowy. Kiedy skręcił w bulwar Wilshire i zobaczył błyszczące wieże, skapane w magicznym świetle różowego poranka, już wiedział. Wielki plan dobiegał końca. Stary Król Kohl nieraz ostrzegał, że obaj - a zwłaszcza Elliott - przeżyją straszną depresję, gdy robotnicy wstawią ostatnie okno na ostatnim piętrze ostatniego z ukończonych budynków. Będzie już po budowie. Elliott czuł się teraz jak Aleksander Wielki, który - zgodnie z tym, co mówił nauczyciel historii - podbiwszy świat, usiadł i zapłakał, że już nie ma krain do zdobycia. Jakich gór teraz szukać? Oczywiście były inne miejsca - centrum

179

sklepowe w Santa Barbara i wieżowiec w Oceanside. ^ to nie to samo. Tutaj stworzył całe miasto. Tam, gd; kiedyś rosły chwasty wśród kamieni, teraz wznosiło się największe centrum komercyjne na zachód od Nowego Jorku. W pewien sposób dotarł na sam szczyt. Stajj wszystkie drogi wiodły wyłącznie w dół. I cóż z tego, ź| znajdzie więcej czasu na życie towarzyskie? |

Późnym popołudniem biegał zwykle z Wilshire do UCLA i z powrotem. Mijał wówczas roześmiane i tuląca się do siebie pary. Zazdrościł im. To było coś, czego niej mógł kupić za żadne pieniądze. Prawdę mówiąc, od dawna! popadł w lekką paranoję i podejrzewał, że wiele dziewcząt zabiegających o jego względy w rzeczywistości myśli wyłącznie o... majątku. Obronna postawa sprawdza się w futbolu, lecz nie daje udanych związków. Ile miemych| aktoreczek trafi jeszcze do jego łóżka? A ile prawdzi-| wych aktorek? Jak długo będzie grał wciąż tę samą rolę? | Wszystkie baby są postrzelone. Dosłownie wszystkie. Jeśli | już coś czytają, to najwyżej książeczki czekowe. Poza | tym czuł się zmęczony. Najzwyczajniej w świecie fizycz nie zmęczony. Syndrom wieku średniego? Przez chwilę miał ochotę zebrać wszystkie manele i wracać do Nowego Jorku.

Nie, tam był teren Konia... a Król miał już swoje lata i nie zjawiłby się tak nagle, by rządzić Kalifornią. Tu należało działać. Ale w jakiej dziedzinie? Ile mógł jeszcze zarobić? I tak był przecież obrzydliwie bogaty. Jak król Midas... ale nie frajer. Wszystko, czego dotknął, zamie niało się w złoto. Nawet jacht, który wybudował sobie na zamówienie, żeby pożeglować po

Morzu Śródziemnym... Stał sobie spokojnie w porcie Monte Carlo i czekał na kapitana. Nagle wpadł w oko jakiemuś Arabowi, który
180

MUSIAŁ go kupić. Elliott dla zgrywy wymienił niebo tyczną cenę. Arabski szejek w odpowiedzi poprosił go o numer konta. Nie dało się już wycofać. Jedyną pocięgą były poranne spacerki po "jego" mieście, kiedy promienie słońca delikatnie padały na ściany szklanych wieżowców. Czuł wtedy, że jest naprawdę wielki. Ostatnio coraz więcej rozmyślał o dzieciach. O własnych dzieciach. Nie wyobrażał sobie, aby po raz drugi mógł przeżyć koszmar z odległej przeszłości. Dojrzał i wiedział, czego mu potrzeba: partnerki, która by doceniła jego wysiłki i sukcesy. Która naprawdę by go pokochała... i bez ograniczeń mogła korzystać z jego konta. Ale jak miał ją znaleźć? Na pewno nie na balach i przyjęciach. Tam mógł poderwać każdą z dziewcząt - pannę, rozwódkę czy mężatkę. Był zbyt bogaty. Jedynym rozwiązaniem wydawała mu się podróż do Europy. Ciekawość, co stary świat ma do zaoferowania? Nowym boeingiem 747 przeleciał nad biegunem i wyładował w Londynie. Na lotnisku czekał szofer w limuzynie, przysłany z hotelu Dorchester. Limuzyna przemknęła wzdłuż centurii domów i znalazła się w sercu miasta określanego nazwą Londinium przez starożytnych Rzymian. Następnego dnia, z przewodnikiem, ruszył w pierwszy objazd. Wycieczka przeciągnęła się aż do wieczora. Wiadział, że pałac Buckingham, Tower, katedrę Świętego Pawła i British Museum. O zmierzchu już wszystko wiedział. Nie zaliczał się do ciemniaków. Anglia zaś była elegancka. Wszyscy tu mieli klasę. W tym bili go na głowę. - Jutro zwiedzimy jeszcze więcej - zapewnił go przewodnik.

181

Elliottowi jednak dość szybko się znudziła zabał w turystę. W połowie kolejnej wyprawy kazał się odwieźć z powrotem do hotelu. Z drugiej strony, nie był całkowitym gburem. Ze zwiastunkiem z Niną wyniósł zamiłowanie do opery i dramatów. Przeczytał w "Timesie", że tej nocy wspaniała włoski tenor Luciano Pavarotti zaśpiewa partię w Trucyście. Chciał to obejrzeć. Musiał. Zażądał w recepcji, żeby kupili mu bilety. Szczupły Anglik o ptasiej twarzy! uśmiechnął się pod wąsem, | - Och, panie Snyder... Wie pan zapewne, że to występ na cele dobroczynne. Wszystkie miejsca są wykupione! od tygodni. Każdy wprost pała chęcią, by posłuchać młodego pana Pavarottiego. | - Mógłby przynajmniej pan spróbować? - nalegał | Elliott. - Z doświadczenia wiem, że w teatrach aż do | ostatniej chwili mają przynajmniej jedno wolne krzesło. - Znacząco spojrzął na chudzielca. - Zapłacę więcej, jeśli to konieczne.

Recepcjonista zmarszczył brwi, skinął głową i zatelefonował do Opery. Amerykański idiota, myślał. Nie wie, że w Anglii "sprzedane" to sprzedane. Potem przeproszającym tonem odezwał się do kasjerki. - Dobry wieczór, dzwonię z hotelu Dorchester. O ile wiem, nie mają państwo już żadnych miejsc na dzisiejszy spektakl?

Skrzywił się, słuchając odpowiedzi. - No i co? - zagadnął Elliott. - Cóż, proszę pana... Jest możliwość... wykupienia całej łoży. Ale to chyba trochę drogo... Snyder w lot pochwycił tę okazję. - Biorę.

182

- To dwa tysiące pięćset funtów! - Jeśli stamtąd coś widać i słyszać, to biorę. Odwrócił się, żeby pójść do pokoju. Recepcjonista zawołał za nim: - Obowiązują stroje wieczorowe! Czy mam załatwić panu... - Nie trzeba. - Elliott zbył go lekceważącym ruchem ręki. - Byłem na to przygotowany. Chociaż wystąpił w drogim, szytym na miarę przyodziewku i zajechał przed gmach Opery srebrzystym rolls-royce'em, na widok eleganckiej śmietanki Londynu poczuł się jak w drelichu. Pokazał bilet portierowi w bogatym uniformie. Ten przestudiował go dokładnie i wezwał pomocnika, żeby w mig odprowadził gościa do właściwej łoży. Weszli po cudownie kręconych schodach. Elliott za trzymał się na chwilę przy bufecie i zamówił szampana. W łoży zastał pięć pustych foteli. Kiedy przygasły światła i przycichł gwar na widowni, skrzyknęły drzwi. Zdawało mu się, że doznał nagłej wizji. Spozregł wysoką, szczupłą blondynkę... bardzo zakłopotaną. - Przepraszam - wyjąkała. - Po południu powie dziano mi, że te miejsca są wolne. Przykro mi, że prze szkadzam... - Ależ skądże - szepnął. - Jak pani widzi, mam cztery wolne fotele. Proszę się do mnie przyłączyć. Wstał i uklonił się. Mój Boże, myślał, żadna muzyka dzisiaj nie zabrzmie piękniej niż głos tej dziewczyny. - To... bardzo miło z pana strony - powiedziała nieśmiało. - Drobiazg - odparł. Jeżeli śnię, przemknęło mu przez głowę, to nigdy nie chcę się obudzić.

183

W tej samej chwili widownia zaczęła klaskać. Wssa dyrygent George Solti. Elliott jednak znalazł inny ob| zainteresowania. Prawie nie słyszał orkiestry, zaprzętał własnymi myślami. Nie mógł się skupić. Wciąż zastali wiał się, co w chwili przerwy powiedzieć boginice siedli cej obok niego. Wreszcie wybrał banalne, lecz odpowil| nie rozwiązanie.

- Cudownie śpiewa, prawda? - mruknał.

- Nie sądzi pan, że to najwspanialszy z żyjąc) tenorów? - zapytała.

Pozwolił sobie na mały dowcip. ^ - Na pewno jest dużo lepszy od tych, co już nie żyjj

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i zadała następne p tanie:

- W czym pan go już słyszał? Dzięki Bogu za lata spędzone w Hollywood, pomyśl Elliott. Przynajmniej nauczyły mnie, jak porządnie kłama - A pani? - wykonał zręczny unik. Zaczęła wyliczać na palcach. >a

- Widziałam go, jak śpiewał partię Rudolfa w Cyga-l

•^

nerii, Radamesa w Aidzie... niestety nie oglądałam go w OtelM

- Ja także - westchnął Elliott i dodał: - A może wybierzemy się razem?

- Jeśli wystawią tu tę operę - powiedziała ze smutkiem.

W tej samej chwili kelner przyniósł szampana. Elliot-towi przyszło do głowy, że być może dziewczyna jest

londyńską gejszą, dodawaną przez zarząd Opery do najdroższych biletów.

- Nie spodziewałam się, że dziś wieczorem spotkam kogoś takiego - odezwała się lekkim tonem. - Na
184

przedstawienia dobroczynne przychodzą głównie filantropi, a ci są... dużo starsi. - Nagle zmieniła temat. - Gdzie pan konkretnie mieszka w Ameryce? - A skąd pani wie, że przyjechałem właśnie z Ameryki? - A skąd pan wie, że jestem rodowitą Angielką? - Uniosła kieliszek. - Na zdrowie i jeszcze raz dziękuję. Zabrzmiął dzwonek na drugi akt (zbyt szybko!), więc Elliott postanowił poruszyć jedną z ważniejszych kwestii: - Nawiasem mówiąc, jeszcze się nie znamy. Jestem Elliott.

- Yictoria. - Zatem, Vicky... Po drugim akcie znowu zapraszam na szampana. Dasz się skusić? Uśmiechnęła się olśniewająco. - Dobrego nigdy nie za wiele. - Gdy zgasły światła, spytała delikatnie: - Kto chciałby tyle wydać na samotny wieczór w pięcioosobowej łoży? - Człowiek, który aż do dzisiaj nie miał przyjaciół w Londynie. Jak przez mgłę zapamiętał drugi akt opery. Nawet podczas ostatniej sceny, z bohaterką na łożu śmierci, myślał wyłącznie o tym, jak tu wyjść pod rękę z siedzącym obok aniołem. Czym mógłby ją zaciekawić? Przecież prawdziwa miłośniczka opery nie zechce słuchać o ceglach, zaprawie, fundamentach ani nawet o architektach. Co poradziłaby mu teraz Annę Landers? Może mógłby do niej zadzwonić, do Ameryki, z męskiej toalety? I gdy tak łamał sobie głowę, na scenie działy się tragiczne rzeczy. Yioletta zaśpiewała ań o tym, że strasz nie jest umierać młodo. Pavarotti wszedł, aby ją uściskać,

185

i skoła w jego zgarbionych z rozpacz ramionac,, Elliott wyraźnie słyszał, że Yictoria pociąga nosem, lecj nie widział jej twarzy, bo odwróciła głowę. Wszystka stało się jasne po zapaleniu świateł. Łzy płynęły jej po:, policzkach, rozmazując makijaż. Roześmiała się z za-| kłopotaniem.

- Przepraszam, ale ta scena zawsze mnie rozkleja. W głębi serca wciąż jestem sentymentalną nastolatką. - Nieprawda - zaprzeczył Elliott. Z uczuciem poło-1| żył rękę na jej dłoni. - Wyrosła z ciebie piękna i wrażliwa |J| dziewczyna. Przyznaję, że dwa razy i mnie się zaszklily oczy. - A potem ruszył do ataku. - Jak to się stało, że przyszłaś do Opery sama? Wskazała na elegancki tłum, powoli zmierzający w stronę wyjścia.

- To przez nich. Tak się składa, że organizuję akcje dobroczynne.
- Dziś jesteś już po służbie? - upewniał się. - Tak, dzięki Bogu. Jutro mogę się wyspać.
- To znaczy, że namówię cię na drinka w uroczej kawiarence po drugiej stronie ulicy?
- Ale tylko jednego - odpowiedziała. - Jestem samochodem.

Pomału zeszli po szerokich schodach. Elliott ze wstydem zauważył, że przewyższa wzrostem Victorię tylko wówczas, gdy stał na wyższym stopniu. Spostrzegła to? Bez wątpienia. Ale co pomyślała? Tego jeszcze nie wiedział. Kiedy już więc zasiedli przy błękitnym stoliku u Ber-torellego, na wprost gmachu Opery, Elliott zapytał z patosem:

- Co dla pani, madame^ 186

- Raczej mademoiselle, jeśli już o to chodzi. Zostanę przy szampanie. Jak mówiłam, dobrego nigdy za wiele. Elliott skinął na kelnera, który uklonił się i odszedł. Rozmowa potoczyła się wartko i z każdą chwilą wiedzieli o sobie więcej. Prolog Elliotta był krótki i słodki. Powiedział, że buduje domy w Kalifornii. - Ale to strasznie nudny temat do rozmowy - dodał. - Chyba nie. Budowa drapaczy chmur... to ekscytujące. Przynajmniej dużo przebywasz na świeżym powietrzu. A ja? Całymi dniami przesiaduję w biurze. Sponsorzy myślą, że za te pieniądze w dzień i w nocy mają mnie na własność. Po pewnej chwili (zbyt krótkiej dla Elliotta) wstała.

- Musisz mi wybaczyć, że znikam tak prędko, ale jestem na nogach od bladego świtu i przez cały dzień doglądałam kochanych filantropów. Muszę się wyspać. Mam samochód, więc mogę cię gdzieś podzucić.

- Hotel Dorchester jest po drodze? - O tej porze w Londynie wszystko jest po drodze - zapewniła go. - A ja lubię i potrafię jeździć. Z przyjemnością pospieszył za nią na tyły Opery. Stało tam wiele drogich samochodów, lecz instynktownie wy czuł, że srebrzysty kabriolet jaguar jest własnością Victorii. Uśmiechnęła się. - Tak łatwo mnie rozgryźć? - Nie - odparł Elliott. - Po prostu mieszkam w Kalifornii. Mam to we krwi.

Wsiadł i pojechali. - Trochę muzyki? - zapytała, wyjmując kasetę ze schowka na rękawiczki.

187

- Dobry pomysł - odparł. Na miłość boską, trzymaj obie ręce na kierownicy! - krzyknął w myślach. ;

Zabrzmiała piosenka z najnowszego albumu Beatlesów Yellow Submarine.

- A to niespodzianka! - zdziwił się Elliott. - I przekonany, że włączysz Wagnera. Roześmiała się. Blond włosy zatańczyły na jej mionach.

- Kocham operę do północy. Potem liczą się Beatlesi lub Stonesi. Jaguar jak szalony przeliknął przez Park Lane i; kiem opon skręcił na podjazd wiodący do hotelu chester.

Elliott wysiadł powoli. Ostrożnie zadał ostatnie i ważniejsze pytanie:

- Jak w przyszłości mógłbym cię znaleźć? - Dam ci moją wizytówkę. - Sięgnęła do małej torbki. Elliott odruchowo schował kartonik do kieszeni. Koniec idylli.

- Dzięki za podwiezienie... i za towarzystwo.

- Przejazdzka to małe piwo. A wieczór był uroczy. Raz jeszcze dziękuję.

W mgnieniu oka wtopiła się w mrok nocy. Elliott pomału wszedł do hotelu i dopiero teraz spojrzął na wizytówkę.

Przeczytał:

Lady Victoria Dunning Brewster Hali Little Dunster Ascot, Surrey

188

Jezu, pomyślał. Spędziłem wieczór z żywą, prawdziwą arystokratką. W kraju nigdy w to nie uwierzą. Jednym słowem, był oczarowany. Nie tylko go pokochał od pierwszego wejrzenia, ale

na dodatek czuł podziw i uwielbienie bliskie religijnej ekstazie. Tym razem nie miał do czynienia z "króliczkiem" z Hollywood. Stał na progu wielkiego świata. Przyrzekł sobie w duchu, że ani trochę nie popuści, póki Victoria nie będzie jego żoną.

Rozdział 28

Victoria napomknęła, że zwykle wstaje o dziesiątej. Elliott zatelefonował do niej dziesięć po dziesiątej. Umówili się na lunch. Zaproponowała San Lorenzo na Beau-champ Place w luksusowej dzielnicy, zamieszkiwanej głównie przez "złotą młodzież" i "elegantów" z wyższej klasy. Takich jak ona sama.

- Mają tam lepszą włoską kuchnię niż we Włoszech - powiedziała.

Elliott oczywiście był gotów przyjąć każdą jej propozycję. Liczył na nagrodę.

Długo siedzieli w restauracji, zatopieni w przyjacielskiej rozmowie. Wypili niejedną, ale dwie butelki chianti ruffino (Riserva Ducale 1961) i napoczęli trzecią. Elliott nie zagłębiał się w szczegóły swojego małżeństwa ("Była kobietą interesu, a ja tylko marnym wieśniakiem").

- A ty, lady Victorio? - spytał. - Tak przy okazji... kto jest "lordem"? Wciąż żyje?

- Jak najbardziej - odparła wesoło. - To po prostu 190 mój tato. Jest księciem. Dokładniej mówiąc, księciem Brompton. Tytuł lorda nosi mój brat, który bardziej sobie zasłużył na miano postrzeleńca. Jeszcze długo nie przejmie apanaży taty.

- A ty masz tytuł "lady" jako najstarsza córka?

- Nie. To przywilej wszystkich córek księcia. Ja jestem najmłodsza. Mój Boże... - cicho westchnął Elliott. Trafiłem na żyłę złota. Już widzę zawiadomienie na łamach niedziel nego wydania "New York Timesa"... Victoria piła wino jak wodę, bez żadnych widocznych skutków. Podchmielony Elliott nabrał większej

odwagi. - Dlaczego do tej pory nie wzięłaś sobie za męża jakiegoś arystokraty? - zapytał. Śmiała się niemal bez przerwy. - Masz zabawne podejście do wielu zwykłych rzeczy.

Przecież to wszystko bzdury. Jak powiada mój tato: "Nie każdy książę jest szlachcicem i nie każdy szlachetny człowiek - księciem". Albo coś w tym rodzaju. Rozu miesz mnie? -

Gestykulowała zawzięcie. Chyba wino

zaczęło wreszcie działać. Elliott był zachwycony. Co za cudowne poczucie hu moru... - myślał. - Twoje siostry są zamężne? - Owszem. Obie wyszły za palantów z tytułami,

k którzy - ku niezadowoleniu taty - nigdy dotąd nie zhańbili się żadną pracą. Mnie traktują jak gówniarę. - Przerwała na chwilę, a potem dodała z ironią: - Ale dwa razy byłam zaręczona, jeżeli to się liczy.

- I nie wyszłaś za mąż? - Nie. To całkiem proste. Przypadek obopólnej nie-

191

chęci. Nie lubiłam pierwszego z narzeczonych, a drugi mnie nie lubił.

- Idiota. Jak mogłaś mu się nie podobać? Zupełni wariat, t,

- Być może - zachichotała. - Wolę jednak myśleć że miał swoje powody. Ty też możesz się zniechęcić. Talfej dobrze mnie jeszcze nie znasz. ;i|

Jezu, pomyślał Elliott. Powiedziała "jeszcze". Chce| mnie widywać. |

- A co Jego Książęca Wysokość robi na co dzień? - zapytał śmiało. ;
- Przewodniczy przeróżnym fundacjom charytatywnym. Kiedy zaś jest w Londynie, chadza do Izby Lordów, głównie po to, żeby zjeść obiad w towarzystwie znajomych.
- Ty jednak pracujesz. To wspaniale. Długo się stałaś o obecną posadę?
- Nie - przyznała z uśmiechem. - Mam swoje walory, lecz tato przypadkowo zasiada w zarządzie Opery. Poza tym mi nie płacą. A z doświadczenia wiem, że ochotnicy harują dużo ciężiej od pracowników etatowych. - Gdzie, jeśli wolno spytać, stoi rodowy zamek? - To nie żaden zamek, tylko nasz dom w Surrey. Jeśli masz odrobinę czasu, to przyjedź w ten weekend. Sam go zobaczysz. - Kręciło jej się w głowie, lecz każde zdanie wymawiała z nienaganną dykcją. - W przyszłym tygodniu na naszym torze urządzamy gonitwę kucyków. Możesz zostać przez kilka dni. Spodobają ci się moi znajomi, przyjęcia, a nawet konie. W Brewster Hali jest dużo miejsca. Moi rodzice także będą zadowoleni. - Elliott błysnął oczami i mocno się powstrzymał, żeby nie krzyknąć "Hurra!". Nie znajdował lepszego
192

słowa. - Musisz tylko się przebrać - ciągnęła. - Obowiązkowy zestaw: szary cylinder, żakiet i reszta dodatków. Pewnie coś znajdziemy w garderobie brata, z czasów jego młodości. Na pewno będzie pasować. - Nie, nie! - zawołał Elliott. Szumiało mu w uszach nie tylko od wina. - Nic z tych rzeczy. Wszystko kupię.

Może nawet teraz? - Teraz? - powtórzyła. - Oboje jesteśmy zbyt pijani, aby usiąść za kierownicą. Chodźmy więc na zakupy, to trochę wytrzeźwiejemy. - Czemu nie? - mruknęła, rozkosznie sepleniąc.

Wyszli chwiejnym krokiem, zatrzymali taksówkę i po jechali kupić książęcy przyodziewek dla bohatera baśni. Tak przynajmniej zdawało się Elliottowi. Pieniądze dają bardzo wiele. Yictoria zabrała go do najdroższego krawca na Jermyn Street, tam, gdzie nie brakowało eleganckich salonów z męskimi ubraniami. - Ubiera księcia Karola - krótko uzasadniła swój wybór. Elliottowi to wystarczyło, lecz mistrz igły oświadczył, że na zamówienie trzeba poczekać tydzień - w najlepszym wypadku. Praktyczny Elliott od razu poprosił właściciela, wziął go pod rękę, odprowadził na bok i szepnął: - Wszystko ma być gotowe w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Zapłacę pięć tysięcy funtów... gotówką.

Starszy pan pomyślał chwilę. - Jak pan sobie życzy. Proszę przyjść jutro do pierwszej przymiarki - odpowiedział sucho, z typowo angielską flegmą. Poszli na Saville Row. Elliott odruchowo objął Yictorię

w pasie. Nie uciekła - co więcej, także go objęła.

193

- A co noszą damy? Chcę ci też coś kupić. - Nie uda ci się - odparła, wciąż trochę wstawa. - Pomożesz mi wybierać, ale nie zapłacisz. - Dlaczego?

- Bo ze względu na moją pracę projektanci mody dają mi najnowsze wzory. Taki rodzaj ukrytej reklamy

- Robią na tym dobry interes. - Elliott wyszczerzył zęby. Też jeszcze nie wytrzeźwiał.

H

W Londynie przemawia pieniądź, chociaż z angielskim akcentem. Żakiet był gotowy w wyznaczonym terminie^

Elliott miał w ręku wszystkie atuty potrzebne do dalszej kampanii,
f

Książę wyglądał jak z karykatury narysowanej dla "New Yorkera". Wielki i hałaśliwy, jowialny i dystyn-f gowany. A więc to tak wyglądają angielskie wyższe sfery, i myślał Elliott. Ojciec Victorii był nawet zabawny. Prezen tował się znakomicie w zielonej tweedowej marynarce ze skórzanymi naszywkami. Oczywiście palił fajkę. Księżna ani trochę nie pasowała na matkę tak uroczej córki. Co będzie, jeśli Victoria pójdzie na starość w jej ślady? - zastanawiał się Elliott. Na szczęście do tego czasu cze kało ich co najmniej czterdzieści lat pożycia. Księżna odzywała się monosylabami. Broń Boże, nie dlatego, że brakło jej wychowania - po prostu strasznie się jąkała: "C-c-cudownie. P-p-pięknie".

I na tyle się zdały amerykańskie filmy. W Hollywood w głównych rolach wystąpili David Niven i Vivien Leigh.

Brewster Hali było przestronne i puste. Sufit majaczył gdzieś na wysokości co najmniej sześciu metrów i nie odkurzano go w kątach przez kilka ładnych stuleci. W pokój ach stało mnóstwo antyków - lub choćby starych

194

mebli - lecz brakowało służby, z wyjątkiem pani Norris, pichcącej kolacje. Raz na parę dni przychodziła jej córka, żeby trochę przetrzepać kurze. W innych okolicznościach Elliott byłby znudzony tą starą elegancją. Powtarzał sobie jednak, że tak naprawdę żyją angielscy arystokraci. Oglądał portrety przodków księcia Brompton, sięgające w głąb dziejów aż do bitwy pod Agincourt. Do kolacji - o czym nie omieszkała uprzedzić go Victoria - obowiązywał strój wieczorowy. Niestety większość potraw też była muzealna. Mdma zupa, zmęczone jarzyny i danie główne, które w studenckiej gwarze nosiło nazwę "wielkiej tajemnicy". Deser, czyli "pudding", składał się z ciasta pieczonego przez panią Norris. Z zakalcem

w każdym plasterku. Później książę wdał się w dysputę z gościem córki. Najpierw opowiedział o swojej dawnej pracy "w koloniach". Z zainteresowaniem też słuchał wywodów Elliotta, który bez cienia wstydu (przecież w końcu budowa jest też rodzajem "wymiany") opisywał początki i rozwój

Century City. - Fascynująca sprawa - wzdychał arystokrata. Szyb ko spoglądał na córkę, uśmiechał się i zdawkowo kiwał głową, jakby z przyzwoleniem. - Uprawia pan może hippikę? - Nie - wymigał się Elliott. - Praktykuję zeń.

To wywołało wybuch śmiechu u całej rodziny. - Zabawny z pana młodzieniec - zauważył książę. - B-b-b-bardzo - d-d-dodała księżna. Elliott był uszczęśliwiony rodzicielską pochwałą i uśmiechnął się do Victorii. Lubią mnie, pomyślał. Cie kawę, czy mąż lady też ma jakiś tytuł? Po kolacji zasiedli przy szklaneczce brandy i likieru na

195

obszernym tarasie. Nieoficjalny konkurent dwoił się i 1 aby wyrzeć jak najlepsze wrażenie na rodzicach pani. Potem książę wygłosił niekończący się wykład o czyna swoich wielkich przodków. Podróż przez stulecia nie b; zbyt zajmująca. Elliotta w końcu znużyło ciągle kiwaa głową i niemal zasnął. A stary książę miał dużo więcej < powiedzenia.

^

- Nie tylko w moich żyłach płynie błękitna krew w tej rodzinie. Przodek żony walczył pod Henrykiem w bitwie pod Agincourt. - Łaskawie powstrzymał się od litanii imion i dokonał królewskich antenatów księżnej. Wreszcie (wreszcie!) rodzice powiedzieli "dobranoc", Elliott i Yictoria zostali całkiem sami.

- Przepraszam, Eli - odezwała się cicho i zmęczonym ruchem opadła na kanapę. - Tato wygląda na nudziarza, lecz jak go lepiej poznasz, na pewno ci się spodoba. Chciałabym w życiu spotkać kogoś podobnego do niego.

Może mnie? - pomyślał Elliott. - Był czarujący. Właśnie tak sobie wyobrażałem prawdziwego angielskiego dżentelmena - zwrócił się do niej.

Prawiąc jej komplementy, przysiadł na brzegu kanapy i zaczął się z wolna przysuwać. Wystarczy mi odważyć? - zapytał sam siebie. Nie ma mowy, to zbyt ryzykowne. Jednakże Eros zmienił tę decyzję. Do dzieła! Nie pamiętał, jak i kiedy padli sobie w objęcia. Zaś stanowiąc się, czy powinien zaciągnąć ją na górę. Chyba wyczuła jego wahanie, bo w mig rozwiązała problem.

- Tylko nie do mnie - zamruczała jak kotka. - Do ciebie. To tuż nad nami.

Nie musiała go dłużej namawiać. Na palcach weszli po 196 schodach. Elliott wciąż nie był pewny, czy to senne marzenie, czy rozkoszne szaleństwo, czy - spraw Boże! - rzecz dzieje się naprawdę. Z zapartym tchem czekał w swojej sypialni, szczęśliwy i przerażony. Niepotrzebnie. W nocnej koszuli Yictoria przybrała postać bogini... a wyglądała jeszcze piękniej, gdy po chwili ją zdjęła. Niestety, żeby zachować pozory moralności, musiała uciec tuż przed świtem. Mimo to Elliott wciąż czuł jej obecność, zapach perfum i jedwabisty dotyk skóry. Dobry Boże, rozmyślał, i z tym chęć się równać hollywoodzkie pipeczki? Leżał, chory z miłości, i ciągle się zastanawiał, czy żyje na jawie... czy w świecie fantazji. Co roku w czerwcu Anglia obchodzi trzy ważne wydarzenia: królewską gonitwę konną w Ascot, królewskie regaty w Henley i turniej wimbledoński - wszystko o rzut kamieniem od pałacu w Windsorze. Pierwsze regaty odbyły się w 1839 roku. Trwają trzy dni i gromadzą najlepszych wioślarzy, a na dodatek słyną z wyśmienitej kuchni. Wimbledon jest najmłodszy z trójki - rocznik 1877 - i ciągnie się dwa tygodnie, podczas których licznie zgromadzona publiczność podziwia sztukę tenisa. Anglicy uważają ten turniej za mistrzostwa świata. Szczyt szczytów. Ale prawdziwie królewskim rodowodem może pochwalić się wyłącznie Ascot. Historia czterodniowych wyścigów sięga 1768 roku. I do tej pory nie wiele się zmieniło. Nawet dzisiaj przybysz z osiemnastego wieku czułby się tam jak w domu. Swoista kombinacja gonitwy, pokazu mody, blichtru... i niezrównanego snobizmu. Panowie występują w strojach obowiązkowych: szary żakiet, do tego cylinder. Z daleka wyglądają jak wielkie stado pingwinów. Prawdziwą ozdobą zawodów są przede

197

wszystkim damy. Wydawać by się mogło, że zgoła uczestniczą w konkursie upierzenia. Innymi słowy która ma najwymyślniejszy, najbardziej zwariowana i NAJWIĘKSZY kapeluszek? Bez przesady, niektóre norki krycia głowy są doprawdy przedziwne. Każdy, kto jea kimś, i każdy, kto chce być kimś, zakreśla tę datę czernym ołówkiem w swoim notatniku. A i tak wszystkie! bije rodzina królewska, przyjeżdżająca codziennie, punktualnie o drugiej,

powozami zaprzężonymi w białe konie.] Elliott trafił do Krainy Czarów i choć na pozór zachował niewzruszony spokój, serce biło mu jak szalone pod kłapą nowego żakietu. Czuł się prawdziwie po królewsku. Wystarczyło mu, że w ogóle znalazł się wśród widzów. To s było jak noc Oscarów, rozdmuchana do dziesiątej potęgi. Zewsząd przepych. Arystokracja w pełnej gali i kilka koronowanych głów, przybyłych zza kanału. Do legendy przeszły wystawne bankiety, urządzone "l w połowie dnia w różnej wielkości namiotach. Dwa "oficjalne" trunki - szampan i pimm's cup - lały się strumieniami. Skala imprezy dawała się porównać jedynie z wysokością nagród dla czworonożnych zawodników, z których niejeden zarabiał dla swego właściciela milion dolarów dziennie. Sama królowa wystawiała wierzchowca w każdym wyścigu przez cztery dni. Umiała wygrywać. Elliott przy okazji odkrył, że ród księcia Brompton był starszy niż królewska dynastia (która dopiero w 1917 roku przyjęła nazwę Windsor).

* * *

Jakby z przekory, książę i księżna Brompton nie uczestniczyli w zakładach. Ze względów religijnych? Nie, uznał

198

Elliott, stary dżentelmen na pewno nie był pilnym wyznawcą nauk Kościoła. Aby zaimponować damie swego serca, lekką ręką postawił tysiąc funtów na niemal legendarnego Park Topa (przez cały tydzień czytał "Racing Post" i wiedział, że ten koń to murowany pewniak). Dodatkowo dzisiaj wierzchowiec szedł pod swoim ulubionym dżokejem, niemal legendarnym Lesterem Pig-

gottem. Park Top wygrał, Yictoria szalała ze szczęścia, a Elliott także był coraz bliżej wygranej. Jak otępiały dreptał krok w krok za księciem, mocno ściskając dłoń jego najmłodszej córki. Yictoria wyglądała bosko w najnowszej kreacji. Biegali tu i ówdzie, z namiotu do namiotu, a Elliot czuł się coraz bardziej szlachcicem. Powściągnął uśmiech i spytał swoją inamorata: - Twoi rodzice nigdy nie urządzają przyjęć? - Nie mogą - zawołała beztrąsko. - Żaden namiot

nie pomieściłby ich przyjaciół! Dawniej jej ojciec sam prowadził stajnię. Potem jednak, jak słodko wyjaśniła Yictoria: "uznał, że jest zbyt stary

na takie przyjemności". - A twoi bracia? Lubią wyścigi? - Och... - Wydęła usta. - Oni są do niczego. Ciągłe trzymała go za rękę, kiedy szli na następny

bankiet. Magiczny spektakl trwał codziennie, ale w piątek

pękło zaklęcie i szykowna publika zaczęła się rozcho dzić. Bromptonowie ciągle zwlekali.

Zostali prawie do

ostatka. - Tato wciąż dowcipkuje ze swymi kolegami z Izby

Lordów - wyjaśniła Yictoria. Tymczasem w Nowym Jorku królewski wspólnik El-

199

liotta, władca cementu, niepokoił się coraz bardziej. W[^] dzwoniał ciągle do Londynu.

^"

- Co się dzieje? Kto pilnuje interesów w Los Angeles? - pytał z troską w głosie. ył Elliott mógł wymyślić dziesiątki powodów, które jeszfl cze przez tydzień trzymałyby go w Londynie. Wiedziałl jednak, że to niemądre. Nie mógł rządzić Kalifornią§l siedząc po drugiej

stronie Atlantyku. Rozsądek podpól władał mu, że należy wracać. Ale romans z Victorią rozwijał się, w związku z czym pozostawał na miejscu. Zrobiło się za gorąco. Któraś strona musiała strzelić płomieniem. Grzeczność wymagała - a przez ostatnie dni Elliott nauczył się grzeczności - żeby pierwszy krok wykonał mężczyzna.

Pod koniec kolejnego weekendu w Brewster Hali ko chankowie wybrali się na długi spacer. Szli w milczeniu, ręka w rękę. Wreszcie Victoria nie wytrzymała. - To jeszcze nie koniec świata - zamruczała swoim zwyczajem i przysunęła się bliżej. - Przecież niedługo wrócisz, prawda?

-- Oczywiście, aniele - odparł bez przekonania. Ich rozmowa znowu utknęła w stadium "słodkiego zawieszania". A potem obnażył serce. - Kłopot w tym, że nie chcę wyjeżdżać. - Uśmiechnęła się. Jej oczy były pełne miłości. Nie potrzebowała nic mówić, aby wyrazić swoje myśli. Elliott zrozumiał to od razu. - Nie stety, muszę - westchnął. - Mam obowiązki. Może jest jakiś sposób... żebyś... to znaczy... żebyś pojechała ze mną?

- Nie - szepnęła. - Nie mogę. Nie podała żadnej przyczyny, ale wyczuł, że chociaż była na wskroś nowoczesną dziewczyną, należała do

200

tradycyjnej - by nie powiedzieć, staroświeckiej - rodziny. Nie wolno prosić córki księcia, aby zwyczajnie tak uciekła. Tego po prostu się nie robi. Gdzie zatem szukać rozwiązania? Elliott milczał przez chwilę. No, dalej! - popędzał się w myślach. Zbierz odwagę i zadaj jej to pytanie! - Yictorio... - zaczął nerwowo. - Żadne z nas nie jest już nastolatkiem. Przynajmniej ja. Byłem żonaty, a ty dwa razy prawie wyszłaś za mąż. Czy mogłabyś... zechciałabyś... Cholera, nie potrafię znaleźć odpowiedniego słowa! Delikatnym ruchem położyła mu dłoń na piersi.

- Nie musisz pytać - szepnęła. - Odpowiedź brzmi

* * *

Pobrali się tej wiosny. Pomimo głośnych protestów księcia, Elliott zapłacił "wpisowe" - wydał weselne przyjęcie na włościach Brewster Hali (żadna z potraw nie była przyrządzona przez panią Norris!). Chociaż raz namiot był tak obszerny, aby pomieścić wszystkich "przyjaciół domu". Królowa Elżbieta wprawdzie nie przybyła, ze względu na nadmiar innych obowiązków, lecz nadesłała życzenia dla młodej pary. Elliott prywatnym odrzutowcem zabrał oblubienicę do Goi - maleńkiego raj na południowo-zachodnim wybrzeżu Indii. Spędzili tam egzotyczny miesiąc miodowy. Dwa tygodnie czystej rozkoszy. Po przyjeździe do Kalifornii urządził jeszcze większą fetę - dla wszystkich Sławnych i Bogatych, którzy gorąco chcieli poznać jego młodą żonę. Zaczernie-

201

niony z dumy patrzył na zaproszenia, przygotowane wysłania.

Pan Elliott Snyder

serdecznie zaprasza na przyjęcie na cześć żony lady Yictorii Dunning, wydane z okazji ślubu Century Plaża, 17 listopada 1969 roku Kolacja o 20.00, zabawa do białego rana

Wszyscy byli zdania, że to największe wydarzenie roku. Od razu pokochali Victorię za jej urodę i jej akcent. Szybko wpadła w towarzystwo tak zwanych żon Hollywoodu.

Tymczasowo mieszkała z Elliottem w siermiężnej willi z basenem, ale już szukali przytulniejszego lokum. Zaraz po zaręczynach Elliott zadzwonił z Londynu do swoich kolegów z branży, prosząc, żeby znaleźli coś odpowiedniego. Niestety ideałów nie ma. Kupili w końcu ogromny, lecz zniszczony budynek, z działką o powierzchni hektara, pięćdziesiąt metrów od hotelu Bel Air. Wyglądał gorzej niż ugór, na którym stało Century City. Taka działka w Bel Air kosztuje cholernie drogo, lecz wreszcie mogli dać upust swojej wyobraźni. Yictoria zatrudniła najlepszych projektantów, żeby przebudowali wnętrza, a Elliott osobiście wybrał zespół murarzy do przeróbki fasady. Całe miasto wie działo - zwłaszcza "łowczynie głów" - że wszystkie wydatki Elliott Snyder mógł pokryć po prostu z kieszonek.

Na pierwszą noc w nowym domu rozbili biwak w jedynym wykończonym pokoju (kuchni jeszcze nie było - przyjechała z Włoch i utknęła w urzędzie celnym).

202

szeptął

Zaczęli od sypialni. - Yictorio, chcę mieć z tobą dziecko

Elliott. - Dziwisz moje pragnienia - odpowiedziała cicho.

- Więc dlaczego nie odstawisz pigułki? Popatrzyła na niego błyszczącymi oczyma. - Właśnie to zrobiłam - szepnęła.

Rozdział 29

Lato roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego wywarło ogromny wpływ na losy Niny i Danny'ego. Prawdę mówiąc, także na życie ich przyjaciela z Waszyngtonu. Nieobecność Danny'ego "wyzwoliła" dorosłych i dała im okazję do bliższej znajomości. W sferze uczuć nosi to nazwę "wóz lub przewóz". Pozostali na wozie.

Kiedy wrócili z wakacji do Waszyngtonu, w mieście wciąż było gorąco jak w hutniczym piecu. W tych warunkach ich miłość stała się twardsza niż stal. Pierwszy raz w życiu Nina miała mieszane uczucia, myśląc o przyjeździe Danny'ego. Ciągnęło ją w obie strony. Charles mieszkał w Waszyngtonie. Ona z kolei była związana z Nowym Jorkiem, poprzez pracę i szkołę syna. Nie chciała tego zaprzedać. Na razie więc musiała przyjąć najprostsze rozwiązanie - weekendowe spotkania w jednym bądź drugim mieście. Słaby kompromis. Tymczasem Danny szalał po boiskach Miejskiej Ligi Szkół Prywatnych i rzucał z każdej pozycji, wywracając

204

na opak wszelkie tabele rekordów. A jednak nowojorscy kibice i fachowcy wstrzymywali się od oceny. Młody Snyder nie zagrał przeciwko takim tuzom, jak choćby wspaniały Kareem Abdul Jabbar (alias Lew Al-cindor) i inni giganci ze szkół państwowych. Po prostu nie pasował do nich. Ten stan rzeczy trwał aż do Pucharu Achillesa w Madison Square Garden. Był to turniej zainicjowany przez Charlesa Rosenthala, producenta sprzętu sportowego i milionera. Graczy występujących w barwach Nowego Jorku rekrutowano ze szkół publicznych i prywatnych - to samo zresztą działo się w innych miastach leżących nad Atlantykiem, od Maine do Wirginii. Nikt, kto go wcześniej widział w drużynie Horacego Manna, nie był zaskoczony, że Dań Snyder jako jeden z pierwszych trafił do zespołu. Dziwniejsze było, że stał się JEDYNYM, który został wybrany z sektora prywatnego. Resztę dwunastoosobowego składu stanowili licealiści z Brooklynu. Zdumienie sięgnęło szczytu, kiedy trener Ali Stars,

Larry Lewis, wyznaczył Snydera do pierwszej piątki. To przekonało największych niedowiarków. Danny lubił wyzwania i od pierwszego gwizdka meczu pokazał, co potrafi. W pierwszej połowie Nowy Jork prowadził z Rhode Island różnicą osiemnastu punktów. Danny zdobył dwanaście - niemal tyle, co Kareem, chociaż tamten był lepszy w zbiórkach. Udowodnił, że może grać z największymi. Sam, mając ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, też nie zaliczał się do ułomków. Uczelniani łowcy talentów ślinili się na jego widok, a Charles i Nina zrywali gardła na równi z innymi rodzicami. Nowojorczycy zdobyli puchar. Skrzynka pocztowa Danny'ego pęczniała od lukratywnych ofert z każdego zakątka kraju. Był nawet uprzejmy list z Yale, w którym

205

wspominano o "obietujących akademickich możliwościach" młodego koszykarza. Danny tak naprawdę miał na koniec roku średnią cztery z plusem, ale to chyba niewiele obchodziło trenera Bulldogów.

Wybór szkoły stał się mozolną pracą. "Chłopak" mamy - bo jak go inaczej nazwać? - czyli Charles, godzinami dawał mu dobre rady. Zachował przy tym całkowitą skromność. "Jak wiesz, nie bardzo znam się na sporcie" - mawiał. Wspaniałą cechą charakteru "człowieka z Waszyngtonu" - a miał ich więcej - było to, że potrafił się szczerze cieszyć z osiągnięć Danny'ego. Nie zważał na to, że w rzeczywistości nie łączą ich więzy pokrewieństwa. Wystarczyło mu w zupełności, że Danny należał do Niny. Kochał go tak, jakby zupełnie zapomniał o dawnych "wpadkach" - by powtórzyć taktowne określenie, dość często używane przez jego eks-żonę.

Przez dwa lata Nina i Charles widywali się głównie w weekendy, darzyli się szczerym uczuciem i żadne z nich nie chciało zbyt mocno bujać łodzią. Można to ująć w inny sposób - oboje wciąż pamiętali poprzednie smutne doświadczenia. W ten sposób byli wolni, choć związani, i mniej podatni na psikusy losy.

W Nowym Jorku pozornie nic się nie zmieniało. Cieszyło to Ninę i Charlesa - i w pewnym sensie Danny'ego, który przygotowywał się do studiów. Wciąż dostawał dziesiątki propozycji z mniejszych i większych uczelni, oferujących mu "stypendium" wyższe niż pensje profesorów. Rozkoszował się każdym listem, bo gdzieś głęboko w pamięci czuł żal, pogrzebany na zawsze. Żal dziecka odepchniętego nie raz, lecz dwa razy: najpierw przez prawdziwych rodziców, a potem przez Elliotta. Słowa

206

zachwytu, które teraz słyszał, osłabiały tamto cierpienie. Ale go nie gasiły. I nigdy nie zgaszą.

Tymczasem, zgodnie ze zwyczajem, Nina wybrała się na doroczną wizytę kontrolną do swego internisty doktora Raipha Hirscha. Ten pobrał próbki krwi i moczu, a po pewnym czasie, zachwycając się jej "witalnością", stwierdził jednoznacznie, że jest zdrowa jak ryba - czyli tak, jak powinna być zdrowa przeciętna trzydziestoosmiolatka, a nawet kulturystka z Kalifornii. - Mam tylko jedno zastrzeżenie... - zawiesił głos. Nina poczuła zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Co to za zła wiadomość? Bardzo zła - gdyż w przeciwnym razie powiedziała by jej od razu. - Raif, mów prędko, bo dostanę zawału! - Niestety, nie wiem, czy to dla ciebie będzie dobra nowina - znów przerwał, aż wreszcie znalazł odpowiednie słowa: - Analiza moczu wskazuje... - kolejna pauza. Wreszcie uśmiechnął się. - Jesteś w

cięży! Ostępiała. - To niemożliwe. Myślałam, że już za późno. Mam prawie trzydzieści dziewięć lat. A to oznacza... - Mylisz się. Kobieta w twoim wieku jest równie płodna jak dwudziestolatka - odparł Raiph. - Ty zaś stanowisz prawdziwy okaz zdrowia. - Po chwili, z lekkim wahaniem, poruszył delikatniejszą sprawę. - Mogę ci zadać osobiste pytanie? Jeśli nie chcesz, to nie odpowiadaj.

207

- Raiph... Przecież jesteś lekarzem i właśnie mi po[^] wiedziałeś coś naprawdę wspaniałego. Pytaj o wszystko[^]Bi - Dlaczego z pierwszym mężem zdecydowałaś na adopcję?
1g1*

Nina przypatrywała mu się z lekkim zakłopotaniem. Wreszcie wyznała:

- Nie mówiłam o tym dotąd nikomu... Nawet Charlesowi. - Raiph skinął głową, jakby ją zapewniał, że wszystko, co usłyszy, zostanie między nimi. - Elliott i ja przez całe lata staraliśmy się o dziecko. Wreszcie poszliśmy do lekarza. To był doktor Leventhal z Bostonu. - Zniżyła głos i ciągnęła niemal z poczuciem winy: - Po pierwszych testach zadzwonił do mnie i kazał mi przyjść samej. Przekonałam Elliotta, aby wybrał się na zakupy, chociaż wcale nie musiał. Byłam pewna, że to właśnie we mnie tkwi przyczyna kłopotów, ale okazało się całkiem inaczej. W jego spermie było za mało plemników. Wiedziałam, że załamie się po takim ciosie. Nie przyszło mi to łatwo, lecz doktor Leventhal w końcu mnie zrozumiał. Ubłagałam go, żeby nie mówił prawdy. Elliott do dzisiaj nic nie wie. - Raiph chciał coś powie dzieć, ale przerwała mu, kiedy tylko otworzył usta. - Nic nie mów. Wiem, że teraz są różne sposoby. Ale to było prawie dwadzieścia lat temu, kiedy badania nad płodnością zaledwie się rozpoczęły. Elliott nie miał najmniejszej szansy, a ja go strasznie kochałam. Wzięłam winę na siebie... i wcale tego nie żałuję, bo żadna matka nie mogłaby wymarzyć sobie wspanialszego syna niż Danny. Ciekawa jestem, czy Elliott czegoś się domyślał? Nigdy nie okazywał zbyt wielu uczuć Danny'emu.

Lekarz słuchał w skupieniu, głęboko poruszony opowieścią pacjentki.

208

- Jesteś cudowna, Nino. A teraz czeka cię nagroda. - Ciągłe nie mogę uwierzyć - odparła, przykładając rękę do czoła. - Na progu czterdziestki jestem, jak to się mówi... "przy nadziei"? Uśmiechnął się. - Właśnie. Domyślałam się, że Charles także będzie uszczęśliwiony. - Mój Boże... - jęknęła, wciąż oszołomiona. - Raiph, muszę się napić! - O, nie! - zaprzeczył i w teatralny sposób pogroził jej palcem. - Zabraniam ci pić alkoholu przez następne dziewięć miesięcy. Idź do domu i podziel się swoją radością z Charlesem. Nina wyszła z gabinetu, mając wrażenie, że w magiczny sposób znalazła się na szczycie ośnieżonej góry i nie czując zimna, podziwiała wspaniałe widoki. Stawiała długie kroki, lecz gdy minęła dwie przecznice, ogarnęło ją nagle zwątpienie. Charles miał przecież czterdzieści siedem lat. Czy w tym wieku zechce zakopać się w pieluchy? A co powie Danny? Co czuje ona sama? Przynajmniej na to ostatnie pytanie знаła odpowiedź.

* * *

Przez chwilę myślała, że przerwano połączenie, bo w Waszyngtonie zapadła głucha cisza. - Jesteś tam, Charles? - zapytała, niezupełnie żartem. - Jestem, Nino - wykrztusił. - Trochę

mną tapnęło. Strasznie jestem szczęśliwy. - Na pewno? - Na pewno. Od chwili kiedy cię spotkałem, byłem

209

przekonany, że moje życie ulegnie całkowitej zmianie; przerwał. Potem dokończył śmiertelnie poważnym (

nem: - Jest jednak coś, czego będę stanowczo się i magał.

- Co takiego? - spytała. Nie miała pojęcia, o co i może chodzić. Hj

- Nie zostaniesz samotną matką. Jako prawnik
prawo żądać, aby nasze dziecko dorastało w legalnym związku. Wchodzisz do gry, Nino?

^

- Tak, Charles - westchnęła z ulgą. - Wchodzę.||

sin

Rozdział 30

Najłatwiej poszło im z weselem. A w zasadzie z dwoma skromnymi przyjęciami w dwóch miastach, w gronie najbliższych przyjaciół, choćby takich jak Maria Cartucci, wciąż niezamężna, lecz pełna wiary ("Nie mam zamiaru złapać byle jakiego faceta. Teraz się wszyscy rozwodzą, więc może kogoś znajdę"). Po ślubie w dalszym ciągu widywali się tylko w weekendy. W drugim trymestrze ciąży Niny Charles co tydzień jeździł do Nowego Jorku. A kiedy minął szósty miesiąc, stanęli przed pytaniem: Gdzie zamieszkają wraz z dzieckiem? Nina nie miała żadnych wątpliwości. Dostała coś, czego los jej odmawiał przez całe dorosłe życie. Nie zamierzała nawet o dziesięć procent pomniejszać swojego szczęścia. Złożyła wypowiedzenie w World Management Agency, z terminem trzydziestodniowym. Nikt z tego powodu nie płakał bardziej niż Cy Temko. - Na Boga, Nino, wiesz, co tracisz? Miałaś być prezesem. Widziałem w tobie następcę.

211

- Przykro mi, Cy. A może raczej pomyślisz o kogoś z własnych dzieci?

Milczał przez chwilę, a potem zamknął ją w uściśle - Strasznie się cieszę, Nino - mruknął.

- Do diabła z agencją. "

Dobrze chociaż, że nie odeszła pracować dla konkurencji, myślała reszta pracowników.

Że wybrała tak zwaną wcześniejszą emeryturę. Resztę tygodnia spędziła na porządkowaniu spraw swoich klientów. Każdego z nich przekazała na pewno w dobre ręce. Bachrach otrzymał dokładne instrukcje, jaki "opiekować się" Marshall'em Newmanem. Cy musiał jej obiecać, że nie będzie żadnych hucznych pożegnań. Zgodziła się jedynie wypić kieliszek szampana w jego gabinecie.

Ku zdumieniu obojga rodziców, Danny z wielką niecierpliwością wyczekiwał narodzin dziecka. W ostatnich tygodniach wakacji często się spotykał ze swoim dawnym kumplem Maxem, który już liczył dni do wyjazdu na studia do Stanford w Kalifornii.

- Dlaczego wybrałeś Stanford? - spytał Danny. - Przecież chcieli cię do Harvardu. - Szczerze? - mruknął Max. - A kiedy nie byliśmy ze sobą całkiem szczerzy? - Z tego, co wiem... Co wyczuwam, choć o tym nie mówiłeś, zamierzasz przyjąć propozycję UCLA. Jadę

zatem studiować na "zachodnim Harvardzie" i będę w każdą sobotę oglądał twoje mecze. Pod warunkiem że mi załatwisz darmowe bilety.

Danny był mocno wzruszony. Jego pierwszy przyjaciel wciąż pozostawał najlepszym.

I tak kolejny rok stał się kamieniem milowym w życiu

212

matki i syna. Danny szedł na uczelnię - jeszcze nie zdecydował gdzie, lecz wiedział, że to będzie "stypendium koszykarskie". A w której części Stanów Zjednoczonych?

Najkorzystniejsze propozycje przyszły z drugiego krańca kraju. Nie była to łatwa decyzja.

Wreszcie, w niezgodzie z nadziejami Niny, wybrał podróż na zachód. Jeśli mam zagrać w lidze uniwersyteckiej, to muszę zbratać się z najlepszymi, oznajmił. Ze zwycięzcami. A to

oznaczało tylko jedno - UCLA i wspaniałą drużynę wciąż prowadzoną przez króla trenerów, legendarnego Johna Woodena. Danny powiedział do Charlesa: - Wolę grać ławę u Woodena, niż być w pierwszej

piątce w Duke lub Karolinie Północnej. - A zatem koniec dyskusji - odparł Charles. Potem jednak porozmawiał z Niną. - Myślisz, że chce się ukryć przed całym zamieszaniem? Że nie chce konkurować z młodszą siostrą lub bratem? - Być może - odpowiedziała. - Ale z drugiej strony... marzył przecież o UCLA od chwili powrotu z pierwszego letniego obozu. Twierdził, że tylko tam dorastają, jak to określał, "najbardziej zapaleni" gracze. To nie wystarczy? A w dodatku jego przyjaciel Max studiuje w pobliskim Stanford. Moim zdaniem przyszłe rodzeństwo nie ma z tym nic wspólnego. - Przrzekam ci, że będziemy jeździć na mecze -

zapewnił ją Charles. - Z dzieckiem na rękę? - spytała z niedowierzaniem. - Nino - oznajmił kategorycznym tonem - jes teśmy rodziną. Dziecko będzie wciąż z nami, choćby na początku nie wiedziało jeszcze, jak dopingować brata.

213

':-j

':...!

Jego stanowczość i siła sprawiały, że Nina czuła się bezpieczna i kochana. Poza tym mówił sensowna Danny przebrnął przez długą życiową drogę. Teraz chciał sam spróbować, w zupełnie nowym miejscu

Choć z ciężkim sercem, to przecież nie mogła mu tego zabronić.

Nikt nie wątpił, że droga na UCLA jest dla niego otwarta. Średnią ocen miał niemal tak wysoką, jak procent udanych rzutów na meczach. Przyjęto go. Ba, sam trener Wooden powitał nowego gracza z szeroko rozwartymi

ramionami. Osobiście pogratulował mu wyboru i zapewnił go, że to strzał w dziesiątkę.

Danny był w domu (to znaczy kątem u Maxa), kiedy na świat przyszła jego siostra Catherine. Charles obudził całą rodzinę Rothsteinów, dzwoniąc do niego z dobrą wieścią. Chłopak cieszył się jak szalony i solennie obiecał,

że w najbliższy weekend przyleci do Waszyngtonu, by zobaczyć maleństwo.

To był cudowny moment. Pokochał ją od pierwszego wejrzenia, choć przez chwilę poczuł ukłucie zazdrości, że Catherine od początku zna swoich rodziców, którzy jej nigdy nie

opuszczą i będą ją zawsze kochać. Lecz to uczucie minęło, kiedy Nina dała mu potrzytać siostrzyczkę. Pożalował nawet, że z początkiem sierpnia musi wyjechać na miesięczny trening przed sezonem.

W Waszyngtonie panowało kolejne upalne lato, ale nikt z powiększonej rodziny Curtisów nie narzekał z tego powodu. Sprawił to cud narodzin (a tylko Nina wiedziała, że to największy z cudów). Danny zabrał ze sobą mnóstwo zdjęć Catherine, żeby powiesić je na ścianie pokoju w akademiku. Na pożegnanie wziął ją na ręce, mocno

214

przycisnął do siebie i coś zamruczał, choć nie był pewny, czy mała go rozumie. Opuścił dom z uśmiechem, lecz cierpiał w głębi serca.

Po wylądowaniu poczłapał w głąb długiego korytarza międzynarodowego portu lotniczego w Los Angeles. Na ramieniu niósł ciężką i wypchaną torbę, którą udało mu się zgłosić jako ręczny bagaż. Widział - albo przynajmniej tak mu się zdawało - kilka aktorek i aktorów. Rzecz jasna nie szli, lecz jechali małymi wózkami, przeznaczonymi w myśl przepisów wyłącznie do przewozu starców lub inwalidów. W tym mieście korzystali z nich także Sławni i Bogaci. Ot, choćby taki Burt Reynolds, który właśnie przybył kręcić następny film sensacyjny. Sunął pojazdem w tłumie pasażerów, w towarzystwie atrakcyjnej blondynki. Danny aż wybałuszył oczy na widok gwiazdora i jego nadmuchanej damy. Pytał sam siebie, jakimi piłkami przyjdzie mu grać w tej okolicy. Musiał przyznać, że lotnisko w Los Angeles to wrota do innego świata. Odebrał bagaż, wyszedł na ulicę i popatrzył na stojące przed nim limuzyny. Co jedna to dłuższa. W każdej z nich pomieściłby się tuzin pasażerów jadących do hotelu. Ale nie... Wielcy aktorzy potrzebowali wiele miejsca dla swojego ego. Wciąż się gapił, kiedy nagle usłyszał, że ktoś go woła. Mnie? - pomyślał. Przecież tu nikogo nie znam. Wszystko stało się jasne, gdy po chwili zobaczył Kareema Abdul Jabbara i jeszcze jednego sportowca. Podbiegli prosto do niego. Jabbar przybił z nim piątkę i chwycił go w ramiona.

215

- Dobrze cię widzieć, Kareem - zawołał Danny. - Cześć, Dań Tornado. Jak leci? -
- Całkiem dobrze. Cholernie się cieszę.
- Kawał czasu, nieprawdaż? - wesoło zapytał Kareem.
- Ostatni raz cię widziałem, jak oblewaliśmy puchar. Uciekłeś z czyjąś dziewczyną. Murzyn parsknął śmiechem.
- Może powiesz, że po wygranej wcale cię nie napastowały?
- Bez komentarzy - skłamał Danny. Nie chciał się przyznać, że na tym polu brak mu doświadczenia. Zwłaszcza przed tak znanym ogierem.
- Trochę się spóźniliśmy, stary. Przepraszamy. Korci się jak cholera i trzeba było jechać okrężną drogą. W podnieceniu Jabbar zapomniał przedstawić swojego towarzysza, ale Danny i tak poznał go od razu. Skip Norton, jeszcze jeden z "drużyny gwiazd". Niech mnie drzwi ścisną, pomyślał. Przysłali mi na powitanie dwóch największych gwiazdorów. Ale na tym nie koniec. Kareem miał dla niego wiadomość z samej góry.
- Trener Wooden przeprasza, że sam nie przyjechał, lecz ma jakieś pilne sprawy w szkole.
- A po chwili zadał najważniejsze pytanie: - Hej, Tornado, porzucasz z nami trochę? Trener powiedział, żeby cię nie cisnąć, bo po tak długim locie możesz być zmęczony.

- Ależ nie! - zapewnił go Danny. - Czuję się znakomicie. Tylko wrzucę walizki do akademika, roz pakuję się...

- Coś ty?! - zdumiał się Jabbar. - Od takich rzeczy jest menedżer. Nie mówili ci tego?

- No, tak, ale mam tam dresy i koszulkę... 216

- Posłuchaj, Dań - zaczął tłumaczyć jak małemu dziecku. - Cały sprzęt, koszulka i buty w twoim rozmiarze czekają w szafce. Menedżer Leo weźmie od ciebie klucze i zanieś bagaże do pokoju. - Zrobił efektowną pauzę. - Rozpakuj rzeczy i jak będziesz chciał, to nawet je wyprasuje. Danny zrozumiał wreszcie, że jest w koszykarskim raj. Martwił się tylko, czy nie skrewi. Przecież na dobrą sprawę mogli przysłać na lotnisko kóregoś z juniorów. Byłoby mu o wiele łatwiej. Z drugiej strony... cieszyło go, że nic przedtem nie wiedział - zwłaszcza o tym, że pierwszą próbę przejdzie tuż po przylocie. Czterdzieści minut później, ubrany w dres UCLA - chociaż na dworze było ponad trzydzieści stopni - stanął na boisku w słynnym Pauley Pavilion, najwspanialszej katedrze koszykówki w kraju. Kilku dragali ćwiczyło rzuty osobiste. Byli ogromni w każdym calu. Nawet ci, którzy w telewizji wyglądali na słabszych, mieli mięśnie ze stali i na pewno ostro walczyli pod koszem. W tej samej chwili podszedł do niego człowiek, w którym bez trudu rozpoznał trenera Woodena. - Witaj. Dziękuję, że jednak przyjechałeś. Kpił sobie? - Dlaczego miałbym nie przyjechać, trenerze? - Krążyły plotki, że na Florydzie chcą ci zaoferować wszystko, z wyjątkiem żony prezydenta. Bałem się, że cię przekupią. - Nie cofam raz danego słowa - powiedział Danny. - Tym bardziej się cieszę - odparł trener z uśmiechem i od razu przeszedł do rzeczy. - Pobiegaj trochę na rozgrzewkę, a potem stawaj na linii. Pokaż, na co cię stać. Pokaż, co potrafisz. I nie przejmuj się wzrostem

217

i sławą pozostałych. To całkiem normalni ludzie, tylko mają sprytnych agentów.

Skąd mnie zna aż tak dobrze? - zastanawiał się Danny. | Przeglądał moje wyniki? Jest się czym pochwalić... To| kawał zawodowstwa, jak na amatora, | Wooden chyba wyczuł rozterkę chłopaka, bo podszedł bliżej.

- Przede wszystkim zapomnij o tym, co o nich słyszałeś - powiedział cicho. - Wbij sobie do głowy, że

nie trafiłbyś tutaj, gdybyś był od nich gorszy. A teraz zmykaj. Dobrej zabawy.

Danny uśmiechnął się i potruchtał na pierwsze okrąże nie. Zanim przystąpił do rzutów, zupełnie pozbył się strachu. Na dwadzieścia prób trafił osiemnaście razy, czyli o wiele lepiej niż połowa pozostałych graczy. Po treningu

nowi koledzy zabrali go na pizzę. Gdzie słyszeli o jego upodobaniach?

- Hej, Dań! - zawołał Skip Norton. - Wiesz, że tu każą nam jeść pizzę przed meczami?

- No to wybrałem dobrą szkołę - roześmiał się Danny.

Na pierwszy prawdziwy sparing Wooden podzielił swoich podopiecznych na dwie drużyny: czerwonych i niebieskich. Kolory nie miały nic wspólnego z prawdziwymi umiejętnościami graczy. Danny, w niebieskiej koszulce, miał pilnować Skipa Nortona z czerwonych. A Norton przecież już dwukrotnie grał w zespole All-American... Danny tak się tym przejął, że poczuł nagłe

mdłości. Ale zaraz po gwizdku zapomniał o panice i znów stał się tygrysem.

W Nowym Jorku spotykał wielu twardych graczy, rozpychających się łokciami, by skoczyć do zbiórki.

218

Norton jednak bezwstydnie ciągle go faulował, nawet poza "trumną". Jeśli to potrwa dłużej, będę cały w siniakach, pomyślał Danny. Po dziesięciu minutach doczekał się nagrody. - Dobra robota, Snyder - pochwalił go trener. - Otrzymałeś znamię niezłego chuligana. W przyszłości też się nie dawaj Skipowi. - Popatrzył na drugiego z koszykarzy. - A ty, Norton, na drugi raz trochę się pohamuj. Na prawdziwym meczu od razu cię wyrzucą za takie zachowanie. - Przepraszam, trenerze - roześmiał się Skip. - Chciałem tylko poklepać nowego kolegę. - Ciepło zwrócił się do Danny'ego: - Nie gniewaj się. To przedsmak tego, co dostaniesz w sezonie. Następnym razem możesz mi oddać. Ale tylko do połowy meczu. Zgoda? - Zgoda. - Danny próbował się uśmiechnąć. Bolały go wszystkie żebra. Wiedział, że do wieczora będzie miał siniaki. Były już widoczne, gdy stanął pod prysznicem. - Są chwile, kiedy lepiej być czarnym, Danny. Ka-reema mogą faulować. Na nim nic nie widać. - Ha, ha... - ironicznie zaśmiał się olbrzymi środkowy.

Rozdział 31

Jak na ironię losu, w odległości zaledwie półtora kilo metra od sali treningowej, w której brylował Danny, borykał się z kłopotami jego były przybrany ojciec. Prawdę mówiąc, przeżywał kryzys. A tak zupełnie szczerze - totalną katastrofę.

W pierwszym roku pożycia szczęśliwa para nie do czekała się potomka. Cholera, myślał Elliott. Mam nadzieję, że nie będę musiał drugi raz przechodzić przez to samo. Dlaczego wciąż trafiam na kobiety z takimi problemami?

Victoria z ociąganiem zgodziła się na badania.

- Ty też pójdziesz - powiedziała smutno, z góry przewidując wynik.

- Vicky... Mówiłem ci miliony razy. Już mnie spraw dzali. Nic mi nie dolega - odparł niemal przeproszającym tonem.

Zapisał ją na serię testów w klinice UCLA, pod nadzorem szacownego ordynatora oddziału ginekologicznego i specjalisty w leczeniu bezpłodności doktora Mortimera

220

Shapiro. Pan doktor, jak sam stwierdził, przebadał Victorię "stąd do przyszłej środy" i oznajmił, że jest zupełnie zdrową dwudziestokilkuletnią kobietą, z każdą komórką i hormonem na przewidzianym miejscu. W piątek po południu zadzwonił do Snydera, przekazał mu tę wiadomość i zaczął go namawiać, żeby mimo wszystko przyszedł w poniedziałek i poddał kontroli swój własny organ reprodukcyjny. - Ale... - wahał się Elliott. - Dajże święty spokój! - ze złością warknęła Victoria. - Kluto mnie, oglądano i miętoszono na wszystkie strony, od dziobu do rufy, a ty nie możesz po prostu popracować ręką i strzyknąć do słoiczka?

Pozbądźmy się tych problemów! Nigdy dotąd nie widział jej tak rozgniewanej. Nie miał wyboru. Umówił się z lekarzem na poniedziałek, o jedenastej. Weekend minął im pod znakiem waśni. Victoria wciąż się dąsała, a Elliott siedział i myślał. Rozsądek podpowiadała mu, że wbrew statystyce trafił na DWIE bezpłodne żony. Lecz z drugiej strony, Victoria była podobno zdrowa. Czego się bał? Statystyki? W sobotę wieczór doszło do najgorszego. Victoria trzasnęła drzwiami, wsiadła do białego mercedesa 250sl i pojechała wzdłuż Stone

Canyon Road na Bulwar Zachodzącego Słońca i dalej. W pierwszej chwili Elliott poczuł nawet małą ulgę, że nie musi dłużej znosić jej humorów. Prawdę powiedziawszy, to co miał do ukrycia? Poprzedni egzamin zdał śpiewająco. Dlaczego teraz miało być inaczej? Przyszło mu do głowy, że może na budowie stanął kiedyś za blisko jakiejś maszyny i został napromieniowany. Zaraz jednak przestał uważać się nad sobą i z coraz większym niepokojem

221

jem myślał o Yictorii. Nie miała zwyczaju jeździć cieni(|
nocą do Hollywood lub - jeśli skręciła w prawo - dolj Malibu.

Zadzwoniła tuż przed północą.

- Nie wracam dzisiaj. Zobaczymy się rano, dob rze? - oznajmiła beznamiętnie.

- Dobrze - odparł, bo co miał powiedzieć.

Rzucił się i wiercił, rozmyślając, gdzie dziś śpi jego żona. Albo raczej - z kim.

Wróciła późnym rankiem i szybko zapadła w drzemkę. Też spędziła bezsenność, ale raczej nie z niepokoju. Kiedy już wstała, wzięła kąpiel i weszła do garderoby,

żeby wybrać suknię stosowną na niedzielę. Elliott spró bował wciągnąć ją do rozmowy.

- Mogę spytać, gdzie byłaś? - bąknął. Nie potrafił przemawiać tak stanowczym tonem jak mężowie na filmach. - Bawiłam się - rzuciła lakonicznie.

- Możesz mi powiedzieć, kim jest ten szczęśliwiec? - Gdybym chciała, tobym ci powiedziała. Nie wytrzymał dłużej.

- Do diabła, co się z tobą dzieje, Victorio? Skąd ta nagła oziębłość?

- Och... - zaszczebotała z drwiną. - "Oziębłość" to rzeczywiście dobre słowo. Gdy kobieta odkryje, że jej

drogi małżonek jest zwyczajnym oszustem, to wówczas można mówić tylko o oziębłości.

- Co to ma znaczyć?!

- Nie owijając w bawełnę... tylko się nie obraż... okłamywałeś mnie, mówiąc, że chcesz zostać ojcem.

- Vicky! Ile razy mam ci powtarzać, że na prośbę Niny...

Jak burza wypadła z garderoby, pobiegła do salonu

222

i przyniosła stamtąd wczorajszy numer "Los Angeles Times". Był otwarty na właściwej stronie.

- Aż dziw bierze, że sam tego nie przeczytałeś. Może nie lubisz Joyce Haber? Rzuciła mu gazetą w twarz. Elliott zerknął na tytuł: Nina czeka na nino i ziemia rozstała się pod nogami. Notka brzmiała:

" Superagentka WMA Nina Porter, postrzegana przez wszystkich jako następczyni Cyrusa Temko na fotelu preze sa, niespodziewanie dożyła swoją rezygnację. Nie będzie już więcej niańczyć aktorów i dramaturgów, ale u boku drugie go męża chce skupić się na wychowaniu kolejnego dziecka. Poród przewidywany jest na początek lata. Nina oświadczyła, że potrzeba jej więcej czasu, aby rzetelnie przygotować się na to ważne wydarzenie. Wiele gwiazd szczerze żałuje jej decyzji, bo była dla nich jak matka. Ja jednak składam jej najlepsze życzenia. Dobra robota, Nino!"

Elliott upuścił gazetę. - Nie... - mruknął otępiąły. Myśli kłębiły mu się w głowie. Nie mogła przecież ciągle kłamać. Nagle uświadomił sobie, co dlań zrobiła, i wyszeptał niemal

bezdźwięcznie: - Mogła. Pociemniało mu przed oczami. - I co? - spytała Yictoria. - To ty jesteś bezpłodny. Po co mnie było karmić bzdurami w rodzaju: "Uczynię cię matką"? Z kim? Z wariatem bez jaj? - To nie fair - zaprotestował słabo. - A kto mnie okłamywał? - Jeszcze nie byłem na badaniach - odparł. - Teraz już wiem, dlaczego tak się ociągałeś! - zaczęła krzyżeć. - Jeśli się dowiem, że to twoja wina,

223

zażądam rozwodu szybciej, niż zaśpiewasz Boże, chroi[^] królową
s f

Elliott, zupełnie rozbity, usiadł na kanapie i ukrył twarz w dłoniach. Wiedział, że pieniądze nic tu nie poradzą. Wiedział też, jakim wynikiem zakończą się badania. Chyba::: już dawniej coś wyczuwał, bo od dłuższego czasu pilnie czytał o postępkach prac w leczeniu bezpłodności. Teraz mogło mu się to przydać w kluczowym momencie życia. - Vicky, od tamtej pory medycyna poszła naprzód. Teraz potrafią różne rzeczy... Doktor Steptoe z Anglii dopracował do perfekcji technikę "iv". Milczała.

- Nie czytujesz nic poza magazynami mody? To znaczy zapłodnienie in vitro.

- Czyli dokładnie co? - Robią to w laboratorium. - Dostyc, mój słodki. Nie znajdę w ciążę na stole w la boratorium! - krzyknęła na całe gardło. Piekliła się coraz bardziej. Karmiła własną złością. Wreszcie wrzasnęła: - Dłużej nie będę żoną takiej gnidy! Dulcinea pomoże mi się spakować i za godzinę już mnie tu nie ma! - Zacerpnęła oddechu. - Przyślę do ciebie mojego adwokata. Elliott nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Kiedy wyszła, miotając gromy, pomyślał nagle: "Mojego adwokata"? To znaczy, że ma jakiegoś? Od razu zaczął się zastanawiać, gdzie wynająć własnego.

* * *

- Miło cię znowu widzieć, Elliott.

Alberto Hernandez uśmiechnął się szeroko. Uścisnęli sobie dłonie.

224

- Nie musisz mówić, z czym przychodzisz. Znam tylko jeden rodzaj prawa. Pomagam ludziom się ożenić i szczęśliwie rozstać... tak łagodnie i często, jak tylko sobie tego życzą. Elliott usiadł. - No właśnie - mruknął. Prawnik, z wrodzonym instynktem, wyczuł, że coś tu nie gra. - Mażeńskie kłopoty? - spytał, unosząc brwi. - Jesteś recydywistą, ciągłym winowajcą? - Dobrze się domyślasz, Alberto. Mam duże doświadczenie w tej kwestii - z gorzką ironią odparł Elliott. - Przejdę do sedna rzeczy. Popeliłem poważny błąd, żeniąc się z akcentem, nie z damą. - Ale tym razem poczyniłeś właściwe kroki prawne - upewnił się adwokat. Elliott z wyraźnym wstydem nisko pochylił głowę. - Nie... - ze zdumieniem wyszeptał Alberto. - Tylko mi nie mów, że nie spisaliście

żadnej intercyzy. - Nawet o tym nie pomyślałem - przeprasząc mruknął Elliott. - Sądziłem, że to na zawsze... - Poznaj doniosłą prawdę, mój drogi przyjacielu. W Kalifornii nikt nie zna słów "na zawsze". Dobry Boże, jeśli to cwana suka, to będzie cię drogo kosztować. - Jest cwana. Czemu się mogę spodziewać? - Stracisz połowę majątku - odparł Hernandez z de likatnością chirurga robiącego zabieg bez najmniejszego znieczulenia. - To nieuczciwe! - zaprotestował Elliott, jakby ktoś chciał go okraść. - Na litość boską, byliśmy ze sobą zaledwie półtora roku!

- Posłuchaj - z namaszczaniem powiedział Hernandez. - Może nie mamy w Kalifornii Kodeksu Napo* < leona, lecz sędziowie przyjmują zasadę: pół na pół. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale w tej sytuacji... bez inter- czyzy... o całe niebo lepiej być żoną.

Elliott potrząsnął głową z konsternacją. - Boże wszechmogący, wiesz, jaka to kwota?

- Nie wiem, dopóki mi nie powiesz. Ciesz się, że nie masz dzieci. A może masz?

- Nie - odparł przez zaciśnięte zęby. - Dzięki Bogu za małe przyjemności. Zapoznaj mnie

ze szczegółami, to zobaczę, czy zdołam ci załatwić jakąś "zniżkę".

Elliott wdał się w długą - a i tak zbyt krótką - opowieść.

- Jakie zarzuty może ci postawić? Zwyczajową nie zgodność charakterów? Terror psychiczny? Coś w tym rodzaju?

- Nie - odpowiedział ze wstydem. - Jestem bez płodny.

- O, cholera! - nie zdołał powstrzymać się Hernandez. - Skąd wiesz?

- Byłem na badaniach w UCLA. Nie ma najmniejszych wątpliwości.

- To jeszcze nie powód do rozwodu. - Jej prawnik na pewno coś znajdzie - padła gorzka odpowiedź. - Mam nadzieję, że uda się to załatwić bez rozprawy.

- To zależy, ile chcesz zapłacić - sucho zauważył prawnik. - Kto ją reprezentuje?

- Najlepszy i najdroższy w branży. Melvin Belli. Przesłał mi list dziś rano.

226

- Proszę, proszę... Sam lampart. Kasuje cię na tysiąc dolców, jak idzie się wysikać. Jak go znalazła? - Pewnie z pomocą jakiejś "dobrze rozwiedzionej"

przyjaciółki. - No, cóż, Elliott, musisz się zadowolić drugim

w branży - sarkastycznie westchnął Alberto. Elliott po raz pierwszy usłyszał w jego głosie

nutę obrazy. Potem przeszli do interesów. Alberto zbladł, gdy się dowiedział, że Yictoria

dostała od męża carte blanche - i otwarty rachunek na American Express i Visa. Dopiero

teraz zdał sobie sprawę ze zniszczeń, jakie już poczyniła. Kazał Elliottowi przynieść wszystkie

rozliczenia z kilku ostatnich miesięcy. - Nigdy ich nie sprawdzałem - przyznał winowajca. -

Wszelkie prywatne rozliczenia zostawiam asystentce. Co chcesz znaleźć? - Jeszcze nie

wiem. W takich wypadkach sprawdza się zalecenie cherchez le kochanek. Przy odrobinie

szczęś cię trafimy na jakiś drogi prezent dla kochasia. To ją powinno trochę zmiękczyć...

choć nie jest dowodem w rozumieniu prawa. Obejrzyjmy sobie te papierki. Rzeczywiście

znaleźli ślad wydatków Yictorii, lecz nie prowadził do niczego. Przynajmniej na pozór. Co

miesiąc, na każdą kartę, wypłacała co najmniej piętnaście tysięcy dolarów na "prezenty

wysyłane do Wielkiej Brytanii". - Piętnaście patyków! - żołądkował się Elliott. - W

zeszłym miesiącu dwadzieścia pięć - rzeczowo

sprostował adwokat. - To nie wyzysk? - Z tego, co wiem, nie ma na to paragrafów. Po

dobne zjawiska przybrały w Hollywood rozmiar epi demii.

227

'n

Elliott czuł się zgnębiony. Pieniądze najwyraźniej nie | szły do kochanka, lecz na zbytkowne podarki dla reszty | rodziny. W salonie księcia przydałyby się nowe meble. | Wystarczyło za nie zapłacić choćby kartą Amexu. Niej

miał siły już krzyczeć. Jęknął tylko, niczym obolała ofiara | wypadku.

- Wyrolowała mnie, Alberto...

- Witaj w klubie - powiedział prawnik z braterskim uśmiechem. - Wiesz, że kiedyś mnie to też spotkało?

Nawet dwukrotnie. "Lekarzu, lecz się sam", jak mądrze radzi święty Łukasz.

Mała pociecha z tego, że Alberto Hernandez nie był tak nieomylny, za jakiego uchodził. Elliott mimo wszystko obiecał, że sprawdzi każdy kwit i rachunek, zapłacony od dnia ślubu. Na koniec spotkania - które samo w sobie

kosztowało tysiąc dolarów za godzinę - Hernandez poczęstował go łyżeczką miodu.

- Pomyśl sobie, że po wszystkim i tak będziesz bogaty. Miałem klientów, którzy sprzedawali domy, z nadzieją, że zgromadzą przynajmniej tyle forsy, żeby wreszcie się pozbyć nadbagażu.

* * *

Elliott przede wszystkim zablokował karty kredytu we - obliczył sobie, że w ten sposób oszczędzi przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie, przyjmując, że Victoria zachowa "umiarkowanie" w swoich wydatkach. Potem już praktycznie nie miał nic do roboty. Mógł siedzieć i czekać, aż do niego - lub Hernandeza - przyjdzie oficjalny pozew.

Nie czekał długo. Victoria oskarżyła go o niezliczone

228

grzechy, włączywszy w to okrucieństwo psychiczne i fi zyczne (!), odpychające zachowanie i pogwałcenie wolności osobistej. To dużo więcej niż zwykła niezgodność charakterów.

Wspomniała nawet, że w jej obecności palił trawkę i że to sprawiło jej dodatkowe cierpienia (jak mogła tak się zachować, skoro sama podsuwała mu ha szysz?). Prawniki domagał się tymczasowego zadośćuczynienia w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów miesięcznie.

Elliott był już w takim stanie, że nawet tym się nie przejął. Hernandez zapewnił go na pocieszenie, że to jedynie pierwsza salwa, obliczona na wybadanie siły przeciwnika. W odpowiedniej chwili chciał wziąć na tapetę "dobre imię" Yictorii. Wskazywał na jaśniejsze strony całej sprawy. - Ciesz się, że nie wspomniała o nieszczęsnych wynikach twoich... badań. - A może o tym jeszcze wspomnieć? - Wątpię. Zapewne nie chce, by jej

arystokratyczna buźka pojawiła się na łamach takich szmatławców jak "Enquirer" i "Daily Star". Za to jestem zupełnie pewny, że nie pójdzie na żadną ugodę za mniej niż połowę majątku... wraz z domem. - Niech to szlag! - Plus, oczywiście, zwrot wszelkich kosztów prawnych - miękko dodał adwokat. Następnego dnia Hernandez pchnął posłańca z ofertą do prawnika Victorii, Melvina Bellego, z którym nota bene czasami grywał w golfa. Jakąś godzinę później usłyszał od sekretarki, że pan Belli czeka przy telefonie. - Ach... - westchnął z ulgą Alberto. - Nie umiał odmówić.

229

Usłyszał jednak o wiele dziwniejsze rzeczy.

Z twarzą szarą jak popiół odłożył słuchawkę i Kazaję sekretarce łączyć ze Snyderem.

)||

- Co się stało, Alberto? Co się stało? - trąkotall Elliottjak wystraszony karabin maszynowy. - Dlaczego mi nie powiesz tego przez telefon? ;|

Adwokat powtarzał z uporem, że nastąpił "zgoła nie-| oczekiwany zwrot biegu wypadków". 3

- Masz tu przyjść! - rozkazał tak stanowczo, że Elliott musiał usłuchać.

Zgnębiony i skołowany, łamiąc przepisy ruchu, w mig stawiał się w biurze.

- Na litość boską, Alberto! - krzyknął, zamykając drzwi. - Powiedz wreszcie, o co chodzi!

- Siadaj, mój drogi. To nie będzie łatwe. Elliott zamarł ze zgrozy. Co ta suka znów wymyśliła?

Nawet wyszczekany Hernandez przez chwilę nie potrafił znaleźć właściwego słowa.

- Zupełnie nie wiem, jak ci to powiedzieć - przepraszał, wyraźnie speszony. Wreszcie zebrał się na odwagę. - Do naszych propozycji dołożyła swoją. Masz jej płacić za... za opiekę nad dzieckiem.

Elliott był na krawędzi obłędu. Gdzie też znalazł tę księżniczkę Chciwą? Z rozpaczą przypomniał, że przecież jest bezpłodny. Adwokat skinął głową. - W co ona gra, Alberto?

- Na swój sposób zadałem to samo pytanie. Chciałem wiedzieć, o jakim dziecku mowa, nic nie wspominając o twojej przypadłości. Powiedzieli mi - teraz bądź go tów - że Yictoria od trzech miesięcy jest w ciąży.

Ponieważ wtedy jeszcze byliście ze sobą, oficjalnie stałeś się ojcem.

230

W Elliotta jakby grom strzelił. - Niemożliwe! Znalazła sobie gacha! - Wiem. Ty też wiesz - odparł Hernandez. - Ale sędzia w to nie uwierzy. Prawo jest po jej stronie... i kalendarz również. - Szlag by trafił! - Nie bądź naiwny, przyjacielu. Niczego nie spostrzegłeś w czasie waszego związku? - Nie - burknął Elliott, nie wdając się w szczegóły, które w żaden sposób nie powinny interesować Hemandeza. - Boże wszechmogący, ta wiedźma nie cofnie się przed niczym. Ile chce za to "cudowne dziecko"? - Niewiele, w porównaniu z tym, co już masz zapłacić. "Tylko" dziesięć tysięcy miesięcznie plus chesne za szkołę. Oczywiście w funtach szterlingach. - Oczywiście - powtórzył Elliott z nieklamany sarkazmem. - Nie wolno nam zapomnieć o chesnym. Czy są jakieś granice jej chciwości? Nawet zarozumiały Hernandez nieco spuścił z tonu. - Spróbuję wejść z nimi w układ... - Nie - przerwał mu Elliott. - Niech bierze wszystko, co chce, i wyniesie się z mego życia. Nie o wszystkim zdołał tak łatwo zapomnieć. Ciągle dręczyło go pytanie, kim był ojciec dziecka Yictorii? Teraz już wiedział, że go zdradzała na długo przed rozstaniem. Ale z kim? Wydawało mu się, że jednak coś przeczuwał... Na pewno nie zatarła wszystkich śladów, pomyślał. Dulcinea przestraszy się groźby deportacji. Prosta wieś niaczka z Meksyku nie chciała stracić pracy. Miała trójkę ninos do wykarmienia i nie przepadała za panią.

231

Kiedy Elliott zaczął ją przesłuchiwać, wzięła oddech i złożyła drżące ręce. - To był profesor, senior Snyder. Błagam, niech mnie nie wyrzuci - dodała prędko. ? Nie wierzył własnym uszom. Jaki profesor? - Co za profesor? - huknął. - O kim mówisz? - Ten od tenisa. Dwa razy w tygodniu mieli dłuższe lekcje... Cholera, pomyślał Elliott. Nie mogła sobie

wybrać kogoś z głównej listy? - W naszym łóżku?... Na górce? - zapytał. Dulcinea zalała się łzami. Po prostu skinęła głową. - Wciąż mogę u pana pracować, senor? - Tak, tak - mruknął i odpędził ją ruchem ręki. Chciał być sam, przynajmniej przez chwilę. Wprawdzie zachował miliony, lecz nie umiał się z tego cieszyć.

Stał się odludkiem. Dzień po dniu rozmyślał o wszystkich nieszczęściach, które sam sobie ściągnął na głowę. Bywały chwile, że chciał popełnić samobójstwo. Ale otrząsnął się z tego. Nie dam wiedźmie aż takiej satysfakcji! - zarzekał się w duchu. Poszedł więc do lekarza po środki antydepresyjne i faktycznie poczuł się lepiej. Król, sam zbyt chory, by lecieć do Kalifornii, bardzo się martwił stanem młodszego wspólnika. Namawiał go na szybką wizytę u psychiatry. Prosty z natury, nie pojmował rzeczywistej przyczyny rozterki Elliotta. Ten z kolei wstydził się wyznać mu prawdę. - Słuchaj, mój synu (szef już go "adoptował"), weź

232
sobie urlop, na tak długo, jak ci potrzeba. Znajdę kogoś, kto pociągnie firmę, zanim się pozbierasz. Pamiętaj, najważniejsze nie są pieniądze, lecz zdrowie. Póki nie znajdziesz dobrego lekarza, dzwoń do mnie o każdej porze dnia i nocy. Obiecuj mi, że przynajmniej raz dziennie dasz jakiś znak o sobie. Gdyby Elliott zachował wówczas zdolność do ludzkich odruchów, pewnie byłby dozgonnie wdzięczny najstarszemu ze swych przyjaciół i wspólników. Gdyby za chował taką zdolność, pewnie powiedziałby choć "dziękuję". Ale wydukał tylko "Na razie" i odłożył słuchawkę. Żeby zupełnie nie zważować, czytał tony gazet. Ogarnęła go jakaś mania. Wertował dzienniki nie tylko z Kalifornii, Nowego Jorku i Waszyngtonu, ale nawet zamierzał zapisać się na kurs hiszpańskiego, żeby znać treść "El Diano", "La Prensa" i paru innych. Grube niedzielne wydania studiował całymi dniami. Na weekendowe edycje angielskiego "Timesa" i "Telegraphu" poświęcał ponie działki. Z uporem przeglądał kronikę towarzyską, aby dowiedzieć się, czy ta harpia już urodziła "ich" dziecko. Może przy odrobinie szczęścia poroniła. Może kilku chłopaków z mafii by jej w tym pomogło. W pewnej chwili sam się przestraszył swoich okropnych myśli. Co rusz ktoś z przyjaciół próbował wyciągnąć go za uszy. Ciągłe odbierał telefony z różnymi zaproszeniami na castingi, koncerty i na mecze. On jednak nie zamierzał

wracać do zewnętrznego świata. Pewnego ranka znalazł coś dziwnego w lokalnej gazecie. Był już takim maniakiem, że przeglądał wszystko - od wstępniaka po drobne ogłoszenia. Czytał więc także dział sportowy i stał się zagorzałym kibicem miejscowych

233

••'^

uwzględnieniem koszykarzy z UCLA, z którymi niemal 3; sąsiedował.

Z niedowierzaniem spojrzął na wyniki wczorajszego zwycięskiego meczu. Najwięcej punktów zdobył - nie do wiary - niejaki "Dań Snyder". Elliott nagle doznał apokaliptycznej wizji. Czy ten chłopak mógł w jakiś sposób być jego "dawnym" synem? Dodał "Sports Diustra- ted" do listy swoich lektur i naczytał się wielu pochwał pod adresem młodego sportowca. Z zapałem szukał dobrego zdjęcia, ale znajdował tylko takie,

na których Danny toczył zaciętą walkę na parkiecie i trudno było go rozpoznać. Los wtracił się w postaci brokera Robbiego Walia,

który zadzwonił raz z wieczora z zaproszeniem na mecz UCLA przeciwko Arizonie.

- To gra roku! Dwie najlepsze uczelniane drużyny w kraju. Tuż pod twoim nosem, kolego. Nie możesz odmówić. Poza tym będziesz miał okazję obejrzeć swoje go imiennika. Uwierzysz? On jest biały. Fantastyczny

strzelec. Rzuca z połowy boiska niemal tak, jakby stał pod koszem.

Zapadła chwila ciszy. Elliott chciał zachować przynajmniej jakieś pozory i nie zdradzać swojej niecierpliwości. W końcu powiedział łaskawie:

- Zgoda, Rób. Ale żadnych dziewcząt. Na pewien czas mam ich dosyć.

- Kpisz sobie? - zawołał Robbie. - Twoim zda niem to miejsce na randki? W Pauley Pavilion są miejsca dla zaledwie dwunastu tysięcy widzów. Podziękuj opatrzności, że udało mi się skłówać chociaż dwa bilety. Przy goleniu Elliotta ogarnął niepokój. Gorzej - strach. Przeczynał, że naprawdę chodzi o jego przybranego syna, którego na dobre porzucił niemal przed dwudziestu laty.

234

Dlaczego Nina mi nie powiedziała, że chłopak jedzie do LA? Głupie pytanie. Nie rozmawialiśmy ze sobą od wieków. Zwyczajnie w świecie nie chciała mieć nic ze mną wspólnego. Nie wolno jej za to ganić (a poza tym ma już własne dziecko). Ciekawe, co pomyśle, kiedy go zobacze? Jest już przecież dorosły i utalentowany. I pewnie wyższy ode mnie o co najmniej trzydzieści centymetrów. Aby uniknąć kłopotów z parkowaniem, Robbie zostawił swój samochód u Elliotta i we dwóch poszli na piechotę wzdłuż Stone Canyon Road. Minęli bulwar i znaleźli się w miasteczku uniwersyteckim. Zewsząd strumieniami wlewał się tłum kibiców, chociaż do meczu pozostało ponad pół godziny. Napięcie wisiało w powietrzu. Dzisiejszy wynik mógł zdecydować o tytule mistrza kraju. Robbie działał stylowo - jak już miał na coś bilety, to na pewno na najlepsze miejsca. Usiedli w połowie boiska, sześć rzędów w górę za ławką UCLA. Fanfary ogłosiły wejście obu zespołów. Gracze, jeszcze w dresach, zaczęli się rozgrzewać. Danny kilkakrotnie trafił piłką do kosza zza linii dziewięciu metrów. Elliott przez całe popołudnie zastanawiał się, czy rozpozna w nim dawno porzuconego syna. Wezmę program i sprawdzę numer, żartował w duchu z wisielczym humorem. Ale jak tylko zajął miejsce, dostrzegł smukłego gracza z gęstą jasną czupryną i dziesiątką na plecach. Nie było wątpliwości - to Danny. Mały Danny... lecz już nie mały. Elliott pogrążył się w smutnych rozmyślaniach. Zaprzedał swoje szczęście. Jak mógł porzucić dziecko, które nie żądało od niego nic więcej prócz miłości? Jak mógł być taką samolubną świnią? Chłopak najwyraźniej wyzdrowiał, bo w przeciw-

235

|

nym razie nie miotałby jedną ręką piłek wprost do kosza|| praktycznie z połowy boiska.
i|

Elliott nie mógł odezwać się słowem do swego towarzysza, bo Robbie od początku dał się jak opętany: - Naprzód, Bruins! Dołóżcie tym pustynnym szczerom! - Nagle odwrócił się do Elliotta i powiedział z głęboką powagą: - Wiesz, Eli, że niektórzy faceci z

innych uczelnianych zespołów... nie tylko z Arizony... nawet nie chodzą na zajęcia? Grają w kosza, rypią stu dentki i co miesiąc zgarniają kasę. Takie numery nie przechodzą u trenera Woodena.

Elliott skinął głową, ale nie odrywał wzroku od dziesiąt ki. Ryk tłumu obwieścił początek meczu. Elliott wpadł w rodzaj transu. Przez całą pierwszą kwartę nie spojrzął na tablicę wyników. Patrzył wyłącznie na Danny'ego... który umiał nie tylko rzucać, lecz także dziarsko i skutecznie walczył pod tablicą. I rzucił kilka długich piłek, które wpadły do kosza, nie dotykając obręczy.

- Sukinsyn! Ten ma oko! - ryczał Robbie po trzecim takim strzale. Potem zerwał się na równe nogi i zawołał: - Dalej, Snyder! Tylko tak dalej!

Elliottowi chciało się płakać. Słyszał swoje nazwisko wykrzykiwane przez tysiące kibiców i włos jeżył mu się na karku. Kiedy nie patrzył na Danny'ego - nie widział zwodów, rzutów i zbiórek - popadał w głęboką zadumę. Chce porozmawiać z tym chłopakiem. Chce mu powiedzieć, że był głupi. Że go skrzywdził. Że zawiodłem matkę. Chce mu ucisnąć rękę. A potem przyszło otrzeźwienie. Choć raz bądź ze sobą szczerzy. Chcesz go za czepić, bo stał się gwiazdą.

Bez względu na motywy, marzył o krótkiej rozmowie. W połowie drugiej kwarty zespół UCLA prowadził już

236

tak wysoko, że trener Wooden wypuścił na parkiet graczy z ławki rezerwowych, żeby trochę poznali realia prawdziwego meczu. Jabbar i Danny zeszli z boiska, pozdrawiani okrzykami tłumu. Menadżer podał im ręczniki. Spoceni klapnęli na ławkę i głośno zagrzewali swoich młodszych kolegów, w dalszym ciągu gromiących Arizonę. Wooden miał dobry zespół. A Danny Snyder nawet nie podejrzewał, że sześć metrów za nim siedzi człowiek, którego Nina - w rzadkich chwilach gdy o nim mówiła - określała mianem "małego Elliotta". Rozległ się jęk syreny oznaczający koniec meczu. Chłopcy Woodena z pozorną łatwością zapewnili sobie zwycięstwo w bardzo trudnym spotkaniu. Praktycznie po raz kolejny mieli już tytuł mistrzów. Kibice UCLA szaleli ze szczęścia, orkiestra odegrała hymn uczelni, a dziewczęta z pomponami wyginały się w triumfalnym tańcu. Na tym jednak nie koniec. Kiedy ścichła muzyka, spiker odczytał nazwiska graczy zwycięskiej drużyny, wraz z ich wynikami. Jabbar był pierwszy, prawie trzydzieści punktów, Danny drugi - osiemnaście... Elliott nie słuchał dalej. Wreszcie kibice zaczęli się rozchodzić. Grupki najbardziej zagorzałych fanów skupiły się wokół gwiazdorów. Takich jak Danny. Chłopak rozmawiał właśnie z piękną jasnowłosą dziewczyną, która przewodziła grupie pom-ponek. Widać było, że znają się nie od dzisiaj. Elliott zebrał się na odwagę i wstał. - Po co ten pośpiech, Snyder? - zapytał Robbie. - Wypuśćmy najpierw pierwsze parę tysięcy. Chcesz wdychać spaliny po drodze do domu?

237

Elliott nie odpowiedział. Myślał wyłącznie o czekającym go zadaniu. Zszedł po schodach. Za sobą słyszał głos Robbiego:

- A ty dokąd? Wyjście jest w drugą stronę! Nie zwrócił na to uwagi. Nerwowo i z wahaniem wkroczył na święty parkiet. Danny gawędził z dwoma

czy trzema osobami. Dziewczyna wciąż trzymała go pod ramię.

Elliott podszedł bliżej. W tej samej chwili dzienni karze - o ile to byli dziennikarze - odeszli i Danny został sam ze swoją towarzyszką. Układali plany na wieczór. Elliott zatrzymał się tuż przed nim i powiedział ostatkiem sił:

- To była dobra gra, Danny. - Zawahał się. - Znałem... znałem cię, kiedy byłeś mały - dodał. - Już nie jest! - zauważyła dziewczyna.

Spostrzegła nagle, że jej chłopak z napięciem patrzy na przybysza.

- Pamiętasz go? - zapytała. Na jego twarzy malowała się cała gama uczuć.

- Chyba tak - odparł. Jeszcze raz spojrzął na Elliotta.

- Daj nam chwilę, Cindy - zwrócił się do dziewczyny. - Chcę na osobności porozmawiać z tym panem.

Spotkamy się przy wyjściu za - powiedzmy - dwa dziesięć minut.

Cmoknęła go w policzek. - Jak chcesz, Tornado - zagruchała.

Dań i Elliott zostali sami. Nic nie mówili. Ojciec musiał mocno podnosić głowę, żeby popatrzeć na sławnego syna. - Głupio mi - bąknął wreszcie.

- W ogóle nie wiem, co powiedzieć - odparł Danny.

238

- To tak jak ja - przyznał Elliott. - Przyszedłem prosić cię o przebaczenie, choć jak cholera zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe. Nie zasłużyłem na żadne względy z twojej strony.

- To prawda. Nie ująłbym tego lepiej. - Danny odczekał chwilę, a potem zapytał grzecznie:

- W ogóle mamy sobie coś do powiedzenia? Elliott pomyślał i odparł z bolesną szczerością:

- Chyba nie. - Odwrócił się, żeby odejść, ale za trzymał się w pół kroku i znowu spojrzął na młodego sportowca. - Jesteś wspaniałym graczem, Danny. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli znowu przyjdę popatrzeć? - Nie - padła uprzejma odpowiedź. - Nic mnie to nie obchodzi.

Elliott odszedł, żeby dołączyć do Robbiego i wyruszyć w ciemnościach w długą drogę do domu. I wtedy Danny - wiedziony jakimś dziwnym impulsem - zawołał: - Zaczekaj!

Elliott niemal natychmiast wrócił w krąg światła. - Słucham?

- Kiedy uciekłeś od nas, płakałem całymi nocami, bo tak bardzo za tobą tęskniłem. Za dnia zastanawiałem się, gdzie jesteś i dlaczego porzuciłeś mnie i mamę - zaczął mówić łamiącym się głosem. Wziął głębszy oddech. - Aż tyle dla mnie znaczyłeś. - Znowu przerwał. - Musiałem ci to powiedzieć.

Oszłomiony Elliott niezdarnie usiłował coś wtrącić. - Zrozum...

Danny jednak jeszcze nie skończył. - Mama wyszła ponownie za męża, za naprawdę świetnego faceta. Ale to nie on chodził ze mną do parku i nie

239

on mnie uczył rzucać piłką do kosza, kiedy byłem mały. Takich rzeczy się nie zapomina. Elliott miał łzy w oczach.

- Dziękuję, Danny - szepnął. - Zapamiętam to na całe życie.

- Nie, tato. - Syn nie pozwolił mu odejść.

To krótkie słowo sprawiło, że Elliott wybuchnął płaczem.

Danny - wciąż smutny, lecz jakby trochę uleczony - zapytał cicho:

- Będziemy się częściej widywać? - Bardzo bym tego pragnął, synu. Co więcej mogli zrobić? Padli sobie w objęcia.

ERICH SEGAL jest jednym z najpopularniejszych współczesnych pisarzy świata. Sławę literacką zdobył swoją pierwszą książką "Love Story" (1970), która ukazała się w 33 językach i nakładzie ponad 20 milionów egzemplarzy. Podobnym powodzeniem cieszyła się jej kontynuacja - "Historia Olivie-ra". Kolejne powieści Segala -m.in. "Doktorzy", "Akty wiary", "Nagrody", "Ostatni akord" -również osiągnęły status międzynarodowych bestsellerów. Najnowsza, niedawno ukończona i jeszcze nie opublikowana, nosi tytuł No Love Lost ("Bez sentymentów"). Kilka utworów pisarza zostało sfilmowanych. Ekranowa wersja "Love Story" należy do najgłośniejszych adaptacji w historii kina. Erich Segal wykłada literaturę grecką i łacińską na uniwersytetach Harvard, Yale i Princeton; publikuje prace naukowe z dziedziny literaturo-znawstwa. Jest żonaty, ma dwie córki.